A ZERO

BIULETYN INFORMACYJNO-PROPAGANDOWY KW WARSZAWA

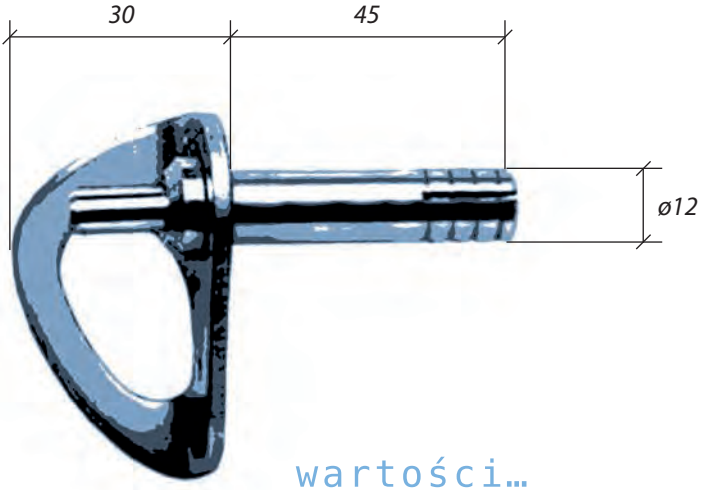

wartości…
les valeurs…
values…
die Werte…
il valore…
ценности…
hodnoty…

ISSN 1641-9359

www.kw.warszawa.pl

1(20)/2012
bezpłatny

DORWIJ
GO!
Nestlé
LION

Książka wyjść

Słowo Prezesa (Marcin Miotk) • 2
Krajobraz ze ściany (Wojtek Kurtyka) • 6
Tradycyjne wartości (Lindsay Griffin) • 16
Okamgnienie (Marko Prezelj) • 24
Nowa klasyczna linia na północnej ścianie Eigeru (Robert Jasper) • 28
Północna ściana Eigeru (Robert Jasper) • 40
Przejście (Ermanno Salvaterra) • 46
Mocno wstrząśnięci (Mark Synnott) • 48
Cerro Torre – granice możliwości (Rolando Garibotti) • 54
Pik Mińsk – reaktywacja (Michał Król) • 60
Echa tamtych lat (Maciej Popko) • 68
Dziewicze szczyty prowincji Syczuan (Tamotsu Tom Nakamura) • 74
Wschodnia ściana Mt Blanc du Tacul i jej satelity (Maciej Ostrowski) • 80
Szwajcarskie czterotysięczniki (Andrzej Kurowski) • 86
Alpy 2011 – sezon letni (Marek Grądzki) • 92
(nie) Mała przygoda w Arco (Wojciech Nowicki) • 98
Omówienie letniego sezonu tatrzańskiego 2011 (Mariusz Wilanowski) • 102
Podsumowanie sezonu sportowego 2010 i 2011 (Magdalena Nowak) • 118
Epitafium dla snu (Artur Paszczak) • 126
Kilka niewzruszonych przekonań (Jan Gondowicz) • 133
O jeden szczyt do zwycięstwa (Tomasz Kowalski) • 134
Eiger Machine (Grzegorz Skorek, Janusz Gołąb) • 142
Wyścig szczurów (Adam Śmiałkowski) • 146
Po-Słowie Po-Prezesa (Zbigniew Skierski) • 154
Info klubowe i zniżki • 156

A/ZERO – Biuletyn Informacyjno-Propagandowy KW Warszawa; Nr 1(20)/2012
ISSN: 1641-9359
Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa

Redakcja: Marek Grądzki, Magdalena Nowak, Aleksandra Ogłoza, Artur Paszczak, Mariusz Wilanowski.
Kontakt z Redakcją: artur.paszczak@gmail.com, marysiao29@02.pl

Do powstania numeru poza autorami tekstów przyczynili się: Alek Barszczewski, Iza Figiel, Justyna Florczak, Katarzyna Niecikowska, Paweł Strzelecki, Robert Subdysiak, Tomek Wysocki, Maria Zięba–Selerowicz, Magdalena Drozd, Anna Niepytalska–Osiecka.

W A/ZERO piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia i życia. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiekolwiek wypadki powstałe podczas uprawiania przez czytelników sportów propagowanych na łamach A/ZERO. Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko.

Redakcja A/ZERO nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych na łamach biuletynu. Kopiowanie materiałów w całości lub części tylko za pisemną zgodą redakcji A/ZERO.

SŁOWO PREZESA

Jestem nowy

W czasie jednego z ostatnich wyjazdów w góry miałem okazję porozmawiać z członkiem naszego klubu, według którego „ciężko zaistnieć w klubie, bo brakuje imprez integrujących nowych ludzi". Zawsze uważałem, że ludzi trzeba słuchać, tym bardziej tych nowych, bo ich wielką wartością jest to, że wnoszą nowe pomysły, nowe spojrzenie, nową krew. Jest dla mnie oczywiste, że każde wejście w nowe środowisko nie jest łatwe. Jednym przychodzi to łatwo, innym trudniej – co jest też w dużej mierze pochodną naszych cech charakteru. Jedni muszą na swoje nazwisko ciężko pracować, innym wystarczy jedna impreza klubowa i znają już ich wszyscy.

A więc co robi nasz klub, aby pomóc młodym stażem członkom zaistnieć w swoich szeregach? Przede wszystkim organizujemy obozy klubowe – zarówno latem, jak i zimą. To właśnie tam dzięki wspólnym wspinaczkom oraz wieczornym rozmowom poznaje się ludzi, wtedy rodzą się pomysły na wspólne projekty lub nawet wyprawy. Ktoś zapyta: „Ale jak ja mam jechać na obóz, jeśli nie mam partnera i nikogo nie znam?". Ci, którzy byli na naszym obozie, wiedzą, że panuje tam przyjacielska atmosfera i w miarę możliwości nikt nie zostanie bez partnera. Dla początkujących najlepszą opcją będzie wspinaczka z instruktorem. Dobrym pomysłem jest również poszukanie kogoś wcześniej na forum klubowym, ale nawet jeśli się to nie uda, nie należy rezygnować z przyjazdu na obóz. Przecież ludzi gór cechuje determinacja i nie poddajemy się z byle powodu!

W ciągu ostatnich kilku lat pojawiły się również nowe możliwości – pikniki w Podlesicach, piknik skiturowy, kursy np. lawinowe. Osoby z Warszawy mają jeszcze łatwiej – mogą się spotykać na ściance, pokazach slajdów bądź innych imprezach klubowych.

Reasumując, moje, z pewnością subiektywne, spojrzenie na opisany temat jest takie, że możliwości zaistnienia w klubie jest wiele – DAJCIE SOBIE TYLKO SZANSĘ! Jeśli natomiast sami macie inne pomysły, jak jeszcze lepiej pomóc w aklimatyzacji nowym członkom klubu, nie wahajcie się wcielić ich w życie!

Marcin Miotk

SALEWA yeti Nestlé

Dlaczego warto być członkiem KW Warszawa?

Jesteśmy klubem prawdziwie koleżeńskim i partnerskim, w którym znajdziesz ludzi podzielających Twoją pasję – góry i wspinaczkę. Znajdziesz kolegów i koleżanki na wspólne wyjazdy, otrzymasz pomoc w sprawach dotyczących Twoich zainteresowań. Poznasz doświadczonych wspinaczy i będziesz mógł się od nich uczyć.

W ramach naszej składki – jednej z najniższych w kraju – otrzymasz najbardziej atrakcyjny pakiet korzyści ze wszystkich polskich klubów:

- renomowany biuletyn A/ZERO przyślemy Ci pocztą do domu,
- otrzymasz zniżki nawet do 30% w firmach i sklepach współpracujących z klubem, a także w schroniskach,
- będziesz miał możliwość zakupu tańszego sprzętu w ramach zbiorczych zakupów klubowych,
- uzyskasz możliwość nabycia klubowych gadżetów, a niektóre z nich otrzymasz bezpłatnie,
- będziesz mógł podzielić się z innymi klubowiczami swoimi zdjęciami i artykułami publikowanymi na naszej stronie internetowej, a także prowadzić tam swój osobisty wykaz przejść,
- …i wreszcie będziesz mógł opłacić składkę przelewem, a znaczek wyślemy Ci pocztą.
- Oferujemy dostęp do klubowej biblioteki oraz bazy przewodnikowej, dzięki czemu – gdziekolwiek się udajesz – uzyskasz potrzebne Ci informacje.
- Będziesz mógł uczestniczyć w klubowych imprezach, szczególnie w wyjazdach i obozach wspinaczkowych (letnich i zimowych), na których udoskonalisz lub poznasz nowe dziedziny wspinaczki i jej techniki pod okiem najlepszych instruktorów.
- Posiadamy obszerną i w pełni wyposażoną (DVD, projektor multimedialny, ekran, wzmacniacz, kolumny) siedzibę klubową przy ul. Noakowskiego 10 m. 12.
- Będziesz mógł uczestniczyć w pokazach slajdów i filmów w klubowej siedzibie oraz je współorganizować – wystarczy, że zgłosisz chęć pokazania swoich materiałów.
- Uzyskasz możliwość tańszego korzystania z warszawskich ścian wspinaczkowych na Obozowej oraz Nowowiejskiej (wtorek od godz. 20.00 tylko dla KWW i tylko za 10 zł).
- W środy i soboty będziesz mógł korzystać z klubowej bulderowni w lokalu klubowym (w godz. 16.00–22.00, opłata 5 zł za wejście). Jeżeli zaś wstąpisz do sekcji bulderowej – uzyskasz dostęp nielimitowany.
- Dzięki współpracy klubu ze szkołami wspinaczkowymi („Alp Extreme", „W Pionie", „Planet Sports", „Warszawska Szkoła Alpinizmu", „Go Up", „Pionowy Świat"), uzyskasz w nich 10% zniżki na wszelkie szkolenia.

A jeżeli będziesz tylko chciał – uzyskasz możliwość współtworzenia naszego klubu i pracy na rzecz środowiska górskiego i wspinaczkowego, ponieważ każdy z członków KWW może realizować w ramach niego swoje własne inicjatywy.

ORZEŁ KW

– nagroda Klubu Wysokogórskiego Warszawa za rok 2011

Po raz kolejny wśród naszych klubowiczów zostali wybrani wyróżniający się swoimi osiągnięciami członkowie, Orły KWW. Tym razem to zaszczytne miano przypadło:

w kategorii górskiej
Maciejowi Ostrowskiemu oraz **Pawłowi Strzeleckiemu** – za pokonanie *Wielkiej Grani Peuterey*, która, za Januszem Kurczabem, jest najdłuższą i najpoważniejszą drogą na najwyższy szczyt Alp, a prawdopodobnie również w całych Alpach.

w kategorii sportowej
Jankowi Sokołowskiemu – za nieustający progres wspinaczkowej formy, pokonanie dróg typu VI.6+ *Potęga Trójkątów*, VI.6 *Droga między dziupelkami* oraz wielu innych o równie wysokich wycenach, a także dzielne reprezentowanie KWW na arenie wspinaczkowej.

W wyjątkowo obfitującym w wartościowe przejścia górskie i skałkowe roku zarząd KWW podjął decyzję o przyznaniu **wyróżnień** dla:
Michała Króla – za sukcesy w czasie kirgijskiej wyprawy, o czym możecie przeczytać w tym numerze A/ZERO
Tomka Kowalskiego – za zdobycie czterech szczytów Śnieżnej Pantery w wyjątkowym czasie 28 dni, będącym zaskoczeniem nawet dla Denisa Urubki (również tekst znajdziecie na kolejnych stronach).
Alka Barszczewskiego – za wszechstronność na wysokim poziomie, która zaowocowała świetnymi przejściami skałkowymi (VI.5+) i górskimi (m.in. *Filar Freney*)
Marcina Księżaka – za jak zwykle rewelacyjny i pełen wysokiej klasy przejść zimowy sezon tatrzański.
Ewy Załuskiej – za podniesienie poziomu kobiecego wspinania w gronie KWW.

Nagrodzeni Orłem KWW otrzymali sprzęt od naszych partnerów klubowych:
- **Salewa** – plecaki oraz sprzęt dodatkowy o wartości po 1000 zł
- **Yeti** – kurtki puchowe Bonatti oraz śpiwór Boulder.

Wyróżnieni otrzymali sprzęt firmy **Salewa** o wartości po 500 zł.

Gratulujemy!

Konkurs na wyprawę KW Warszawa – wyniki edycji 2012

Po raz kolejny zorganizowany został klubowy konkurs na wyprawę. Spośród zgłoszeń zarząd KW Warszawa w głosowaniu wyłonił laureatów:

I nagroda – **Tomasz Kowalski**, **Piotr Kłosowicz** – trawers Piku Pobiedy

II nagroda – **Alek Barszczewski** – 3 × Bonatti (*Bonatti–Ghigo* na Grand Capucin, *Bonatti–Oggioni* na Pilier Rouge du Brouliard, *Bonatti–Gobbi* na Wielkim Filarze Narożnym)

Sponsorem nagród dla zwycięzców są firmy SALEWA oraz YETI. Nagrody są następujące:

- za I miejsce: sprzęt firmy SALEWA wartości 3500 zł oraz 50% rabat na zakup sprzętu firmy YETI do wartości 4000 zł
- za II miejsce: sprzęt firmy SALEWA wartości 2500 zł oraz 45% rabat na zakup sprzętu firmy YETI do wartości 3000 zł.

Zwycięzcom serdecznie gratulujemy i czekamy na ich relacje z wypraw!

Jan Żurawski, „Kazalnica. Drogi zebrane”

Pod patronatem naszego klubu ukazał się przewodnik wspinaczkowy po Kazalnicy, jednej z najciekawszych ścian polskich Tatr. To pierwsze od bardzo dawna całościowe i bardzo szczegółowe opracowanie Kazalnicy. W przewodniku znajdziemy opis 70 dróg biegnących od progu Wyżniego Czarnostawiańskiego Kotła do północnych stoków Kazalnicy. Każda droga oprócz informacji o trudnościach i standardowym czasie przejścia otrzymała opis charakteru wspinania oraz dodatkowe informacje o jej przebiegu.

Na 192 stronach przewodnika zawarto wstęp i informacje o ścianach (10 stron), opisy dróg (38 stron), schematy i wrysowania dróg (108 stron), indeks około 460 nazwisk.

Przewodnik można kupić na ścianie na ul. Nowowiejskiej w godzinach klubowych oraz za pośrednictwem naszej strony internetowej. Koszt dla klubowiczów: 30 zł. Jedna osoba może nabyć maksymalnie dwa egzemplarze.

„Pokolenie to nie rozumie, że alpinizm robi w bólu wewnętrznym,
a nie w oporze materii".
Wojtek po zejściu z Kohe Tez, 1972.
Fot.: arch. Wojtek Kurtyka.

KRAJOBRAZ ZE ŚCIANY

O istocie wspinania, Bogu, cyfrze, dzisiejszym pokoleniu wspinaczy oraz o dewaluacji wartości we współczesnym alpinizmie z Wojtkiem Kurtyką rozmawia Zbigniew Skierski.

Wojtku, bardzo mnie ucieszyła Twoja zgoda na wywiad. Miałbym ochotę porozmawiać z Tobą może nie tyle o samym wspinaniu i Twoich osiągnięciach, ile zbadać, jakim jesteś człowiekiem, co odnalazłeś w górach i jak ich doświadczenie przekłada się na Twoje życie codzienne . Powiedz, czy jesteś perfekcjonistą?

Nie lubię perfekcjonizmu. Jestem perfekcjonistą.

Dlaczego nie lubisz?

Perfekcjonizm ogranicza wolność, zabija spontaniczność.

A u innych? Czy u innych ludzi cenisz perfekcjonizm?

Nie lubię perfekcjonizmu. Cenię perfekcjonizm. To wszystko zależy od celu, od dyscypliny i wreszcie od osoby. U jednej osoby perfekcjonizm zachwyca, u innej przeraża.

Na przykład?

Przeraża u wielkiego inkwizytora, zachwyca w konstrukcji frazy poetyckiej. Jest okay u księgowego. Jest do kitu w dyscyplinach lub obszarach życia, gdzie wszystko zależy od chwili natchnienia, która pojawia się i znika jak tajemniczy przepływ. Guzik tutaj po perfekcjonizmie. Co Cię wzięło na tę gadkę o perfekcjonizmie?

Wydaje mi się, że masz taką opinię w środowisku i chciałem wiedzieć, czy ją podzielasz. Czy zdarzało Ci się oceniać ludzi po tym, jak się wspinają?

Raczej nie. Chociaż raz mi się zdarzyło. No i walnąłem się na maksa. Ale chodziło o kobietę, więc można mi wybaczyć. Powab kobiecy spleciony z dramaturgią wspinania miewa zabójczą siłę rażenia. Jestem przekonany, że tzw. klasa wspinaczkowa zupełnie nie przekłada się na wartości etyczne osoby. Mimo to styl uprawiania wspinaczki sporo mówi o wspinaczu. Słowacy powiadają, „jako pijesz, tako lezesz", ale odwrotnie „jako lezesz, tako pijesz" jest równie prawdziwe.

W pewnym sensie, gorzkie jest zrozumienie, że przymus wewnętrzny skłaniający nas do wspinania nie wywodzi się z serdecznej przestrzeni miłości bliźniego.

A z jakiej?

Powiedziałbym, że potrzeba wspinania wywodzi się z trudnej i samotnej przestrzeni poszukiwania własnej godności. Przecież tam, gdzie z własnego wyboru zmagamy się z własną słabością i strachem, gdzie buntujemy się wobec terroru śmierci, tam chodzi o godność. Dlatego alpinizm stanowi wzlot nie tylko w przestrzeni górskiej, lecz także w przestrzeni wewnętrznej, wzlot ponad siebie samego. Ale jak wspomniałem, nie przekłada się to w prosty sposób na miłość bliźniego.

Czy przypadkiem owa miłość bliźniego nie cierpi wskutek naszej wspinaczkowej pasji?

Alpinizm wymusza postawy egoistyczne. Gdy przeżywamy silny strach i stres, po prostu łatwo o egoizm. Rasowy alpinista jest potępieńcem, skazującym siebie i otoczenie na samotność i ból. A jednak kontakt z górami, poprzez wspinanie silnie nawiązuje do uczucia miłości. Mocno tkwi we mnie myśl, którą wypowiedział prof. Henryk Skolimowski: „Z pyłu gwiezdnego powstaliśmy i gwieździste jest nasze przeznaczenie". Wierzę, że alpinizm jest sięganiem do gwiazd, że pozwala przywrócić to utracone pokrewieństwo.

Czy chcesz przez to powiedzieć, że górskie przeżycia nie tylko wywołują w nas strach i stres, lecz także poruszają do żywego najgłębsze pokłady naszej duchowej wrażliwości?

Oczywiście. Moje najlepsze chwile związane ze wspinaniem miewały bardzo intymny charakter. Niełatwo się o nich mówi. Obciach po prostu. A jednak należy. Z całego tego trudu, udręki, strachu i zderzenia z magią gór, wyłaniało się nieraz bezgraniczne oddanie i poczucie zachwycającej jedności z tym, co mnie otaczało: z przestrzenią, światłem, strzelistością. Było to uczucie podobne do tego, które czułem w realiach codziennego życia, wobec np. uwielbianej kobiety lub własnego dziecka, jednak w alpinistycznym wydaniu zwracało się ono do wszystkiego, promieniowało poniekąd donikąd. Te chwile poszerzały więc obszar tego uczucia, jakbym odzyskiwał jakieś utracone ogniwo. Myślę, że zbliżały do owego „gwiaździstego przeznaczenia". Co ciekawe, to górskie przebudzenie pozwalało mi później podobnie odczuwać w zwyczajnych okolicznościach np. w ogrodzie, albo patrząc w oczy innej osoby. Nie wspomnę płci tej osoby, bo źle mnie zrozumiesz. Czyli było to jak jazda na rowerze – raz załapiesz, jeździsz zawsze. Nieraz wydaje mi się, że przebudzenie tego poszerzonego uwielbienia, poniekąd do niczego, jest najważniejszą przemianą w moim życiu. Z pewnością wzmocniła mnie. Staram się tę przemianę pielęgnować w sobie. Dzięki niej swoje wiem: nieważne czy miłość jest macierzyńska, gejowska, czy do ojczyzny – jej natura jest ta sama.

To bardzo optymistyczne. Wygląda na to, że wspinanie czyni nas zdecydowanie lepszymi, czy tak?

Taką miałem niegdyś nadzieję, ale to bzdura. Nawet działalność charytatywna nie czyni automatycznie lepszym. Wierzę jednak, że wspinanie może otworzyć kosmiczne wrota, ale tylko otworzyć. Cholera, jak się przyglądam

naszemu środowisku i własnym upadkom, to na pewno nie skazuje nas na tę kosmiczną miłość.

Wspinaczka wysokogórska w zespole stwarza wiele sytuacji, w których zarówno nasi partnerzy, jak i my sami odkrywamy przed sobą swoje słabości i ograniczenia. Jakich cech nie lubisz i nie tolerujesz u swoich górskich partnerów?

Zapewne tego, czego nie lubię u siebie samego. No proszę Cię, nie oczekuj, że zacznę się zwierzać z osobistych obsunięć w ludzką nikczemność.

Owszem, oczekuję.

Okay. No więc, mówiłem nieraz o tym. Nie lubię egocentryzmu, z którym sam z mozołem zmagam się przez całe życie. No i z trudem wprawdzie, ale jakoś sobie radzę; a to się trafi istota ludzka, którą kocham bardziej niż siebie samego i moje ego rozmywa się. A to pójdę w jakąś zabawę na maksa lub w zwariowaną kreację i ego zmywa się skulone. W najgorszym wypadku sięgnę po lampkę wina i dopada mnie samo dobro, a ego podkula ogon i spada. Ale pardon, miałem mówić o antywartościach.

Myślę, że w egocentrycznych postawach czai się cała rodzinka jego krewniaków. Ale do licha, zajrzyj sobie do siedmiu grzechów głównych. Właściwie nieraz wydaje mi się, że wszelkie zło, jakie tkwi w nas, jest konsekwencją tej jedynej, prawdziwej choroby psychiki ludzkiej, czyli egocentryzmu. Ludzie po prostu kłamią, są pyszni, zabijają itd., gdyż pożądają swojej pozycji, znaczenia, wyróżnienia.

Jakie cechy w takim razie pociągają Cię u ludzi najbardziej?

Wiele cech w ludziach jest ważnych. Trudno obcować np. z osobą dwulicową albo nieuczciwą. Żeby to pytanie miało sens, musimy założyć, że te podstawowe wartości są spełnione. Ich nieodzowność jest oczywista. Wiele różnych talentów dech zapiera. Znasz powiedzonko: „śpiewa, tańczy, recytuje, dupy daje, nic nie czuje"? Oj, będę staroświecki. Zapewne z tych wszystkich oszałamiających wartości szczególnie pociąga mnie u ludzi naturalna skłonność do życzliwych i przyjaznych uczuć wobec świata. Lgnę do takich ludzi. Są przyjemnością i wytchnieniem dla ogłupiałego umysłu. Wybiorę u osoby raczej to magiczne ciepło niż powiedzmy intelekt, błyskotliwość czy nawet seksapil u kobiety, chociaż może trochę szpanuję. Cóż mi po kontakcie z osobą superinteligentną, piękną czy bogatą, jeśli będzie miała serce jak sopel lodu. Powiem więcej, cóż mi po mojej własnej inteligencji lub sławie, jeśli zabraknie we mnie życzliwych uczuć do ludzi i ogólnie do świata, a w konsekwencji będę żył w jakiejś wewnętrznej pustyni? To właśnie dobre uczucia w największym stopniu determinują jakość naszego życia. Żyje się z nimi po prostu dobrze, wręcz fantastycznie.

A u partnerów w górach? Czym będziesz się kierować przy ich wyborze?

Naturalnie partner powinien się jako tako wspinać. Oczywiście najlepiej, jak do tego śpiewa, tańczy, recytuje… Ale życie nie bywa tak hojne. Wybiorę u partnera to, o czym mówiłem, czyli po prostu przyjaźń. Jak będzie przyjaźń, maleje szansa, że partner wyciągnie scyzoryk i odetnie się od liny...

No właśnie, właśnie! Przypominasz sobie scenę z książki „Dotknięcie pustki", kiedy to jeden z bohaterów ściągany przez linę, na której wisi jego partner, wyciąga nóż i odcina się od niej? Co byś zrobił w analogicznej sytuacji?

Daj spokój. Po takim pytaniu można dostać koszmarów nocnych. Serce nie sługa – kto niby ma wisieć na tej linie? Nie chcę szokować, ale skoro się prosisz. A więc wyobraź sobie rzetelnie, że nożyk w garści, a lina nieubłaganie, nieuchronnie ściąga Cię w przepaść, a na tej linie wisi twoje dziecko. Okay? Czy wyobraziłeś sobie?

A teraz wyobraź sobie, że ta lina nieubłaganie ściąga Cię w przepaść, a na tej linie wisi twój partner, powiedzmy Boski Dejw, albo jeszcze lepiej ojciec Rydzyk… Gotowe?

A teraz odpowiadam: zrobiłbym to, co bym zrobił. Po prostu, kurwa, nie wiem, ani w jednym ani w drugim przypadku. Być może runąłbym w przepaść wraz z córeczką Szili, lub synkiem Andui, albo nawet z Boskim Dejwem lub z ojcem Rydzykiem. Ale, kurwa, nie wiem, nie wiem… przestań.

Wróćmy zatem do wartości. Czy sama przyjaźń i życzliwość do świata wystarcza, czy są jeszcze inne ważne dla Ciebie wartości?

Uf, robisz mi tu huśtawkę emocjonalną. Muszę ochłonąć po tym locie i pomyśleć…

Bardzo kręci mnie u osoby wrażliwość na piękno estetyczne. Piękno jest dla mnie bramą do innego świata. Ale nie pytaj do jakiego, bo spieprzymy pogawędkę. To wielka przyjemność dzielić kawałek życia z osobą przeżywającą Piękno i oddającą się Pięknu.

Równie wysoko cenię u ludzi zmysł wolności oraz zdolność jej zachowania. Mam na myśli wolność od otaczającego omamu, od narzuconej doktryny, a nade wszystko wolność w wymiarze osobistym, od siebie samego.

Kolejną, niezwykle pociągającą dla mnie cechą jest prostota i naturalność. Uosobieniem tych cech był Jasiu Franczuk, który zginął na Kunyang Chhish w 1971. Jasiu był niski, prawie niziołek i był też dla mnie bogiem małych rzeczy. Prostota i naturalność nie jest czymś, co tnie po oczach, a jednak. Kiedy odkrywam ją u człowieka, zyskuję poczucie mocnego gruntu i kontaktu z prawdą. U Jasia za tą cechą szły też uczciwość i ciepły stosunek do świata. Te cechy są dla mnie znamionami umysłu oświeconego. Nie chcę powiedzieć, że Jasiu Franczuk był bogiem, chociaż może był. Chcę powiedzieć, że poprzez jego osobę byłem w stanie dostrzec to, co w naturze człowieka najcenniejsze. To mój pierwszy i niedoścignięty nauczyciel prostoty i naturalności. Niestety, te cechy są trudne do osiągnięcia. Może na starość…

Mówiłeś o wolności od siebie samego. Czy można być wolnym od siebie samego?

Nie wiem czy można. Ja nie jestem i właśnie dlatego swoje wiem. Zniewolenie przez własną słabość, nieważne, czy chodzi o uzależnienie od alkoholu, kobiety, czy sławy, oznacza degradację, utratę godności i wolności. Jest przeciwieństwem doświadczenia wspinaczkowego. Przecież kiedy przezwyciężasz udrękę strachu przed nieznanym, przed śmiercią i powierzasz siebie niedorzecznie pięknej górze, myślę, że wybierasz wierność własnemu powołaniu. W tym tkwi narkotyk alpinizmu – w wyzwoleniu. Wspinanie jest grą z własną wolnością.

Dlatego po powrocie na niziny obsuwę w jakąkolwiek niewolę odczuwam przykro. Być może poszukiwanie wolności od siebie samego jest najważniejsze. Dla mnie najważniejszym wymiarem tej wolności jest wolność od własnego ego czyli od poczucia, że moja osoba jest ośrodkiem wszystkiego. Myślę, że wyzbywanie się tego poczucia przybliża do otaczającego świata i pozwala cieszyć się jego wartością. Silne ego, przeciwnie, niweczy poczucie jedności z ludźmi i ze światem.

No dobrze, masz przyjaźń, wolność, masz piękno i naturalność. Czy to Ci wystarcza do życia?

Hmm… Cholera, nie wystarcza. Do życia trzeba jeszcze tlenu. I tu jest hak. Ten tlen ma dwojakie znaczenie. Do podtrzymania egzystencji biologicznej potrzebujemy tlenu w sensie O_2. Jednak w sensie psychicznym jestem przekonany, że również potrzebujemy psychicznego odpowiednika O_2! Bez niego ani rusz, po prostu marniejemy.

Co według Ciebie miałoby być tym tlenem dla psychiki? Czy masz na myśli jakieś zakazane substancje?

Tobie jedno w głowie! Nie, tym tlenem dla naszej przestrzeni psychicznej jest zdolność do szeroko pojętej kreacji, czyli podtrzymywania procesu wewnętrznej przemiany. Krótko mówiąc, jeśli się w nas dzieje, to jest okay. Jeśli dopada nas pustka wewnętrzna, bezruch – umieramy. Dotyczy to w tej samej mierze artysty, naukowca, gospodyni domowej czy dziecka. Największą udrękę wewnętrzną dziecko wyraża słowami „tatusiu, ja się nudzę", znaczy się, kreatywność u dziecka zanikła. To samo dotyczy dorosłych. Tyle że u dorosłych nuda i wypalenie wewnętrzne kończą się depresją, chorobą psychiczną, samobójstwem. Myślę, że samobójcy są ludźmi, u których zdolność do przemiany wewnętrznej czyli kreacji wypaliła się. Samobójstwo człowieka zupełnie mnie rozpierdala. Samobójcy są grzechem Boga.

Twierdzisz, że tym psychicznym tlenem jest zdolność do kreacji. Czy w takim razie wspinanie dostarcza Ci tego tlenu?

Ależ tak! Przecież podczas wspinania dzieje się w nas nieprawdopodobnie dużo. Wspinanie jest czystą kreacją. Wybór linii przez ścianę jest kreacją, ruchy w skale są kreacją. Przezwyciężanie własnego strachu i cierpienia jest kreacją. To wszystko jest dziełem wspinacza.

Instynkt kreatywny wyrażający się poprzez wspinanie to dar nad darami. Oznacza talent do wzlotu i szybowania w przestrzeni górskiej. Oznacza radość z przestrzeni górskiej. Ten dar wprost promieniował z Małolata.

Czy tylko wspinaczka daje taką wspaniałą możliwości kreacji? Czyżbyśmy byli tacy wyjątkowi?

Oczywiście, że nie. Podejrzewam, że Krea, czyli instynkt kreatywny, przenika i napędza nie tylko nas ludzi, ale również cały kosmos. Obsesyjnie postrzegam, że wszelkie nasze działania, a więc bogacenie się, sztuka, nauka, a także wojny są formami łapania tego wewnętrznego tlenu, bez którego zdychamy. Kiedy człowieka dopada wewnętrzna pustka, łapie się kreacji jak tonący brzytwy, np. szuka przebudzenia poprzez alkohol lub narkotyki. Na tym polega ich tragiczny powab. Wszelka konsumpcja, w tym obżarstwo jest ucieczką w żałosną namiastkę kreacji. Potrzeba zabawy też jest chwytaniem kreacji. Zabawa jest czystą kreacją. Zauważ jak dzieciaki uzależniają się od gier komputerowych. Cenię u ludzi umiejętność zabawy. Wydaje mi się, że osoby, które potrafią się oddawać zabawie, są mniej egocentryczne, mniej

„Ten dar wprost promieniował z Małolata".
Od prawej – Małolat, Wojtek i pierwsza żona Wojtka – Ewa Waldeck-Kurtyka.
Fot.: arch. Wojtek Kurtyka.

zazdrosne itd. W tym darze tkwiła wielka charyzma Riko Malczyka. Odruch bezinteresownej zabawy zawsze górował w nim nad poczuciem roli i ważności własnej osoby. Dlatego wspomnienie jego osoby do dzisiaj tak grzeje i wzrusza.

Nie jesteśmy zatem wyjątkowi. Po prostu wspinanie jest naszą kreacją, czyli kreacją małpy, zachwyconej połyskiem górskiej przestrzeni i grającej własną wolnością. Ejże, przekroczyliśmy limit na wartości. Obsuwamy się w nudziarstwo!

Okay, pogadajmy w takim razie o głupocie. Często mówi się: to głupi człowiek, to głupia sprawa, to skrajna głupota. Czym dla Ciebie jest głupota?

Można by sądzić, że głupotą jest brak rozsądku. Lecz, do licha, kilka świetnych rzeczy powiodło mi się w życiu wbrew rozsądkowi. Zwróć uwagę, że wspinanie z natury rzeczy jest pozbawione rozsądku. Geniusz nieraz objawia się w działaniach sprzecznych z rozsądkiem. Co ciekawsze, jeśli człowiekowi uda się coś wbrew rozsądkowi, satysfakcja jest tym większa, wprost boska. Stajemy się twórcami ponad rozsądną, czyli ludzką miarą. No więc nie tędy droga do zrozumienia głupoty. Trudno ją określić, a jednak zaryzykuję. Głupotą jest uleganie własnym złudzeniom. Złuda dopada nas przez całe życie, osacza nas zewsząd, dopiero co kochamy, a już nienawidzimy, piękne staje się brzydkie, rozkosz zamienia się w ból itd. Trudno się przed tym bronić. Warto przynajmniej wykształcić w sobie nieufność wobec dopadających nas uniesień i zachwytów.

Lęk towarzyszy człowiekowi w zasadzie całe życie. Czego się boisz?

Zapewne przeciwieństwa tego, co cenię w osobie najbardziej, czyli utrwalonego złego stanu ducha, a więc głęboko ukorzenionych złych myśli i emocji, które stopniowo zawładają naszym umysłem, zamieszkują w nas na stałe. Człowiek, który przez lata poddaje się negatywnym emocjom i myśleniu, np. złości, zawiści, nienawiści, z upływem czasu

coraz bardziej traci szansę na wydobycie się z tego złego stanu. Jeśli osoba wyhoduje w sobie taki zły stan ducha, jest zgubiona. Nie sposób się z niego wyzwolić. Człowiek brnie na zawsze w to, co sobie wyhodował, w złość, zazdrość lub podejrzliwość. Taka osoba dostrzega w otoczeniu wyłącznie niskie pobudki. W konsekwencji mamy do czynienia ze złymi staruchami. Człowiek zaszczuty tym fatalnym stanem ducha zatraca radość życia i wrażliwość na piękno. Jeśli jest cień prawdy o piekle w religii chrześcijańskiej, to tak właśnie ja je rozumiem. Dokładnie takie jest również buddyjskie rozumienie ludzkiej degradacji, polegającej na narastaniu w naszym życiu złego stanu ducha (karmy), który po śmierci rzekomo prowadzi do odrodzenia się w niższej, podlejszej sferze istot, stosownej właśnie do naszego wewnętrznego piekła. Być może tak jest. Nie wiem. Wiem jednak na pewno, że już teraz, w tym życiu, bywa mi bardzo źle z moim piekłem wewnętrznym. Jego boję się właśnie najbardziej. Chyba wolałbym chorobę lub śmierć.

Żartujesz?

Nie żartuję. W istocie moja psychika spontanicznie dokonuje tego wyboru. Jeśli nieraz, w jakichś trudnych okolicznościach życiowych, zdarzy mi się popaść w takie właśnie kłębowisko wewnętrznych żmij, staję się najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie, pogrążam się w mroku i wiesz co się zazwyczaj dzieje? Zaczynam fizycznie chorować. W sensie dosłownym. Gorączka, łamanie w kościach i takie różne... Mądry duch ucieka w fizyczną „śmierć". Pogrążam się w „trupie". Kiedy choroba się kończy i cudownie zdrowieję, wydobywam się z tej fizycznej kostnicy oczyszczony, odnowiony i lepszy. Ciekawe, prawda?

Czy uważasz, że wspinanie i kontakt z górami mogą być takim antidotum na te paskudne stany, o których przed chwilą mówiłeś?

Wydaje mi się, że tak. Wspinanie pełni funkcję oczyszczającej „Wielkiej Miotły". Doświadczenie strachu, przeżywanie piękna gór graniczące z uniesieniem, a nade wszystko poczucie wielkiej dumy z własnego wzlotu wymiata z nas neurotyczne śmieci i gówniane uwikłanie w gówniany świat. Dobra wspinaczka pozwala doświadczyć wewnętrznej wolności.

Alpinizm może być więc narzędziem i to narzędziem niezwykłym. Głęboko wierzę, że alpinizm może stać się Ścieżką, czyli drogą wewnętrznego i fizycznego rozwoju człowieka. To świetne narzędzie jest jednakże obosieczne, może nas wynieść wysoko lub zniszczyć.

Co masz na myśli, mówiąc wynieść lub zniszczyć?

Jestem przekonany, że alpinizm wynosi i niszczy w dwóch wymiarach. Społeczeństwo łatwo zauważa fascynujący wzlot alpinisty w przestrzeni górskiej lub jego upadek, czyli śmierć górską. Śmierć w górach fascynuje. Zapewne dlatego, gdyż jest bezczelną próbą dzielnego człowieka zagrania śmierci na nosie. Alpinizm jednak może nas w tej samej mierze wynieść na wyżyny lub zdegradować w sensie psychicznym. Możemy zbliżyć się do gwiazd lub przeciwnie, zachwyceni własnym górskim wzlotem, możemy stoczyć się w niebezpieczną dumę, która łatwo przeistacza się w bezczelną pychę. Stąd trafiająca się w naszym środowisku ksywa „boski".

Jak działa taki mechanizm?

Myślę, że im silniejszy, im bardziej fascynujący jest akt kreacji, tym poczucie własnej wybitności i chwały jest większe. Alpinizm jest cudowną kreacją i właśnie dlatego jest niebezpieczny. Doświadczenie wspinaczkowe na każdym kroku przekonuje nas, że sami sobie zawdzięczamy swój sukces, swoją chwałę i uniesienie. Gdy wydobywamy się z tarapatów, zachwyceni jesteśmy swoim geniuszem i zręcznością. Łatwo ulegamy wrażeniu, że jesteśmy wyjątkowi. Stajemy się pępkiem świata. W konsekwencji marnieje nasze poczucie jedności z otoczeniem i zdolność współodczuwania z nim. Krótko mówiąc, wspinacze, podobnie jak inne kreatywne środowiska, miewają skłonność do egocentryzmu. Łatwo ulegają obsesyjnej potrzebie kreowania własnego wizerunku. Stają się głodnymi duchami żerującymi na targowisku próżności. No i proszę, w ten właśnie sposób zaliczamy obsuwę w „złoty lunatyzm". Do licha, chyba zazdrosny jestem o autorstwo tego poetyckiego określenia. Kto wie, ono może symbolizować odnowę etyki wspinaczkowej? A Dejw okaże się odnowicielem....

A co się dzieje, gdy zaczynamy przeistaczać nasze wspinanie w rodzaj medialnego biznesu?

Chyba nie wypada stawiać własnego życia na krawędzi czy mamić nieskończonym pięknem gór po to, aby zachwycić publiczność swoją osobą. Jedzie to tandetą. Ale, do licha, zapewne można to też robić w czystych intencjach, w geście podarunku. Często dostrzegałem u naszych gwiazd szczerą skromność, a nawet pokorę. Ujmowały mnie one u Piotrka Pustelnika czy Kingi Baranowskiej. Kukuczka i Wielicki radzili sobie z popularnością z większym wdziękiem niż ja. Jeszcze bardziej zachwyca w czasach łatwej konsumpcji wyczyn i postawa Gołębia i Bieleckiego na G1. Wydaje mi się,

„Dla pokolenia panelu niezrozumiała jest duma z doznanego w górach cierpienia”.
Zespół tuż po zejściu do bazy po nowej drodze na siedmiotysięczniku Kohe Tez, rok 1972.
Od prawej: Wojtek, Alicja Bednarz, Rysiek Kozioł (kierownik wyprawy).
Fot.: arch. Wojtek Kurtyka.

że wspinacze jako artyści wolności instynktownie wyczuwają, że gwiazdowanie jest obciachowe. Zauważ, kiedy pojawia się przypadek tandetnego gwiazdorstwa, nasza społeczność reaguje zbiorowym gniewem i kpiną. Co tu gadać, takie przypadki są równie odpychające, jak wykorzystywanie religii lub działalności charytatywnej do bogacenia się.

Od początków naszej przygody z górami upłynęło wiele czasu. Pojawiły się pokolenia młodszych i całkiem młodych wspinaczy. Czy widzisz istotną różnicę w ich podejściu do wspinania i uprawiania alpinizmu?

Różnice są ogromne. Wszystko się zmieniło. Wprost trudno odnaleźć to, co pozostało…

Czy mógłbyś nieco rozwinąć ten temat?

Przede wszystkim pojawił się panel i wspinanie sportowe, które są świetną formą gimnastyki i sportu. Jest to jednak świat, który niewiele ma wspólnego z romantycznym etosem górskim. Pokolenie panelu wartość wspinania ogranicza do kultu cyfry, czyli do trudności technicznych. Obce jest mu wyzwanie ryzyka, niezrozumiała jest duma z doznanego w górach cierpienia. Pokolenie to nie rozumie, że alpinizm robi w bólu wewnętrznym, a nie w oporze materii.

Wraz ze wspinaniem sportowym przeniknął do alpinizmu cały ten medialny syf, a więc listy rankingowe, podium, spektakl medialny i takie różne. W wyniku tego również w górach mamy na porządku dziennym wyścigi i widowiska. Normą stały się transmisje internetowe i radiowe z himalajskich ścian. Rob Hall umierał na Evereście przez telefon. Tomaž Humar wchodził solo w południową ścianę Dhaulagiri z porażającym publicznym oświadczeniem, że ma bilet w jedną stronę. No i świat wpatrywał się z zapartym tchem, jak daleko dojedzie. Ze ściany szły relacje z każdej dramatycznej chwili. Jeszcze lepsze widowisko Tomaž zafundował światu, gdy utknął na flance Rupal bez szans na wycof. Zrobił się z tego dla milionów obserwatorów fascynujący spektakl umierania. Uratowali go jednak pakistańscy piloci helikoptera.

Wzruszająca jest przemiana Tomaža Humara. Pojawiła się w nim skrucha i pokora, zaczął się wspinać zupełnie bez me-

diów. Kiedy samotnie zginął na Langtangu, czułem z żalem, że odszedł wrażliwy duch i ktoś bliski. Warto powstrzymać się nieraz z pochopną krytyką intencji alpinisty.

Zmieniło się tak dużo, że sami wspinacze często nie rozróżniają własnej ambicji czynu od ambicji zaszczytu.

Wspomniałeś o kulcie cyfry. Wydaje się, że nagminnym zjawiskiem w środowisku wspinaczy jest ocenianie człowieka poprzez pryzmat tzw. cyfry. Czy czujesz się w ten sposób oceniany?

Chyba nie. Ale kult cyfry wkurza, no bo, nie oszukujmy się, cyfra nie szanuje lodowego sopla u sinego nosa. Zwróć uwagę, że zimowe wejście Gołębia i Bieleckiego na G1 z trudnościami technicznymi niewiele ma wspólnego, a jednak budzi wielki szacunek. Porcja ryzyka i udręki dech zapiera. To wejście reprezentuje klasyczną polską szkołę. W czasach konsumpcji i igrzysk działa jak świeży powiew i inspiruje. Tymczasem pokolenie panelu z cierpienia robi sobie jaja. Sztuczna asekuracja eliminuje ze wspinania ryzyko. No i co? No i nie wypiłby sobie piwa Kukuczka z Korczakiem.

Z drugiej strony przyznaję, że trudności techniczne są nerwem alpinizmu. Bez rzetelnych trudności alpinizm zdycha. Stawiam je w alpinizmie wyżej niż ryzyko i cierpienie. Ale co z tego, cyfra nie odzwierciedla rangi wewnętrznego doświadczenia w alpinizmie. Jak wspomniałem, alpinizm robi w bólu wewnętrznym, a nie w oporze materii. A zatem szanuję cyfrę, a jednak mam cyfrę w dupie. Rozumiesz coś z tego?

Tak. Oprócz cierpienia i bólu lubisz robić w kōanach czyli zaprzeczać sam sobie. Przyznaję, że nieraz racjonalna sprzeczność, wymusza zrozumienie istoty rzeczy na innym, głębszym poziomie. Ale idźmy dalej. Sport to podium i nagrody. W wyróżnianiu i nagradzaniu ludzi nie ma chyba nic zdrożnego. Co sądzisz o nagrodach?

Owszem, w nagrodach jest coś zdrożnego. Czy widziałeś wybuchy płaczu i napady histerycznej radości przy wręczaniu Oscarów? To sygnał całkowitego uzależnienia. Niewiele ma to wspólnego z dumą, wolnością i pokorną służebnością artysty. Widzę jedną, jedyną godną rolę dla dzieła mojego życia – funkcję podarunku dla reszty. Nietrudno odgadnąć, że te statuetki są obsesją tych gwiazd. Nagrody publiczne niby wyrastają z niewinnej potrzeby wyróżnienia czegoś wartościowego: piękna, stylu i wartości sportowej, i jeśli rzeczywiście tę rolę spełniają, stają się dla nas wszystkich pożyteczną wskazówką. Nagrody jednak są gorącym towarem w ludzkiej rywalizacji. Łatwo ulegamy ich powabowi. Jak narkotyk budzą głód oddźwięku publicznego, którego nie sposób nasycić. Stwarzają w nas złudne poczucie „bycia kimś". Jeśli to wrażenie przylgnie do nas, tracimy możliwość bycia naprawdę sobą, stajemy się tym wirtualnym „kimś", a naszą energię pożera ta urojona sfera. Myślę, że tracimy wolność. Oznacza to zdradę powołania wspinacza, przecież wspinanie jest sięganiem po wolność.

Zgoda, a jednak wydaje mi się, że to od nagrodzonej osoby zależy, co z nagrodą zrobi i do czego jej ona posłuży. Czy sądzisz, że nagrody wśród wspinaczy są niebezpieczne i powodują wypaczenie prawdziwego sensu wspinania, gdyż jesteśmy po prostu z natury słabi?

Podejrzewam, że w konfrontacji z nagrodami i zaszczytami wszyscy jesteśmy słabi. Począwszy od wyróżnianego dzieciaka, kończąc na noblistach. Po prostu potrzebujemy wzajemnej akceptacji. Przyznaję ze skruchą, że pragnę waszej przyjaźni, ale… przeraża mnie wasze uznanie. Nie wiem, czy potrafię przyjąć nagrodę bez poplamienia się. Trzeba do tego wielkiej czystości. Nagrody publiczne są podarunkiem od świata. Lecz jest to podarunek trudny i kłopotliwy. Pożądanie go wskazuje na próżność, odrzucenie go wskazuje na… próżność. Każdy z nas powinien odnaleźć swój wewnętrzny klucz do czystego przyjęcia nagrody, zapewne jakiś miks wdzięczności i pokory. Dla mnie jest to wyzwanie równie trudne jak najtrudniejsza wspinaczka. Pokolenie dinozaurów miało chyba łatwiej. W tamtych czasach jedyną nagrodą za super wspinaczkę był szemrany podziw. Ooo, to naprawdę boska nagroda. Naturalnie, o ile Bóg istnieje. Ale sza… odsłaniam się.

Chyba mnie w końcu sprowokowałeś do zadania tego pytania. Nawiązujesz do religii, wspomniałeś o wizji piekła. Czy zatem wierzysz w Boga?

Nie wierzę. Chociaż… właściwie wierzę.

Wierzysz i nie wierzysz? Znowu kōan. Chyba jednak poproszę, żebyś się z niego wytłumaczył. Powiedz przynajmniej, czy masz jakąś wizję Boga?

Ustalanie parametrów Boga to obciachowa misja, chociaż, owszem, kręci mnie. W końcu chodzi o nie-czas, nie-przestrzeń. Odpowiem cwanie: Bóg jest niczym, jest wszystkim. Być może jest bytem rozpostartym w kosmicznej próżni lub zagęszczonym w czarnych dziurach. Nieraz miewałem wrażenie, że nasza ludzka umysłowość jest jego cząstką. Takie odczucie silnie towarzyszyło mi, kiedy pierwszy raz

w życiu patrzyłem na Tatry. Podobnie odczuwałem pod Trango Tower. Później czułem podobnie w zupełnie zwyczajnych okolicznościach: w lesie lub ogrodzie.

Nie wiem czy Bóg istnieje, lecz mam niezbity dowód na istnienie wymiaru duchowego. No bo, do licha, przecież nasze myśli, wyobrażenia, uczucia nie mają kantów ani szorstkości. Nie złapiesz ich za ogonek ani nie pogłaszczesz. A jednak są „czymś" i istnieją do bólu. Są więc oczywistym bytem, a jednak materią nie są. Natrętnie dostrzegam tę oczywistą oczywistość i wyciągam z niej wniosek: skoro te niematerialne twory istnieją, to wszystko jest możliwe. Również Bóg. Ale kto go tam wie?

Czy skłonny byłbyś przypisać Bogu choćby jedną właściwość lub cechę?

Daj spokój. Chyba jednak bym się nie odważył.

Chyba łatwiej mi powiedzieć, czym dla mnie Bóg nie jest, bo akuratnie o to ocieram się od dzieciaka. Po prostu obiegowa wizja Boga przeraża mnie. Nic na to nie poradzę, ale nie potrafię uwierzyć, że Bóg jest tą okrutną, wymagającą ślepej lojalności istotą, która gotowa jest skazać nas na wieczną mękę. Przykro mi, ale marzy mi się Bóg, który zamiast surowo nakazywać „nie będziesz miał bogów cudzych przede mną", poleci „będziesz szanował bogów cudzych". Tęsknię za religią, która potwierdzi moje poruszające odkrycie i dostrzeże duszę w brązowych oczach mojego psa Wilczusia. Marzy mi się Bóg, który przynajmniej zaleci modlitwę za udrękę zwierząt przeznaczonych do uboju na świąteczny stół. Ale kurde, smutno mi, nie mam szans na modlitwę za ubój. Kapłani lubią mięso, no i Boga wielbią daniem mięsnym na świątecznym stole.

No cóż, pewnie znowu grzeszę. Zlituj się Boże miłosierny!

Ale cholera, miłosierdzie boże też nie działa. Zawsze złościła mnie pustota w obiegowej idei miłosierdzia bożego. Ileż jeszcze trzeba holokaustów, tsunami, dzieciaków umierających z głodu i różnych takich, aby wierny lud zbuntował się i wykrzyczał z gniewem: miłosierdzie boże jest do dupy! Ale jak na razie rosną nowe sanktuaria miłosierdzia bożego i oczywiście dziur w miłosierdziu bożym nie łatają. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że jak człowiek postara się i ma trochę szczęścia, to sam sobie może zrobić miłosierdzie boże.

A to ciekawe? Niby jak?

Owszem, owszem. Wspominałem już o najlepszych chwilach, również w górach, w których osiągałem coś w rodzaju uwielbienia i oddania dla świata, życia. Wówczas zanikało we mnie poczucie nędzy ludzkiego losu i pojawiała się pokorna, pozbawiona żalu i lęku, zgoda na wszystko, co się wydarzy, włącznie ze śmiercią. Można by powiedzieć, że dopadał mnie rodzaj wielkiego miłosierdzia. Ale to bywały tylko chwile. Dzień powszedni pouczał, nie bądź durniem...

Myślę, że ta wizja Boga, którą stworzyły nam ludy semickie przed kilku tysiącami lat, jest najboleśniejszym i najbardziej szkodliwym balastem, jaki obciąża umysł ludzki w całej jego historii. Dlatego już w liceum zbuntowałem się i odmówiłem lojalności.

To odważnie. Jak do tego doszło?

Mój Tata był bardzo rozgoryczony. Wreszcie wygarnął mi:

– Wiem, że nie dostrzegasz w Chrystusie Boga, ale mógłbyś przynajmniej dostrzegać w nim wielkiego człowieka.

– Tato, ale jak? – odparłem. – Jak dostrzegać wielkość w człowieku, który zwodzi, że jest Bogiem?

Chociaż, kto go tam wie, może był Bogiem? W końcu Jasiu Franczuk był bogiem małych rzeczy. Przyznaję jednak, że w jednym wydaniu postać Chrystusa głęboko mnie wzruszyła, w musicalu „Jesus Christ Superstar". Do tej pory, gdy słucham przerażonego własnym losem Chrystusa, który w przeddzień pojmania śpiewa z bezdennym smutkiem w Ogrójcu: „Then I was inspired, now I'm sad and tired", mam gulę w gardle. Udręka zwątpienia w chwili ostatecznego wyboru jest mi bliska. Naturalnie, znowu ze wspinania.

Czy myślałeś kiedyś o tym, aby zerwać ze wspinaniem?

Wyobraź sobie, że nie. Barbarzyństwem byłoby porzucić miłość odwzajemnioną. Nie mam wielkich oczekiwań. Wystarczy mi dotyk ciepłej skały, wystarczy przestrzeń górska. Góry są moim tchnieniem.

Dziękuję za rozmowę

Z wzajemnością. ■

KRAJOBRAZ ZE ŚCIANY

Zachodnia ściana Petites Jorasses widziana z Grandes Jorasses.
Wraz z wytyczeniem *Anouk* i jego ospitowanych zjazdów, starsze drogi,
takie jak *Contamine*, straciły sporo ze swej dawnej powagi. Fot.: Lindsay Griffin.

Lindsay Griffin

TRADYCYJNE WARTOŚCI

Tłum. Robert Subdysiak

Co definiujemy jako wspinanie tradowe w Wielkiej Brytanii? Do niedawna wyróżnialiśmy jedynie *wspinanie* i *wspinanie sportowe*. BMC (British Mountaineering Council), organizacja reprezentująca wspinaczkę, alpinizm i trekking w Wielkiej Brytanii, określa drogę tradową jako linię pozbawioną – w większości lub w całości – stałych punktów asekuracyjnych lub stanowisk. Zdarzają się jednak drogi, które – pomimo tradowego charakteru – posiadają dodatkową asekurację z haków lub spitów, umieszczonych na stałe ze względu na niezwykłą trudność w wykorzystaniu na drodze kości i friendów. Element stałej protekcji nie zmienia jednak zasadniczo pojmowania drogi jako tradowej. Do autora pierwszego przejścia należy ocena, czy naturalna protekcja na jego drodze jest wystarczająca, czy też nie.

Na terenie Wielkiej Brytanii występuje wiele rejonów czy też sektorów, gdzie możemy znaleźć zarówno wspinanie sportowe, jak i czysto tradowe – zdarzają się też mieszanki obu stylów. Dwa najbardziej znane rejony oferujące tak różnorodne wspinanie to Malham w hrabstwie Yorkshire oraz kamieniołom łupkowy Llanberis w Północnej Walii. Ogólnie rzecz biorąc, brytyjscy wspinacze uważają ten stan za satysfakcjonujący i szanują różnorodność stylów.

Przed nadejściem lat 60. ubiegłego wieku wspinacze zazwyczaj nosili ze sobą drobne kamienie, które były zacierane w rysach i przewiązywane na podobieństwo kości, bądź asekurowali się z węzełków podobnie jak Czesi w piaskowcach. Następnie wprowadzono olbrzymie kości z wywierconymi otworami, które pozwalały na użycie pętli do asekuracji. Kowal John Brailsford stworzył w 1960 roku pierwszą kość przeznaczoną do asekuracji podczas wspinania, a niedługo potem pojawiły się prymitywne kości wykorzystujące druciane cięgła.

Wbijanie haków w naszych skałach zawsze wzbudzało etyczne wątpliwości. Nawet jednak gdy wspinałem się w latach 70., wielu wspinaczy miało w zwyczaju nosić ze sobą młotek i kilka haków do budowania stanowisk. Bicie haków do asekuracji w trakcie wyciągu nie było mile widziane, jednak budowanie bezpiecznego stanowiska wydawało się akceptowalne.

W tamtych czasach zdecydowanie częściej spotykana była stała asekuracja. Większość z osadzonych haków rdzewiała i nie była nigdy wymieniana, gdyż pojawiały się nowości sprzętowe w postaci nowoczesnych mikrokości, friendów itp. Ponieważ szpej nadal był dość ubogi w porównaniu do współczesnego, dość często kombinowano, naginając standardy etyczne i marginalizując problem stylu. Nie zmieniało to jednak faktu, że wspinaniu wciąż towarzyszył dreszcz przygody.

Nie rozwodząc się zbytnio nad minionymi czasami – gdyż współcześnie również można spotkać wielu młodych i odważnych wspinaczy – kiedyś przeciętny brytyjski wspinacz o wiele częściej dokonywał niebezpiecznych przejść. Wtedy heroiczne wspinanie było po prostu normą. Musimy pamiętać, że w latach 70. bezpieczny to był seks, a nie wspinanie.

Aż do połowy lat 70. w Wielkiej Brytanii wspinaliśmy się po prostu w skałkach. Jeśli chcieliśmy się rozwinąć, wspinaliśmy się zimowo w Szkocji, a krokiem dalej był wyjazd w Alpy. To wszystko. Poza wyjątkami, które zdarzały się, gdy miałeś na nazwisko Bonington, alpiniści nie potrafili ruszyć w stronę Himalajów, ponieważ: a) nie nastały jeszcze czasy tanich lotów i całkowity koszt wyprawy wydawał się nie do przeskoczenia, b) jedynie niewielka grupa osób wiedziała, co się z tym wiąże, a to sprzyjało powstawaniu psychicznej bariery przed takim przedsięwzięciem. Oczywiście jest to duże uproszczenie – z pewnością zdarzały się grupy ludzi poszukujących wspinania w zagranicznych rejonach, takich jak Yosemite. Jednak dopiero pod koniec lat 70., gdy Francuzi zaczęli odchodzić od przygody na rzecz sportu, brytyjska czołówka zaczęła opuszczać Wyspy i próbować swoich sił na drogach ubezpieczonych hakami i coraz bardziej popularnymi spitami. Przenieśli następnie tę ideę do Wielkiej Brytanii, aby zmienić panujące tam standardy.

Dlaczego więc brytyjscy wspinacze są tak przywiązani do tradu, podczas gdy reszta Europy została opanowana przez sportowe podejście? To dobre pytanie. Można powiedzieć, że zawsze byliśmy trochę szaleni, jednak sądzę, że głównej przyczyny należy szukać w stosunkowo małej liczbie skał, a także tym, że praktycznie większość dróg na wyspach nadaje się do poprowadzenia na własnej protekcji. Co więcej, wydaje się, że wpojono nam szacunek dla tradycji i pionierów w danych dziedzinach – być może jest to nawet bardziej widoczne niż w innych krajach. Z pewnością w latach 80. i 90. nasi czołowi sportowi wspinacze byli również świetnymi tradowcami i zdawali sobie sprawę, że do podwyższenia poziomu wspinania „na własnej" muszą zwiększyć swoje umiejętności sportowe.

U schyłku lat 70., wraz ze wzrostem zrozumienia wobec spitów i podnoszeniem standardów free climbingu w Europie, nieunikniona stała się próba przeniesienia nowego podejścia w góry.

Gdzie więc można było to zrobić lepiej, niż w tyglu alpinizmu, jakim był masyw Mont Blanc? W 1980 roku dwóch młodzieńców z Genewy otworzyło nową drogę na północnym filarze Aiguille des Pélerins. Poprzednie drogi mniej więcej trzymały się systemu rys, gdzie haki czy kości mogły wystarczyć do asekuracji. Jednak nowa droga Szwajcarów prowadziła bardzo trudnymi (jak na tamte czasy – wycenionymi na francuskie 6b+) płytami, z kilkoma odcinkami litego granitu. Na jednym z nich autorzy ręcznie osadzili spit.

Naturalnie nie był to pierwszy raz, gdy spity zostały użyte w masywie Mont Blanc: w 1956 roku świetny tradowiec, Gaston Rébuffat, wbił spit na stanowisku swojej klasycznej drogi na południowej ścianie Midi. Kilka miesięcy później, szwajcarski zespół użył czterech spitów na gładkiej ścianie

u szczytu ich nowej drogi na Petit Clocher du Portalet. Jednak spit wbity na Pélerins był prawdopodobnie pierwszym osadzonym jedynie w celu asekuracji na drodze. Autor, Michel Piola – być może nieco zuchwale – czuł, że przepowiada przyszłość, stąd nadał drodze nazwę *Nostradamus*.

Należało mu przyznać rację, gdyż po osadzeniu tego spita na *Nostradamusie* wspinanie w masywie Mont Blanc nigdy już nie było takie samo.

Dwa lata później kierunek eksploracji zupełnie się zmienił. Zaczęto przyglądać się nie tylko naturalnym liniom wyznaczanym przez system rys, lecz celowo wybierano lite płyty. Piola zdał sobie sprawę, że idealnym miejscem na tego typu realizacje był Grand Capucin. Tak też powstały *Podróże Guliwera* – wciąż jeden z wielkich klasyków Mont Blanc – otwarty przy minimalnym użyciu ręcznie osadzonych spitów.

Ten rodzaj wspinania wymagał zupełnie innego podejścia, niż tradycyjnie prezentowane w alpinizmie. O takich trudnościach technicznych nikt wówczas nie słyszał w Alpach Zachodnich i dni wspinania w wielkich skórzanych butach, z ciężkimi plecakami minęły bezpowrotnie. Nowe drogi narzucały lekki, skałkowy typ wspinania. Także tym razem nie była to nowość: już Martin Boysen użył skałkowych butów do powtórzenia drogi na południowej ścianie Fou w 1968 roku. Wtedy uznano jego czyn za oszustwo. Wspinanie „na lekko" oznaczało konieczność pozostawienia górskich butów i plecaków u podstawy ściany. Jak zatem wycofać się ze szczytu?

Odpowiedź była oczywista: stanowiska z dwóch spitów. Ten krok oznaczał w gruncie rzeczy początek wspinania

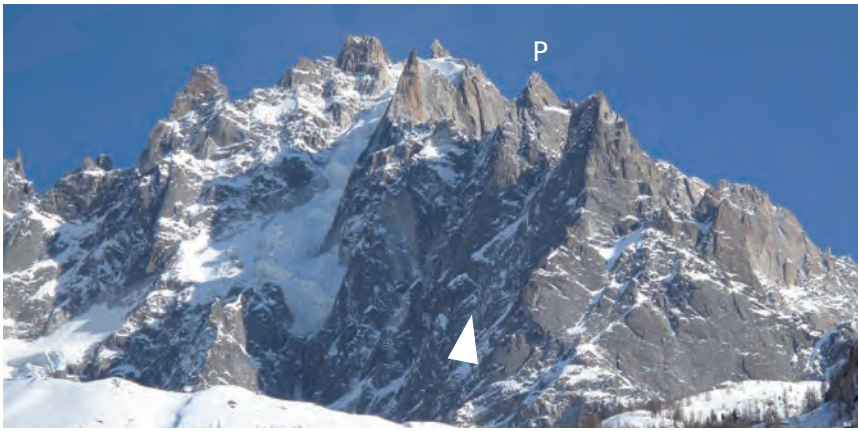

Aiguille des Pélerins (P): Spit osadzony w 1980 roku przez Michela Piolę do asekuracji na *Nostradamusie* (oznaczonym strzałką) okrzyknięty został punktem zwrotnym we wspinaniu w masywie Mont Blanc. Fot.: Lindsay Griffin.

rekreacyjnego – ograniczenia niebezpieczeństwa na rzecz przyjemności z samego wspinania. Chciałbym przytoczyć w tej sprawie tylko jeden przykład – drogi na zachodniej ścianie Petites Jorasses. Myślę, że gdy zdobyłem tę ścianę na początku lat 70., klasyczna *Contamine* była jedyną prowadząca tamtędy drogą. Ogólnie byliśmy wolni i niedoświadczeni, więc zabraliśmy ze sobą rzeczy na wypadek biwaku – nie tyle podczas wspinaczki, co ze względu na skomplikowane i czasochłonne zejście. Ze szczytu trzeba było najpierw zjechać do ośnieżonego kamienistego kuluaru (w którym obecnie muszą panować latem straszne warunki), zejść nim unikając luźnych kamieni, wykonać kolejny trudny zjazd, przebyć poskręcany lodowiec i ostatecznie dotrzeć do oddalonego Biwaku Gervasuttiego. Następnego dnia czekało nas długie zejście do Val Ferret, spacer i stopowanie do Courmayeur, a potem powrót tunelem do Chamonix.

W latach 70. zjazd zawsze był postrzegany jako niebezpieczeństwo i traktowany jako ostateczność w przypadku decyzji o wycofie. Do powstania nowoczesnych dróg konieczna była zmiana tego nastawienia. Gdy Piola otworzył *Anouk*

Ściana Brouillard na Mont Blanc z *Freneyem* po prawej. W 1965 roku Ballie, Bonington, Harlin i Robertson wspięli się prawym z trzech wybitnych filarów, a następnie częściowo w górę, bardziej potrzaskanym terenem prowadzącym do widocznej na tle nieba grani Brouillard. Jednak gdzie rzeczywiście powinna się kończyć ta droga? „Czy rzeczywiście ją przeszliśmy?" – zastanawiał się Baillie. Fot.: Antonio Giani.

– pierwszą linię w masywie Mont Blanc ubezpieczoną setką spitów – biegnącą wzdłuż wspominanej *Contamine*, całe zaangażowanie, jakim musieliśmy się wcześniej wykazywać, zniknęło. Obecnie po pokonaniu *Contamine* możliwy jest szybki zjazd z bezpiecznych stanowisk od samego szczytu. Pojawiła się także opcja ucieczki z drogi w miejscach, gdzie możliwe jest przetrawersowanie do sąsiedniej *Anouk*. Nie mówię, że to źle, ani że to lepiej: teraz jest po prostu inaczej.

Opisywane zmiany w konsekwencji doprowadziły także do zmian w postrzeganiu samej definicji drogi. Tradycyjnie droga musiała posiadać „logiczny koniec" w postaci szczytu bądź grani, co wynikało z konieczności późniejszego zejścia. Gdy skupiono się bardziej na samych pokonywanych trudnościach, tradycyjne wartości wyrzucono do kosza. Dla przykładu, z pewnością wiele osób pokonało *Superkuluar* Mt Blanc du Tacul w powszechnie akceptowany sposób: wspinając się do końca trudności i zjeżdżając. Jednak zarówno przed pierwszym przejściem drogi przez Gabarrou w 1975 roku, jak i w dwa lata później, kilka zespołów pokonało w przybliżeniu wszystkie trudności – które nie sięgają nawet do połowy ściany – po czym wycofało się w czasie burzy. Żaden z zespołów nie był przekonany, że zrobił drogę.

Tak zaczęło się przesuwanie „linii mety", w celu wyeliminowania niewygodnych fragmentów dróg. Powszechnie uważa się, że zaczęło się to w latach 80., ale czy rzeczywiście? Nie, tak naprawdę musimy się cofnąć co najmniej do roku 1965 i pierwszego przejścia Prawego Filara Brouillard na południowej ścianie Mont Blanc.

W tamtym czasie Rusty Ballie i Chris Bonington podjęli dwie próby pokonania filaru, który wówczas był jedną z „ostatnich poważnych i niepokonanych formacji" w okolicy. Podczas drugiej z nich dotarli do granicy trudności. Powrócili po trzecią próbę, w towarzystwie Amerykanów Johna Harlina i Scota Briana Robertsona. Tym razem osiągnęli „koniec trudności" i rozpoczęli podejście powyżej grani

Brouillard (Prawy Filar nie kończy się szczytem, a jedynie przechodzi w łatwiejszy teren). Nadeszła burza, zespół wycofał się do biwaku i następnego dnia zjechał drogą. Nikt – nawet w 1965 roku – nie miał wątpliwości co do tego, że dokonali pierwszego przejścia (częściowo być może ze względu na swój status – byli wtedy jednymi z najlepszych alpinistów). Trudno też było oczekiwać od Ballie'go i Boningtona, że znajdą motywację do czwartej próby. Jednak, jak pisał sam Ballie: „czy rzeczywiście pokonaliśmy drogę? Czy Prawy Filar kończy się na szczycie Mont Blanc, na grani Brouillard, czy na szczycie samego filara? Czy w ogóle gdziekolwiek się kończy?".

Następstwa były interesujące. Gdy wraz z Rogerem Everettem dokonaliśmy pierwszego powtórzenia drogi w 1973 roku, dotarliśmy przed biwakiem około 50 metrów wyżej niż autorzy. Nie pamiętam dokładnie, jak rozwinęła się nasza dyskusja, jednak gdy następnego dnia ruszyliśmy w stronę grani Brouillard i zobaczyliśmy olbrzymie chmury nadciągające z zachodu, dość łatwo ulegliśmy przekonaniu, że możemy zjechać z tego miejsca, odebrać należne medale i cieszyć się z przejścia. Precedens był już ustanowiony. Bonington wyprzedzał wszystkich we wspinaniu „do końca trudności".

Przechodząc do kwestii gór wysokich – gdzie tradycyjnie ludzie podróżowali po dzikość i przygodę – jak przedstawia się kwestia etyki w używaniu spitów? Jakiś czas temu BMC wydała oświadczenie, które następnie przyjęła UIAA:

> *UIAA wierzy, że w trosce o przyszłość światowego wspinania, zespoły udające się w oddalone i dzikie rejony górskie powinny dołożyć wszelkich starań, aby zminimalizować ingerencję w skałę poprzez wiercenie, w szczególności powstrzymywać się od użycia wiertarek.*

Można twierdzić, że odwiert to odwiert – niezależnie od tego czy wykonała go ręka, czy wiertarka – a jednak gdy uświadomimy sobie, że na ręczne wywiercenie w granicie otworu na spit trzeba poświęcić co najmniej pół godziny ciężkiej pracy, zastanowimy się dwa razy zanim zdecydujemy się osadzić coś na stałe. W ten sposób proces sam się reguluje.

W 1998 roku Conrad Anker zdobył zachodnią ścianę Latok II, która w tamtych czasach była uznawana za wyznacznik wspinania w Himalajach. Zgodzę się, że nie jest to najlepszy przykład: po pierwsze dlatego, że każda historia może

Południowa ściana Annapurny o wysokości 2300 m, z siedmioipółkilometrową wschodnią granią wyznaczającą horyzont: pole bitwy dla podręcznikowego alpinizmu. Fot.: Lindsay Griffin.

być opowiedziana na kilka sposobów, a niektóre z jej szczegółów są kwestionowane; po drugie, dotyczy ona również Alexa Hubera, który jest bezsprzecznie jednym z najlepszych bigwallowych wspinaczy na świecie.

Anker planował zdobycie ściany, korzystając z tradycyjnego wyposażenia, szanując filozofię Shiptona czy Mugsa Stumpa. Jednakże, jak wspomina: „Alex się nie zgodził. W 1995 roku nie dawał sobie rady ze wspinaniem w stylu alpejskim. Pozbawiony zysków z udanej wyprawy mógłby stracić dom. Dlatego zdecydowaliśmy się zagwarantować sobie sukces w każdy możliwy sposób: biorąc ze sobą liny, spity i wiertarkę".

„Wspaniały pomarańczowy granit z gościnnością witał nasze przeloty, portaledge i biwaki. Jednak gdy jeden z haków gwałtownie wypadł, Alex wyciągnął wiertarkę i »z pomocą małej dziurki przechytrzyliśmy to miejsce«. Spędziliśmy w ścianie osiem dni i w tym czasie liczba spitów wzrosła do 70. Czułem, że zabijaliśmy smoka, którego chcieliśmy pokonać".

Porównajmy to z przejściem *Drogi Norweskiej*, którego dokonano rok później na 1500-metrowej, wschodniej ścianie Great Trango Tower, o trudnościach VII, 5.11, A4. Zgoda, jest ona prawie o tysiąc metrów niższa, ale jej trudności są o wiele większe. Norwegowie spędzili 38 dni w ścianie, korzystając ze znikomej ilości ręcznie osadzanych spitów. W ten sposób osiągnięto bardzo wysoki poziom, pokonując prawdopodobnie najtrudniejszą wielkościanową drogę powyżej 6000 m n.p.m. Czy ktoś to przebił? Nie wiem.

W ostatnich latach zauważalne jest znaczne przesunięcie granic możliwości w górach wysokich. Wielu wspinaczy chce obecnie usuwać niewygodne elementy z równania – chcemy uciekać w dzicz, chcemy przygody, a jednak nie godzimy się na poświęcenia, z którymi się to wiąże – poszukujemy kompromisu.

Rolando Garibotti – uznawany za strażnika etyki w Patagonii – uważa, że są to „odważne przedsięwzięcia" czy też „nadzwyczajne próby", zasługujące na szerokie uznanie. „American Alpine Journal", który nadal hołduje tradycyjnym wartościom, określa takie przejścia jako niekompletne i zasadniczo nie wymienia jakichkolwiek nazw nadawanych tak powstałym drogom.

W pewnych przypadkach uzasadnione może być zbadanie kwestii zamiaru. Czy wspinacze planowali dotrzeć jedynie do szczytu filaru albo środka długiej grani, a następnie zjechać? Weźmy jako przykład „nową drogę" w Karakorum, która jako taka została przedstawiona i nazwana przez swoich zdobywców. Pokonana linia biegnie dziewiczym terenem, jednak nieco poniżej szczytu lider zespołu złamał nogę w kostce, co zadecydowało o odwrocie z tego punktu. Ich pierwotnym zamiarem z pewnością nie było zjeżdżanie ze wspomnianego miejsca – jak więc wpływa to na ocenę ich przejścia?

A co z różnorodnością stylów? Intuicja podpowiada, że najczystszy jest styl alpejski, którego etykę przejęły nowe kryteria Złotego Czekana. Najlepszym przykładem tego stylu na dużych wysokościach jest prawdopodobnie zdobycie zachodniej ściany Gasherbruma IV w 1985 roku. Nie jesteśmy w stanie dokładnie określić jego trudności technicznych według współczesnych skal, jednak wiemy, że przejście było ryzykowne i wymagało absolutnego poświęcenia, ze względu na długie, słabo ubezpieczone pasaże, a także trudne zejście nieznanym terenem. Podobny poziom prezentowało pokonanie *Drogą Katalońską* południowej ściany Annapurny w 1984 roku. Oba wyczyny liczą sobie już ponad ćwierć wieku i choć można twierdzić, że osiągnięcia te zostały wyrównane, wątpię, że kiedykolwiek zostaną przebite.

Gdy mowa o innych stylach, w przypadku nadzwyczajnych trudności pojawią się na ogół ustępstwa w czystości stylu na rzecz bezpieczeństwa – to zrozumiałe. Obecnie nie jest już możliwe pełne alpejskie przejście *Zachodniej Ściany Direct* na K2, ani północnej ściany Jannu. Obie drogi są niezwykłe i można twierdzić, że na obecnym stadium rozwoju nie ma sposobu, by przebyć je w innym stylu. Byłoby jednak arogancją zakładać, że dwuosobowy zespół nie będzie w stanie dokonać takiego przejścia w stylu alpejskim, w przeciągu następnych 10, 15 albo 20 lat. Miejmy nadzieję, że nadal szanuje się próby poprzedników – byłoby zwykłym barbarzyństwem, gdyby jakiś zespół planował na przykład zmaltretować zaporęczowanym przejściem północną grań Latoka I, podczas gdy jak dotąd droga ta opierała się ponad 30 zespołom oddającym próby w czystym stylu alpejskim.

Gra, w którą gramy, nie ma sztywno ustalonych zasad, a wolność podejmowania własnych decyzji jest jednym z powodów, dla których się wspinamy. A jednak mamy coś w rodzaju kodeksu honorowego, chroniącego ducha wspinania. A przynajmniej tak mi się wydaje… Taką mam nadzieję.

Żyjemy w świecie coraz bardziej nastawionym na sukces i dla coraz większej rzeszy wspinaczy bardziej istotne wydaje się wygrywanie niż sposób, w jaki grają.

Zachodnia ściana Gasherbruma IV (7925 m n.p.m.). W 1985 roku, po pierwszym, wymagającym ogromnego poświęcenia, przejściu 3000-metrowej ściany, Wojciech Kurtyka i Robert Schauer zeszli jej lewą stroną – wycieńczeni i bez znajomości terenu. Fot.: Oriol Baro.

TRADYCYJNE WARTOŚCI

Powody, dla których każdy z nas się wspina, to sprawa indywidualna. Sposób, w jaki to robimy, to rzecz wspólna. To jak się wspinamy wyznacza przyszły kierunek dla alpinizmu i dla całego środowiska górskiego. „Pozostaw jak najmniej śladów za sobą", „wspinaj się w stylu alpejskim", „osiągaj więcej, mając mniej" – wiele osób intuicyjnie wyczuwa, że nawet jeśli sami nie potrafią się tak wspinać, są to dobre wskazówki na przyszłość.

Część tego artykułu została wykorzystana do stworzenia prelekcji wygłoszonej podczas Międzynarodowego Spotkania Tradowego 2010 w Orco, w północnych Włoszech. Obejmuje zagadnienie „tradycyjnych wartości" we wspinaniu – od Wielkiej Brytanii, poprzez Alpy, aż po Himalaje. ■

Fot.: arch. M. Prezelj

Luka, 22-letni wspinacz słoweński, z którym przeżyliśmy kilka niezapomnianych przygód w górach, bez wahania przyłączył się do zimowej eskapady wspinaczkowej 45-latka na Triglav. Jako mit i symbol (widniejący na słoweńskiej 50-centówce i w godle narodowym) oraz prawdziwe wyzwanie dla alpinistów, Triglav był oczywistym wyborem. Północną ścianę góry Słoweńcy nazywają po prostu Ścianą – jedyną na tyle ważną, że zasługuje na wielką literę. Dzięki zróżnicowanej rzeźbie Ściana oferuje ponad sto dróg i wariantów; ma ponad tysiąc metrów wysokości i ponad trzy tysiące metrów szerokości. Zimą zarówno jej sława, jak i rozmiary odstraszają tłumy współczesnych zdobywców.

Gdy zaczęliśmy się szpeić u podstawy Ściany, zabierając prócz sprzętu kompaktowy aparat fotograficzny, zacząłem prowokować Lukę pytając, czy decydujemy się na „życie chwilą" czy „uchwycenie chwili"… Typowy dylemat współczesnych poszukiwaczy przygód. Aparat potrafi czasem pełnić funkcję partnera wspinaczkowego, wyznaczając rytm i oddziałując na doświadczenie w ogóle. Luka uśmiechnął się, nie komentując. Gdy inni gadają, cenną umiejętnością jest nicniemówienie, które de facto wyraża więcej.

Zdecydowaliśmy się zacząć od klasycznej *Drogi Skalaska*, ponieważ warunki były zmienne i ambitniejsze opcje nie wchodziły w rachubę. Po pierwszych dwóch wyciągach chciałem kontynuować wspinanie na pionowym wariancie

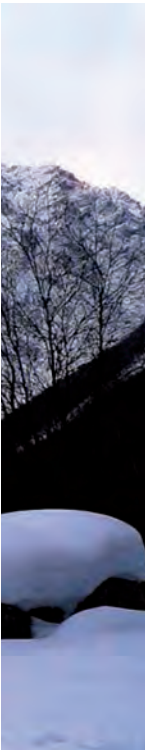

Marko Prezelj

OKAMGNIENIE

Tłum. Maria Zięba-Selerowicz

Zimowe wspinanie w Słowenii to kusząca perspektywa, wymaga jednak szczegółowego zaplanowania – sprawdzenia warunków, wybrania drogi i sprzętu, opracowania zejścia. Oczywiście zabawa nie różni się zbytnio od wspinaczki w innych górach wapiennych, ale chodzi o to, że ludzie nie mają zbyt wysokiego mniemania o zimowej wspinaczce w Słowenii. Jest to właściwie zaletą dla takiego alpinisty jak ja, który chce powalczyć z dala od tłumów.

na wprost. Moje zamiary jednak spaliły na panewce z powodu niekończących się tumanów śniegu. Po ostrej mikstowej wspinaczce wróciliśmy do oryginalnej linii i dotarliśmy do turni widocznej w połowie ściany. Po kolejnych trzech wyciągach stromizny mikstowej zaczęło się ściemniać. Znałem dobre miejsce biwakowe i przetrawersowaliśmy do szczeliny pomiędzy skałą a śniegiem.

Błogi sen przygotował nas do drugiego dnia wspinaczki. Początek jawił się dość złowrogo. Luka wyraził swoje obawy, czy damy radę wspiąć się przez przewieszkę strzegącą kuluaru wyjściowego. „Czemu nie spróbować?", było retorycznym pytaniem określającym moje nastawienie na starcie. Początkowo musieliśmy sobie trochę poodśnieżać, ale potem już upajałem się każdym czujnym ruchem. Wbiłem czekany ponad okapem, podciągnąłem się i wtedy zauważyłem włochaty kamień w samym środku stromego żlebu. Gdy się przysunąłem, okazało się, że to mysz, zamarznięta łepkiem do dołu. Wspinając się potem nie mogłem przestać myśleć o tym, jak to zwierzątko tu wlazło i jaki instynkt kazał mu wierzyć, że przetrwa zimę w takim miejscu. Cuda natury są uzależniającym składnikiem spoiwa wiążącego mnie z alpinizmem.

Po wielu niespodziankach – smaczkach, które sprawiają, że wspinaczka jest jeszcze bardziej apetyczna – dotarliśmy do krawędzi Ściany („miejsca, gdzie kończą się trudności", jak mówią). Niepewnie zapytałem Lukę, czy idziemy dalej na szczyt.

Fot.: arch. M. Prezelj

Ku mojej uciesze odpowiedział „tak", z niekłamanym entuzjazmem i radością. Dwie godziny wspinu na szczyt Triglavu zakłócił jedynie moment, w którym Luka zorientował się, że ma zepsuty aparat – kawałek lodu uszkodził obiektyw, forsując filozofię „życia chwilą".

Przy zejściu Luka spojrzał w prawo na stromą ścianę, oświetloną zachodzącym słońcem. „Może pójdziemy tam w przyszłym tygodniu?", zareagował spontanicznie.

Gdy filozofowałem, że powinniśmy sprawdzić pogodę i spróbować zaplanować podejście i zejście, usłyszałem siebie mówiącego i zdałem sobie sprawę, że czasy, gdy moje usta i oczy odpowiadały prostym „tak", już minęły. Nie ma żalu, jest za to świadomość szczerej radości. W alpinizmie nadal mogę być naiwny, ale dziewiczości już we mnie nie będzie. Wiek natomiast nie zabija we mnie ciekawości, a tylko uspokaja emocje i wzbogaca skarbnicę uczuć. Emocje z mojej młodości obudziły się wraz z przelotnym spojrzeniem Luki. Miło. Wiem teraz, że gra się nie kończy… Tylko zachwyt staje się bardziej intensywny. ■

Fot.: arch. M. Prezelj

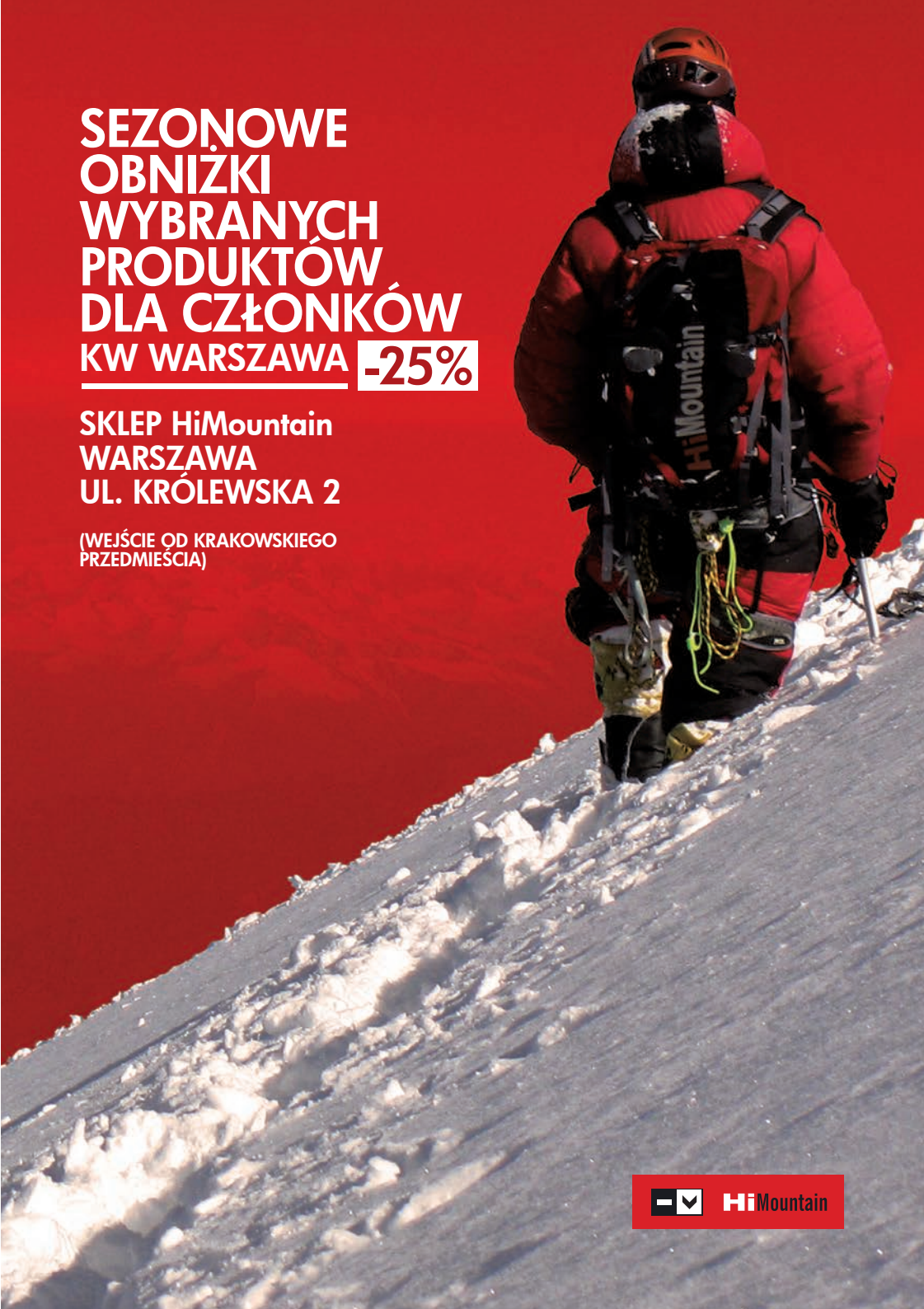

SEZONOWE OBNIŻKI WYBRANYCH PRODUKTÓW DLA CZŁONKÓW KW WARSZAWA -25%

SKLEP HiMountain WARSZAWA UL. KRÓLEWSKA 2

(WEJŚCIE OD KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA)

HiMountain

Fot.: Frank Kretschmann.

Robert Jasper

NOWA KLASYCZNA LINIA NA PÓŁNOCNEJ ŚCIANIE EIGERU

Pierwsze klasyczne przejście *Direttissimy Harlina* z wyjściem klasyczną *Drogą Heckmaira*

Tłum. Anna Niepytalska-Osiecka, Magdalena Drozd

Między ziemią a niebem

Jeśli ktoś interesuje się wspinaniem wysokogórskim, to z pewnością zna północną ścianę Eigeru. Bardzo wcześnie zaczęły mnie przyciągać pasjonujące książki Heinricha Harrera, Anderla Heckmaira czy Johna Krakauera (wymieniam tylko kilku najbardziej znanych autorów). Te dramatyczne, a wręcz niewiarygodne historie ze ściany Eigeru, ściany ścian, jak ją nazywają. Opowieści o bohaterstwie, śmierci, porażce, o burzach śnieżnych, ale także o zdobyciu szczytu. Stare historie pionierów, którzy stworzyli mit tej wielkiej ściany, do dziś mnie zadziwiają.

Północna ściana Eigeru po raz pierwszy

Kiedy w latach 70. po raz pierwszy trafiłem na północną ścianę Eigeru, byłem podekscytowany. Po udanym przejściu *Drogi Heckmaira* kilka lat później stało się dla mnie jasne, że zostałem zarażony „wirusem Eigeru". Rok po roku nęciły mnie nowe cele. Jako dwudziestolatek zainteresowałem się kuszącą, prostą, prowadzącą lodową nitką direttissimą, poprowadzoną przez Johna Harlina. Do dziś jest ona dla mnie najlepszą drogą na Eigerze i jedną z najlepszych na świecie.

Pierwsze spotkanie z *Direttissimą Johna Harlina*

Zimą 1990, gdy miałem 22 lata, spróbowałem *Direttissimy Harlina* solo. Raki drapały o skałę, skrobiąc, szukałem oparcia na słynnej, stromej, ośnieżonej, dachówkowatej skale. Czekanem próbowałem znaleźć pod puchem odrobinę lodu. Za mało. W zasadzie w ogóle nie trzymało. Wspinanie było bardzo czujne. Sam, bez asekuracji. To było stresujące. Przejście takiej drogi samotnie to był głupi pomysł… Pode mną było 700 metrów lodu, w normalnej północnej ścianie to byłoby dużo. Jednak tu w górze, na Eigerze, gdy ma się jeszcze przed sobą 1100 metrów nieznanego terenu, to było raczej za mało, więc traciłem ochotę do dalszej wspinaczki. Powrót też nie był zbyt łatwy. Miałem przy sobie jedynie 25 metrów liny ze względu na ograniczenia wagowe ekwipunku. Chciałem się szybko wspinać, to teraz miałem problem… Dlatego nie pozostało mi nic innego, jak wspinać się dalej. Dzięki odrobinie szczęścia osiągnąłem szczyt, a gdy przypinałem narty i zjeżdżałem przez las, Eiger świecił w czerwieni zachodzącego słońca.

Uciekając z północnej ściany, byłem chyba dużo bardziej radosny niż John Harlin, twórca tej drogi. Po raz pierwszy miałem dość Eigeru.

Pojedziesz raz, będziesz wracał zawsze…

Spragniony wielkich przygód na północnych ścianach wspinałem się na kolejne i kolejne. Solo. Bo partnera już znaleźć nie mogłem. Nie zapomniałem też o północnej ścianie Eigeru. Przeciwnie, wręcz magicznie mnie przyciągała. Pewien stary wspinacz przepowiedział mi wprawdzie, że jeśli raz przeżyję północną ścianę Eigeru, to nigdy już nie zechcę tam wrócić. Nie sprawdziło się. Czułem coś przeciwnego. Potrzebowałem dróg skalnych w wielkich ścianach,

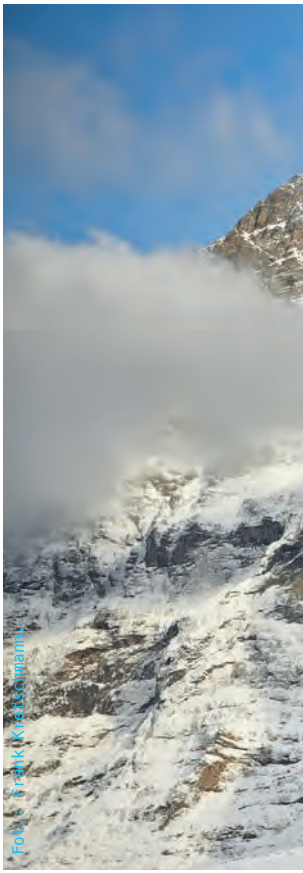

Fot. Jasper Frank/Kraftsteinmann

które pod względem wysokości są porównywalne z El Capem, tylko zimniejsze i alpinistycznie bardziej naturalne. Tam w północnej ścianie Eigeru znalazłem dokładnie to. To wielkie wyzwanie. Tamte cele były dla mnie wciąż ważne, mimo że przewspinałem już czterdzieści różnych dróg.

Klasyka na Eigerze X–

Wraz z *Symphonie de liberté* (pierwsza w Alpach droga o trudnościach X– na dużej alpejskiej ścianie – *Symphonie* to klasyczna kombinacja dróg *Chant du cygne* i *Spit Ver-*

donesque Edente – przyp. redakcji) udało nam się pokonać trudności X – na północnej ścianie Eigeru. Dla Danieli, mojej żony, i dla mnie to był ważny krok, wręcz kamień milowy. Od tego czasu marzenia o Eigerze już mnie nie opuszczały. Przeciwnie, stawały się coraz większe i bardziej entuzjastyczne. Jednocześnie odczuwałem je jako coś groźnego, bo każde wspinaczkowe marzenie o tej ścianie niesie z sobą także niebezpieczeństwo. Radość z nadchodzącej wielkiej przygody miesza się często i gwałtownie ze strachem, że się temu nie podoła.

Historyczna produkcja w towarzystwie Johna Harlina III

Niezwykle zajmujące było spotkanie z Johnem Harlinem III, synem legendarnego Johna Harlina II, wielkiego amerykańskiego alpinisty, który w 1996 r. wskutek pęknięcia liny, przypłacił życiem próbę pierwszego pokonania zimowej direttissimy na Eigerze. Byłem zaangażowany jako organizator i odtwórca głównej roli w filmie „The Alps". Wspólnie z moją żoną Danielą, która też przewspinała już dwie drogi na północnej ścianie Eigeru, szliśmy razem z Johnem śladami

Foto: Frank Kretschmann

jego ojca. Gdybyśmy byli przesądni, nigdy nie wprowadzilibyśmy tego planu w życie. Czuliśmy niepokój, wspinając się z Johnem Harlinem III, bo to nazwisko znacząco wpłynęło na powstanie mitu północnej ściany Eigeru. Nawet jeśli syn to nie to samo, co ojciec!

Z mieszanymi uczuciami, ale z jak najlepszym przygotowaniem i wszelkimi środkami ostrożności, pojechaliśmy po roku przygotowań, we wrześniu 2004. Warunki na klasycznej *Drodze Heckmaira* były dobre. Kiedy się zaczęło, John mówił na początku bardzo nerwowo do swojej kamery na kasku. Dla Danieli to było za dużo i pomyślała sobie, że powinien te swoje stare historie zostawić w spokoju do czasu, kiedy znów zejdziemy do doliny. Trudno się było skoncentrować na wspinaniu. John walczył jednak naprawdę dzielnie. Na końcu Trawersu Bogów spojrzał w przestrzeń poniżej nas i opowiedział to, co wszyscy wiedzieliśmy. To właśnie tu w 1966 r. jego ojciec, jumarując na drodze do Pająka, uległ śmiertelnemu wypadkowi.

Powyżej Pająka było już nieco łagodniej. Byliśmy jednak poruszeni wobec tragicznego znaczenia tego przejścia. Wprowadziło nas w zadumę i smutny nastrój. Musieliśmy się jednak skoncentrować na dalszej wspinaczce. Nie było czasu na zastanawianie, czas gonił. Musieliśmy iść dalej. Kamienna lawina czy inny wypadek z Johnem Harlinem III w północnej ścianie Eigeru… O następstwach takich nagłówków w prasie wolałem nawet nie myśleć. Po trzech dniach osiągnęliśmy szczęśliwie szczyt bez żadnych trudności w trakcie wspinaczki. Zejście do schroniska Mönchsjoch również przebiegło bez problemów. Tym wejściem dopomogliśmy Johnowi w uporaniu się z przeszłością, a dzięki tej ekscytującej historii i pięknym zdjęciom z Alp film zdobył sławę na całym świecie.

Direttissima Harlina – wolne żarty! Jesień 2010

Razem z Rogerem Schaelim, jednym z najlepszych szwajcarskich alpinistów, zmierzyłem się znów z *Direttissimą Harlina*. Po tym jak w poprzednim roku udało nam się przejść *Japońską Direttissimę* na Eigerze, staliśmy się niezłym zespołem.

„Dziwne, przecież wiedziałem, jak tu się wyżej idzie…" Miałem trochę wątpliwości. Nie chciałem się przyznać Rogerowi, że nie jestem wcale taki pewien, gdzie jest wejście… „Cholera, teraz jesteśmy trochę za wysoko". Na szczęście uświadomiłem sobie, że upłynął już kawał czasu od kiedy po raz ostatni wspinałem się po zpadnięciu zmroku. „To było dwadzieścia lat temu, niesamowite, jak ten czas szybko leci!"

Był wrzesień, właściwie najlepszy czas na Eiger. Nie za dużo śniegu, jednak w stromych miejscach suchy lód. Dolne partie drogi były na początku bardzo zalodzone i czujne. Musieliśmy się zabezpieczać podwójną liną, więc tym razem nie byliśmy aż tak szybcy, jak ja w mojej poprzedniej solowej próbie, ale mimo to optymistyczne nastawieni. Jeśli zrobimy 700 metrów dolnego muru bez nadmiernej straty siły i nerwów, to wyżej w trudniejszej środkowej części będziemy mogli skorzystać z dobrych warunków tam panujących. To przypuszczenie nas uskrzydlało. W wielkiej ścianie nigdy jednak, od dołu aż po szczyt, nie można liczyć na dobre warunki, dlatego zawierzyliśmy naszemu doświadczeniu.

W mniej stromej części ściany było o wiele lżej, rozwiązaliśmy się i kolejne 250 metrów pokonaliśmy bez liny. Nagle Roger znalazł stary czekan. „To wygląda na dość stare, może z 1966 roku?", krzyknąłem. Po chwili znalazłem starą, ludzką kość. „Całkiem spora, to chyba jakiegoś wspinacza". Wstrzymałem oddech. Nie chciałem dopuścić do siebie takich myśli, siadłaby nam psycha, więc szybko odpowiedziałem: „Eee, pewnie ją przywiało". „Na pewno została zrzucona tutaj podczas budowy kolejki".

Byliśmy dokładnie w linii okna Eigeru, więc takie wytłumaczenie wydawało się całkiem logiczne. Trochę nam to uspokoiło nerwy, więc działaliśmy dalej.

Dalej było stromiej, więc związaliśmy się znowu. Zmieniając się na prowadzeniu, wspinaliśmy się dalej i dotarliśmy do 150-metrowej pionowej ściany na wysokości Station-Eigernordwand. Tu oczekiwaliśmy pierwszego kluczowego miejsca, „naszego Harlina". Stroma wapienna płyta, wyszlifowana lodem. Tkwiły tu jakieś pojedyncze stare haki. Były raczej wątpliwe i można by z nich korzystać tylko bardzo ostrożnie. „Całkiem stare to żelastwo. One na pewno są ze dwa lata starsze niż ja. W takim razie powinny utrzymać mój ciężar!"

Musieliśmy się spieszyć, było już naprawdę późno. O godzinie 16:00, punktualnie jak w szwajcarskim rozkładzie jazdy, rozpocznie się popołudniowe bombardowanie kamieniami.

Nie zostało nam dużo czasu na zrobienie klasycznie kolejnego kawałka ściany wycenionego na VIII (8, UIAA). Wciąż jednak wszystko szło zgodnie z planem. Mieliśmy cztery

klasyczne wyciągi za sobą. Tam, gdzie zaczynały się lodospady, związaliśmy nasze liny i popędziliśmy znów do półki powyżej.

Na śnieżnej półce, gdzie w wieczornym słońcu wybudowaliśmy sobie pięciogwiazdkowy hotel, biwakowało nam się wyjątkowo dobrze. Przemarznięty liof z ziemniakami i kurczakiem, na drugie danie tabliczka czekolady i do tego kawa. Absolutny luksus. Nagły świst i szum spadających kamieni przerwał nam tę kempingową atmosferę i z prędkością światła przegnał z powrotem w ścianę. Powaga miejsca szybko przywróciła nasze myślenie na właściwe tory. Zjawisko to trwało aż do zachodu słońca. Zrobiło się spokojniej, więc zasnęliśmy.

O piątej rano zapikał budzik, wybudziłem się ze snu. Mimo że spałem w kasku, wyspałem się zadziwiająco dobrze. Gotowanie, topienie śniegu. W myśl instrukcji dołączonej do namiotu było to oczywiście surowo zabronione, ale lepiej chyba uniknąć zamarznięcia. Dopóki się nic nie podpali, wszystko jest ok, po prostu trzeba uważać.

„Cholera! Znowu!" Roger wypalił wielką dziurę w swoim nowym śpiworze. Strat należało się spodziewać. Taśmą szybko jakoś ją załataliśmy. Pora iść. Wszystko całkiem zamarznięte. Po śniadaniu zaczęliśmy zakładać buty i raki. Jako pierwszy jumarował Roger. Dokładnie sprawdzał liny pod kątem wczorajszego ewentualnego uszkodzenia kamieniami. „Nie śpiesz się!" Wspomnienia historii przerwanej

Fot.: Frank Kretschmann.

liny na *Harlinie* znów powróciły. Po wyjumarowaniu do góry Roger opuścił mi małpy. Dla odciążenia wzięliśmy ze sobą tylko jedną parę. To teraz moja kolej. Z ciężkim haulbagiem na pionowej ścianie nie było w tym ani krzty przyjemności, ale była to jedyna możliwość, by wydostać się z tej ściany. „Jeśli utrzymało Rogera, to powinno utrzymać i mnie!" Ta myśl podtrzymywała mnie na duchu podczas okropnej harówy.

Dzień upłynął bardzo szybko. Zmienialiśmy się na prowadzeniu. Prowadziliśmy na zmianę blokami. Cztery, pięć wyciągów każdy, „na prowadzeniu", potem zmiana i zadaniem było wspinanie się na drugiego z haulbagiem, co oznaczało harówkę i męczarnie.

W okolicy Żelazka *Droga Harlina* krzyżuje się z drogą klasyczną i dalej prowadzi przez dwa wyciągi wspólnie aż do Biwaku Śmierci. Gdy z lotną przeszliśmy Drugie Pole Lodowe do Ściany Żelazka, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. „Korek na Autobahnie", krzyknął Roger. Pomimo tego poczuliśmy się lepiej, widząc znów innych wspinaczy. Wkrótce staliśmy rzeczywiście w korku. Na szczęście dziś nie spieszyło nam się bardzo. Czas na pogawędkę. Sześciu wspinaczy z Chamonix wspinało się po raz pierwszy na Eigerze, dlatego nie szło im to za szybko. Niedługo jednak korek się zmniejszył i mogliśmy się dalej wspinać. Na Biwaku Śmierci zawiesiliśmy nasz wór na stanowisku i zanim jeszcze słońce dotarło do ściany szczytowej i było jeszcze względnie bezpiecznie, pokonaliśmy jeszcze trzy wyciągi. Potem przyszedł czas na odwrót. Promienie słońca dotarły w okolice szczytu i zaczęło się sypać. Na początku małe lawiny pyłowe, potem wytapiane sople lodowe. Chwilę później leżeliśmy już w naszym namiocie na Biwaku Śmierci i delektowaliśmy się wieczornym słońcem i wspaniałym widokiem w dół aż do Grindelwaldu. Można było wręcz zobaczyć moje rodzinne strony, południowy Schwarzwald. Wiatr przywiał do nas dźwięk dzwonków alpejskich krów, w związku z czym poczułem bliskość cywilizacji. Gdyby nie było tej przestrzeni, która jest wyraźną granicą pomiędzy mną a doliną. Gdy pogoda tu na górze nagle się zmieni, może dojść bardzo szybko do wypadku.

Nagle zaczęło grzmieć. „Co to, burza?" Nie, to ogromny blok skalny urwał się w okolicach szczytu, jakby cała góra się waliła. Wielka lawina przeszła zaraz obok nas wprost na Drugie Pole Lodowe. Ślady Francuzów zostały zmiecione jak jesienne liście przez przejeżdżający pociąg. Patrzyliśmy na ten spektakl trochę z niedowierzaniem, ponieważ byliśmy przekonani, że warunki w ścianie są bezpieczne i skała pewna. No tak, teraz byliśmy przynajmniej zgodni, że nasze miejsce na Biwaku Śmierci jest bezpieczne, bezpieczne od śmierci…

Następnego ranka udało się nam nic nie przypalić. Rutyna stanowi połowę życia w ścianie. Wraz z pierwszymi promieniami słońca ruszylismy do góry na Filar Centralny, czyli kluczowe miejsce. Tam na górze musiał się wydarzyć dramatyczny wypadek z 1966 r. Te myśli towarzyszyły mi teraz coraz częściej, coraz trudniej było ich się pozbyć. Roger poprowadził dwa trudne wyciągi mikstowe, po czym przejąłem prowadzenie. W cienkim lodzie i mikstowym terenie

Fot.: Frank Kretschmann.

przesuwałem się do góry. Kilka krótkich śrub wkręconych do połowy, jeden friend w zalodzonej rysie, kilka cienkich haków w kruchej i zmurszałej skale, M7! Powinny utrzymać, zresztą odpadnięcie w tym terenie było zabronione. Zmienialiśmy się teraz częściej na prowadzeniu. Wspinanie było bardzo wymagające i kosztowało nas wiele nerwów. Każdy najmniejszy błąd oznaczał fatalne skutki.

Roger poprowadził kolejny wyciąg i zanim doszedłem do niego na stanowisko i powiesiłem wór, zaproponował mi znów prowadzenie. „Normalnie ucieszyłbym się z tego. Wolę się wspinać na pierszego niż na drugiego. Nieważne w jakim terenie, zawsze korzystam z takiej szansy. Tym razem było jednak inaczej. „No dalej, dopiero jeden wyciąg przeszedłeś, poza tym jesteś 10 lat młodszy ode mnie, dasz radę!" Zawstydzony, że odmówiłem prowadzenia (co zdarzyło mi się pierwszy raz we wspinaczkowym życiu), przekonałem Rogera. W głębi duszy w ogóle nie miałem ochoty się dalej wspinać. Dokładnie w tym miejscu odpadł John Harlin II. To było miejsce, które doprowadziło do ruiny jego rodzinę. Bo życie Johna Harlina III, przynajmniej tak przypuszczam, musiało się dramatycznie zmienić, dorastanie bez ojca jest czymś niewyobrażalnie trudnym. W tym samym momencie pomyślałem o swojej rodzinie, o moim synu, który był teraz dokładnie w tym samym wieku, co wtedy John. Co za zbieg okoliczności. Moje myśli krążyły wkoło, nie mogłem prowadzić, byłem jak sparaliżowany. Może za dużo myślałem? Wyobraźnia jest największym wrogiem wspinacza. Ale głowa równocześnie najważniejszym „mięśniem".

Miałem nadzieję, że Roger, który w żaden sposób nie był połączony z historią rodziny Harlinów, nie wyczuł moich złych przeczuć i nie myślał o znaczeniu tego miejsca. Walczył dzielnie, z czego byłem bardzo zadowolony. Wiedziałem, że jest w stanie przejść Filar Centralny do końca. Dawał z siebie wszystko. Ze względu na zalodzoną rysę wspinał się teraz w jednym bucie z rakiem, a w drugim bez i przeszedł brawurowo wyceniony na M6 wyciąg. Następnie, po zmianie butów na wspinaczkowe pokonał krótki odcinek za 7a w drugiej próbie, ale tylko ze względu na brakujące plakietki od spitów, które musiał wcześniej zamontować. Gdy doszedłem do stanu, widać było wyraźnie, że Roger jest wyczerpany. „Robert, masz na szczęście jeszcze raki założone, ja w butach wspinaczkowych nie mam szans, musisz następny wyciąg poprowadzić". „Cholera". Teraz nie miałem już wymówki, choć chętnie bym jakąś znalazł. Patrząc do góry, rozpoznałem kant skalny prowadzący do Pająka. Według

wszelkich wskazówek było to miejsce tragicznego urwania się liny Harlina z 1966 roku.

Nic nie pomoże, musimy to przejść. Moja dalsza wspinaczka w rakach prowadziła dokładnie nad głową Rogera, który nie życzyłby sobie, żebym w tym momenice odpadł. Zalodzona rysa była niezwykle odpychająca, bardzo trudna. Hakowo zresztą nie była możliwa do przejścia, ze względu na bardzo słabą asekurację. Tylko przez kilka metrów nad głową Rogera myślałem jeszcze o historii z urwaną liną, potem już tylko stuprocentowa koncentracja. Wspinałem się jak w transie. Z każdym przewalczonym metrem strach coraz bardziej znikał. Tylko jeden cel przed oczami, dojść do następnego stanu bez odpadnięcia. Cienki lód, delikatne zahaczanie dziabek w skale, słaba asekuracja, na koniec runout w zalodzonej płycie. Montuję stan, założone, M8 – na własnej. Droga do Pająka stoi otworem. Nigdy wcześniej bym nie przypuszczał, że tragedia Harlina tak bardzo na mnie wpłynie. To był najbardziej emocjonujący wyciąg mojego życia!

Przy akompaniamencie spadających brył lodu przeszliśmy na lotnej Pająka aż do Rys Wyjściowych na drodze klasycznej. Kości zostały rzucone. Według najnowszej prognozy, został nam tylko jeden dzień dobrej pogody, który był nam potrzebny do zejścia. Z drugiej strony, nasz główny cel, czyli klasyczne przejście środkowej części północnej ściany Eigeru, został prawie osiągnięty. Ale orginalne wyjście *Direttissimą Harlina*, z bardzo kiepskiej jakości skałą, postawiła całe nasze przedsięwzięcie pod znakiem zapytania. W dodatku warunki w ścianie są też złe, leży tu dużo niezwiązanego śniegu. Poza tym na Filarze Centralnym straciliśmy już zbyt wiele czasu. Teraz, o 5 po południu, zatrzymywać się w okolicach Pająka byłoby zresztą dość niebezpiecznie. Ciężko byłoby też znaleźć miejsce na bezpieczny biwak.

Nagle słyszę świst. Bum! „Auć!", czuję coś ciepłego na policzku. Krew. Trafił mnie odłamek lodu wielkości pięści. Na szczęście założyłem już autoasekurację na stanowisku. Nie było czasu na bycie rannym. Roger, z worem na plecach, doszedł do mnie dysząc. Coraz więcej lodu spadało z góry. Trzeba stąd uciekać. Szybko robię kluczowy wyciąg Rys Wyjściowych. Roger pobija rekordy prędkości na drugiego, z ciężkim worem na plecach. Jednak błędnie ocenił wielkość swojego plecaka i utknął w wąskim kominie. Kilka drytoolingowych sztuczek pomaga mu do mnie dotrzeć.

Fot. Frank Kretschmann

Fot.: Frank Kretschmann

Już w ciemnościach, zaraz pod szczytem osiągamy grań Mittelegi. Z przejścia sprzed kilku tygodni pamiętałem dobrze, gdzie na grani po krótkim kopaniu w śniegu można było rozłożyć mały namiot. Z jednej strony 3000 metrów powietrza w kierunku Grindelwaldu, z drugiej 700-metrowa pionowa ściana. Nocleg jak w samolocie!

Wkrótce byliśmy już w naszych śpiworach, trzeci biwak, jeden z najbardziej eksponowanych w ogóle. Byliśmy tak zmęczeni, że zagotowaliśmy tylko litr wody i po zjedzeniu jednego batonika musli natychmiast zasnęliśmy. Następnego ranka wiał już lekki fen, który zapowiadał nadejście złej pogody. Zjechaliśmy drogą *Marmalibahn* na południową stronę. Przy takim wariancie zejścia z Eigeru trzeba dokładnie znać drogę, gdyż stanowiska zjadowe są bardzo trudne do znalezienia. Po dwudziestu zjadach i czterech godzinach potykania się osiągamy kolejkę Jungfrau. Na tablicy, która nas przywitała, przeczytałem: „Welcome between heaven and earth", motto, które wyjątkowo pasowało do wydarzeń z ostatnich dni. W rzeczywistości było jednak skierowane do rzesz turystów z Japonii czy Ameryki, którzy odwiedzają to miejsce, by „The top of Europe" zobaczyć. „Witamy z powrotem w cywilizacji".

Spragnieni i głodni wsiedliśmy do kolejki zębatej. Nieważne, w którą stronę. W ten sposób dotarliśmy do Jungfraujoch, gdzie na wysokości 3400 metrów mogliśmy zamówić kanapki i coś do picia. Po zjedzeniu poczuliśmy się od razu lepiej i stanęliśmy w kolejce czekających turystów. „Tak wyglądają prawdziwi alpiniści", usłyszałem szmery wśród turystów. Musiałem się szeroko uśmiechnąć. Wsiedliśmy do kolejki, która nas zawiozła w doliny, do Grindelwaldu. Byliśmy znowu w normalnym świecie. ■

PÓŁNOCNA ŚCIANA EIGERU

wywiad z Robertem Jasperem

Tłum. Iza Figiel

Jak długo się wspinasz?

Zacząłem jako mały chłopiec, w Schwarzwaldzie w południowych Niemczech, gdzie się urodziłem i obecnie też mieszkam, blisko Alp Szwajcarskich i północnej ściany Eigeru.

Jak zacząłeś wspinać się w górach?

W mojej okolicy było dużo skał, byłem zafascynowany wspinaniem na nie. Spotkałem alpinistów, którzy zabrali mnie w Alpy Szwajcarskie.

Czym się obecnie zajmujesz?

Jestem zawodowym alpinistą, mam też stopień przewodnika górskiego UIAGM (Międzynarodowa Federacja Stowarzyszeń Przewodników Górskich) i trenera przewodników górskich.

W którym roku urodziłeś się Ty, a w którym Roger Schaeli?

Ja urodziłem się w 1968, Roger dokładnie dziesięć lat później.

Ile czasu spędzasz na podróżowaniu?

Każdego roku jadę na jedną lub dwie wyprawy. Ale uwielbiam również wspinaczkę i przygody tu, w Alpach. Jednak przeważnie wspinam się i trenuję w Alpach Szwajcarskich. Mieszkam blisko Oberlandu Berneńskiego i Eigeru, to mój ulubiony rejon. Często jeżdżę do Chamonix albo w Alpy Walijskie ze słynnym Matterhornem. W skały jeżdżę do Basler Jury, bo to bardzo blisko mojego domu; kiedy jest brzydka pogoda, wspinam się na ściance.

O Eigerze:

Opowiedz o Twojej pierwszej wspinaczce na Eigerze.

To była próba na klasycznej *Drodze Heckmaira*. Miałem wtedy 17 lat. Udało mi się przejść tę historyczną linię parę lat później.

Ile dróg przeszedłeś dotychczas na Eigerze?

Jak narazie zrobiłem 14 różnych dróg.

Ile dróg na Eigerze pokonałeś klasycznie?

Pierwszą przeszedłem *Symphonie de liberté*, 8a (1999), potem jako pierwszy solo *Spit verdonseque* 6c+, A1 i *Lochstreifen* 6b (1991). Potem było pierwsze przejście klasyczne Yeti 7c+ (2006), *Japanese Direttissima* 8a, M5 (2009), a ostatnio uklasycznienie *Harlin Direttissima* M8–, 7a (2010).

Co Cię inspiruje do wspinania na Eigerze?

To najsłynniejsza ściana Alp, jeśli jesteś alpinistą, pewnego dnia musisz ją przejść. Kiedy byłem młodym wspinaczem, zdobyłem ponad sto ścian północnych w Alpach, większość z nich solo, więc Eiger był moim najważniejszym celem. Inspiruje mnie jego historia i opowieści o jego zdobywcach. W 1999 spotkałem pod ścianą Anderla Heckmaira. Był bardzo stary, ale opowiedział mi historię pierwszego przejścia. Byłem pod wrażeniem. Lubię się wspinać na tej ogromnej ścianie, to niezwykłe uczucie. Jesteś taki malutki, ale jeśli ci się uda, to jest to coś niesamowitego! Nawet teraz mogę znaleźć nowe cele na tej ścianie. Nie muszę za każdym razem jeździć na wyprawy. Lubię Alpy.

Co zainspirowało Cię, aby uklasycznić *Drogę Johna Harlina*?

Jednym z moich nadrzędnych celów jest połączenie alpinizmu ze współczesnym stylem klasycznym. Mniej techniki i sprzętu to dla mnie większa przygoda. Realizuję to marzenie od kiedy wiosną 2005 r. uklasycznił słynną mikstową *No Siesta* (M8, 1000 m) na północnej ścianie Grandes Jorasses. Dla mnie kolejnym krokiem było nasze ubiegłoroczne pierwsze klasyczne przejście *Japanese Direttissima* (5.13a, M5, 1800 m) na Eigerze. O *Drodze Harlina* myślałem od dłuższego czasu. W czasie mojej wspinaczkowej kariery marzyłem coraz bardziej o pierwszej próbie uklasycznienia tej drogi. To pierwsza prosta linia na północnej ścianie Eigeru, jedna z największych historycznych dróg w Alpach. W 2005 r. razem z synem Harlina, Johnem Harlinem III, przeszedłem

Fot. Frank Kretschmann

drogę z 1938 na potrzeby filmu realizowanego przez IMAX. Rodzinna tragedia Harlina bardzo mnie poruszyła. Postanowiłem powtórzyć tę historyczną drogę, ale we współczesnym stylu alpejskim i klasycznie.

Jaki był najbardziej przerażający moment na drodze?

Na szczęście nie mieliśmy lotów. Podczas drugiego biwaku, na Biwaku Śmierci, zeszła wielka lawina kamieni. Nigdy nie widziałem takiej ogromnej lawiny. Mieliśmy szczęście, że biwakowaliśmy pod przewieszką. Cały czas trzeba było uważać.

Jakie były Twoje oczekiwania co do tej drogi?

Że ją uklasycznię i przeżyję!

A najbardziej nieoczekiwana chwila w czasie wspinaczki?

Roger prowadził Filar Centralny i nagle poprosił, żebym to ja poprowadził dalej. Byłem z lekka sparaliżowany, bo to było miejsce, w którym spadł John Harlin II w 1966 r. Naprawdę nie chciałem prowadzić tego odcinka. Cały czas myślałem o mojej rodzinie i o ryzyku; to było naprawdę ciężkie. To najbardziej emocjonalne wspinanie w moim życiu.

Fot.: Frank Kretschmann.

Fot.: Frank Kretschmann.

Czy zazwyczaj wspinasz się z Rogerem? Jeśli nie, to dlaczego wybrałeś właśnie jego?

Tak, znamy się i przyjaźnimy z Rogerem od lat. W ubiegłym roku razem uklasyczniliśmy drogę *Japanese Direttissima* na północnej ścianie Eigeru, jesteśmy bardzo zgranym zespołem.

Kiedy poczułeś na tej drodze największą dumę?

Uklasycznienie *Drogi Harlina* to był jeszcze większy sukces niż uklasycznienie *Japanese Direttissima*.

Myślisz, że wielu wspinaczy będzie próbowało powtórzyć ten wyczyn?

Nie sądzę – to trudna i wymagająca zaangażowania droga. No i trzeba trafić na idealne warunki w ścianie. Trzeba być obeznanym z Eigerem, żeby wybrać odpowiedni czas i pogodę, a to znaczy, że trzeba tam po prostu być i czekać na warunki. No i potrzebny jest dobry partner, taki jak Roger. Ja marzyłem o tym przejściu od 20 lat. W młodości próbowałem pokonać tę drogę solo, potem zacząłem myśleć o uklasycznieniu. Udało mi się spełnić to marzenie – tak powinno być w życiu, więc bardzo się z tego cieszę.

Czy w czasie przejścia drogi zdarzyły się jakieś niebezpieczne sytuacje, lawiny kamieni?

Mieliśmy naprawdę dobre warunki, ale Eiger jest niezwykle niebezpieczny. Pierwszego i ostatniego dnia zdarzyły się lodowe lawiny. Przy końcu Pająka zranił mnie w twarz spadający lód. Nic poważnego, ale ślady widać jeszcze na zdjęciu szczytowym. Drugiego dnia, podczas biwaku na Biwaku Śmierci, zobaczyliśmy wielką lawinę kamieni pędzącą przez drugie pole lodowe. Nigdy nie widziałem takiej olbrzymiej lawiny, ale na szczęście byliśmy osłonięci.

Jakie mieliście warunki w czasie wspinaczki?

W tej ogromnej ścianie nigdy nie ma idealnych warunków. Na początku nie było ciekawie – było mało śniegu, a skałę miejscami pokrywała cienka warstwa lodu. Wcześniej solowałem ten odcinek w zimie, po prawie pionowym śniegu, był dużo łatwiejszy. Teraz mieliśmy mikstowe wspinanie dochodzące do M6. Ale środkowa część ściany była naprawdę ładna. Sucha skała, dobry, zmrożony lód, to pomogło nam przejść drogę klasycznie. Większość stromej skały przeszliśmy w butach wspinaczkowych, resztę w rakach. Blisko szczytu

było dużo sypkiego śniegu, dlatego zdecydowaliśmy pójść wyjściem Heckmaira. Poza tym prognozy pogody były złe.

Zmienialiście się na prowadzeniu? Jak się podzieliliście?

Oczywiście, zmienialiśmy się. Prowadziliśmy po kilka wyciągów, zależnie od trudności. W łatwiejszym terenie wspinaliśmy się też z asekuracją lotną. Zmienialiśmy się, gdy prowadzący opadł z sił, ale nie zapominaj, że jak idziesz na drugiego, musisz ciągnąć plecak, więc też nie jest lekko.

Ile zajęło Ci planowanie i przygotowanie się do drogi?

Ponad 20 lat! Najpierw marzenie dojrzewało, a potem potrzeba było jeszcze paru lat, żeby je zrealizować. Przygotowania sprzętowe były dużo szybsze. Dwie godziny w domu i godzina z Rogerem na parkingu w Grindelwald, pod ścianą. Obaj dobrze znamy ścianę. Myślę, że w sumie wspinaliśmy się na niej ponad 40 razy.

Możesz dokładnie opisać drogę, wyciąg po wyciągu? Jak trudne były poszczególne odcinki, czy były łatwiejsze, niż przewidywaliście, gdzie były biwaki, gdzie było najtrudniej, które części przeszliście onsightem itd.?

Pierwszego dnia zaczęliśmy się wspinać około 7 rano, Roger poprowadził dwa pierwsze wyciągi za 5.8. Były pokryte cienkim lodem, więc szliśmy z liną. Potem przesolowaliśmy 300 m po miejscami zalodzonej skale do 5.5. Znaleźliśmy stary czekan i zastanawialiśmy się, do kogo należał. Znów przypomniała mi się historia Harlina. Zrobiło sie stromo, poprowadziłem pięć wyciągów M5 do Window Wall. Wcześniej zimą ten odcinek wydawał się łatwiejszy, ale teraz nie mieliśmy tyle śniegu, więc było dużo trudniej. Koło południa założyliśmy buty wspinaczkowe i Roger przeszedł OS-em dwa pierwsze wyciągi Window Wall (5.10d, 5.11a), potem ja poprowadziłem dwa wyciągi do końca ściany – 5.11c/d i 5.10. Dla mnie to było RP, bo przeszedłem ten odcinek parę lat wcześniej. Założyliśmy poręczówki i zjechaliśmy pod przewieszkę do pierwszego biwaku. Rozstawiliśmy mały namiot i mieliśmy wygodną miejscówkę na całą noc.

Drugi dzień zaczęliśmy wspinaczką od 7 rano. Roger poprowadził pięć mikstowych wyciągów do M5, do lodowych żlebów. Potem ja poprowadziłem kilka wyciągów do Biwaku Śmierci (sześć wyciągów do M6 i 300 m z lotną w terenie o nachyleniu 50 stopni). Było dość zimno i po południu znów prowadziłem w górę trzeciego pola lodowego, na prawo, do systemu rys Filara Centralnego (trzy wyciągi do M4). Roger pokonał ostatni wyciąg tego dnia, trudny M7. Znów założyliśmy poręczówki i zjechaliśmy do miejsca biwaku. Gdy jedliśmy kolację, zeszła duża lawina kamieni – trochę czasu upłynęło, zanim uspokoiliśmy nerwy i zasnęliśmy.

Trzeci dzień, 5 rano: roztopiliśmy trochę śniegu na wodę i o 7 opuściliśmy Biwak Śmierci. Roger pociągnął kilka wyciągów, ostatni za M6. Ja poprowadziłem jeden długi 60-metrowy wyciąg M7. Roger pokonał M5 i M6. Na Filarze Centralnym wspinaliśmy się w butach wspinaczkowych, na jednym wyciągu (5.11c) mieliśmy wiszące stanowisko. Potem poprowadziłem straszną zalodzoną rysę (M8–, OS). Pochłonęła całą moją energię, również dlatego, że to właśnie na tym wyciągu w 1966 r. zdarzył się śmiertelny wypadek Johna Harlina II. To był psychicznie najtrudniejszy wyciąg w moim życiu, ale powiedziałem o tym Rogerowi dopiero później. Roger pokonał jeden wyciąg WI4, potem ja doprowadziłem nas nad Pająka do rys wyjściowych i wyjścia Heckmaira (sześć wyciągów z lotną, 55 stopni, M3), potem przez Rysy Wyjściowe trzy wyciągi M5, M4, M4 polem śnieżnym (55 stopni) do wierzchołka i do grani wierzchołka, gdzie mieliśmy biwak blisko szczytu o 8.30 wieczorem, 22 września.

Kolejnego, już czwartego dnia, zjechaliśmy ścianą południową ponad 20 wyciągów, po czterech godzinach wróciliśmy do cywilizacji, do stacji Jungfraujoch. To była naprawdę wielka przygoda, bardzo trudna alpejska droga, z niezbyt dobrą asekuracją, typową dla Eigeru. Skała do 5.11c, lód i mikst do M8–. Na takiej wielkiej ścianie to dla nas było prawdziwe wyzwanie. Wszystko zrobiliśmy RP lub OS, zmienialiśmy się na prowadzeniu. Wspinaliśmy się w stylu alpejskim. Z uwagi na moje powiązania z rodziną Harlinów i z ich tragedią była to najbardziej emocjonalna wspinaczka w moim życiu.

Ile czasu zajęło przejście drogi?

Trzy dni do szczytu i cztery godziny zejścia.

Używaliście 44-letnich haków?

Oczywiście, musieliśmy, ale tylko jako asekuracji przy przejściu klasycznym. To lepsze niż nic.

Co dalej? Masz już kolejne wielkie plany?

Teraz pracuję nad uklasycznieniem drogi 5.14b. W zimie lubię próbować sił w lodzie i drytoolu. Mam też projekty alpejskie, a pod koniec roku planuję wyprawę. Lubię wszystkie formy alpinizmu. ■

Fot.: Frank Kretschmann.

Ermanno Salvaterra

PRZEJŚCIE

Tłum. Katarzyna Niecikowska

Nie jest zimno, ale zawsze przeżywam trudne chwile, kiedy muszę opuścić cieplutki i wygodny śpiwór. Dzwoni budzik. Jest kilka minut po szóstej, a już słyszę Bruna (Detassisa) układającego drewno. Na śniadanie zjadam czekoladkę. W rogu zostawiam plecak z rzeczami, których nie będę potrzebował. Zamieniam dwa słowa z moim Wielkim, Starym i Mądrym Mistrzem (Bruno) i o 6:30 ruszam żwawym krokiem przyjemną trasą w kierunku Crozzon di Brenta.

Docieram do podnóża i w sportowych butach szybko przemierzam pochyłe zacięcie prowadzące do pierwszych tarasów z materiałem detrytowym, stamtąd kieruję się na prawo w stronę najbardziej ambitnego odcinka. Wkładam buty do wspinaczki i atakuję legendarny filar Pilastro dei Francesi. Czuję się dobrze, słońce dodaje mi sił. Kolor skały przechodzi z żółtego w szary. Odcinek gładkiej płyty, potem długie zacięcie i znowu płyta. Trawers, a po nim mniej siłowe podejście. Kolejna zmiana obuwia i szybko docieram do schronu Bivacco Castiglioni na szczycie Crozzon. Przysiadam na chwilę, żeby wpisać się do księgi pamiątkowej. Spoglądam na zegarek, jest 8:45.

Nie mam konkretnego planu, nie mam programu, którego muszę się trzymać. Mam tylko pomysł w głowie i będę go realizował, dopóki ciało i umysł dadzą radę. Bruno z całą pewnością nie spuszcza mnie z oka… Przejście w kierunku Cima Tosa znam jak własną kieszeń. Po niedługim czasie schodzę na szlak, potem kieruję się do podnóża Pilastro della Tosa. Pokonuję kilka pierwszych metrów, aż do pierwszej półki, za którą zaczną się prawdziwe wyzwania. Zmiana obuwia, kolejny przeklęty papieros. Przede mną najtrudniejszy odcinek, który mnie jednak nie przeraża. Kiedyś z powodu burzy, która się niespodziewanie rozpętała, zmuszony byłem przebyć go sam w obie strony. Podczas wspinaczki wracam myślą do Wielkiego Giorgia Graffera, który w odległym 1937 roku pokonywał tę trasę z Brunem Detassisem. Jeszcze jeden wymagający etap, a potem kontynuuję już bez problemu.

O 10:20 zaczynam schodzić, znowu szlak i szybko w dół. Skracam sobie drogę do Campanile Basso przechodząc mało uczęszczaną przełęczą między Brenta Bassa i Cima Margherita. Atakuję Spigolo Graffer i szybko docieram do trudnego, szarego zacięcia; chwyty są niewielkie, ale ostre, a buty prawie przyklejają się do porowatej skały. Na jego końcu zmieniam buty na sportowe, ponieważ bolą mnie palce u stóp. Mijam małą grupę łatwym zacięciem i schodzę odprowadzany zdziwionymi spojrzeniami. Pewnie z powodu moich długich, roztrzepanych włosów… Docieram do Stradone Provinciale (szerokiej półki w połowie Campanile), potem schodzę na normalny szlak. Jakie piękne są czwórkowe drogi…

O 12:40 jestem na szczycie Basso. Jest trochę ludzi, ale szczerze mówiąc unikam ich spojrzeń, bo trochę się wstydzę. Zostawiam wpis i schodzę. Nie mam liny. W małym plecaku mieszczą się buty, „spitfire" – czerwona koszulka z cienkiej bawełny – wieczny powód żartów mojego przyjaciela Sarchiego, który uważał, że jest żałosna i nie nadaje się w góry, papierosy, opakowanie tic taców i woreczek z magnezją. Docieram do bazy, zbaczam z Sentiero delle Bocchette, aby na innym zboczu zejść do podnóża ściany wschodniej Brenta Alta. Zaczynam drogę *Detassis–Battistata–Giordani*. Skała jest wspaniała i mimo lekkiego zmęczenia wspinaczkowy wysiłek wciąż mnie cieszy. Zagubiony na tej niewiarygodnej, szarej tablicy zapominam prawie o nodze, która powoli zaczyna dawać się we znaki.

Jedenaście miesięcy wcześniej złamałem nieszczęśliwie prawą nogę. Wywróciłem się traktorem podczas dostarczania zapasów do schroniska XII Apostoli. To było naprawdę przykre doświadczenie. Było pełno krwi… Wydawało mi się, że złamałem obie nogi. Jedna była wygięta w nienaturalny sposób. Kości przebiły skórę i wbiły się w ziemię. To było straszne… Ale udało mi się pozbierać. Inaczej nie byłoby mnie tu dzisiaj. Być może to jest mój rewanż za tamto. Tymczasem pokonuję ostatnie odcinki wariantu Pisoni, potem energiczne zejście przez piarżyska i łatwe skałki… Docieram do Bocca di Brenta i pokusa, żeby kontynuować w kierunku schroniska Brentei jest na tyle silna, że kiedy docieram do Campanile Alto, omiatam go spojrzeniem i zaczynam się wspinać. Właściwie nie byłem aż tak bardzo zmęczony. Pierwszy odcinek grzędy jest bardzo łatwy. Kieruję się w lewo i wspinam się na Diedro Oggioni o umiarkowanym stopniu trudności. O 17:40 jestem na szczycie.

Teraz wyraźnie odczuwam zmęczenie i być może to wizja odpoczynku sprawia, że przyspieszam kroku. Zejście na szlak jest błyskawiczne, odcinek Bocchette jest relaksujący, żleb między Brenta Alta i Basso przemierzam galopem. Tym razem ścieżka prowadząca do schroniska przypomina autostradę… Patrzę na zegarek i znowu przyspieszam. O 18:28 docieram do Brentei. Przychodzi mi do głowy jeszcze jedna droga, ale mam wymówkę w postaci zmęczenia, spuchniętej nogi, klienta, który czeka na mnie w kolejnym schronisku. Żegnam się z Brunem i Claudiem i zmagając się ze zmęczeniem ruszam do Tuckett. ■

Fot. Artur Paszczak

Coś tu nie gra. Jeśli to naprawdę *Ham and Eggs*, popularna droga wspinaczkowa na Moose's Tooth na Alasce, to gdzie są stanowiska zjazdowe? Kilkaset metrów pode mną zbiegają się gładkie ściany śnieżnego żlebu – nie wygląda, jakby dało się tamtędy zjechać. Jared jest długość liny nade mną; 150 metrów nad nim majaczy pasek pionowej skały, przez którą zjeżdżaliśmy wcześniej – ostatnia z kilku przeszkód, za którą nie da się już zawrócić.

Mark Synnott

MOCNO WSTRZĄŚNIĘCI

Jak wspinanie na superlekko załatwiło na superperłowo alpinistów na Moose's Tooth

Tłum. Iza Figiel

Epicka opowieść wspinaczkowa z Alaski, opublikowana niedawno w *Climbing Magazine*

Nadal jesteśmy jakieś 600 metrów nad lodowcem i dociera do nas ponura świadomość, że jedyna droga ucieczki wiedzie przez ten żleb. Schodzimy dalej z lotną asekuracją, mimo rosnącego niepokoju.

Zatrzymuję się, kiedy żleb staje się węższy niż metr. Teren opada stromo pod moimi stopami. Muszę założyć przelot, ale granit z obu stron jest zupełnie gładki. Rozgarniam śnieg, na głębokości pół metra znajduję lód i wkręcam śrubę. Nadchodzi Jared. Ma ponurą minę, ale nic nie mówi. Zaczyna mnie asekurować. Opuszcza mnie za krawędź ściany, żebym mógł spojrzeć, co jest dalej. Chwilę później spoglądam na gładką płytę, która opada 450 metrów w dół, do lodowca. Ślepy zaułek. Nie ma mowy, żeby zjechać tą ścianą z naszą śmieszną ilością sprzętu i jedną 8-milimetrową liną.

Po boleśnie długiej, niezręcznej ciszy Jared krzyczy z góry:

– Jak to wygląda?

– Nie za dobrze – odpowiadam. – W zasadzie jesteśmy w niezłej dupie.

Jest trzecia po południu, a my w akcji już od 12 godzin. Można by gdzieś przycupnąć i ogarnąć ten bałagan rano, gdyby nie to, że nie mamy sprzętu na biwak, jedzenia, wody ani palnika. Nie mamy nawet puchówek. Nagle wiatr wzmaga się i widzę śnieg zbierający się na ramionach Jareda. No to mamy nasz idealny dzień w całej okazałości. Żleb nad nami wygląda na stromy i trudny, a my mamy zaledwie garść szpeju. Zjechaliśmy w zapych i nie wiadomo, czy damy radę się stąd wydostać. Jakoś będziemy musieli, innej możliwości nie ma.

Jareda Ogdena pierwszy raz spotkałem w 1997 r. i od tej pory razem wyjeżdżaliśmy na przynajmniej jedną poważną wyprawę rocznie. Dobrze się nam współpracuje, głównie dlatego, że mamy podobne cele wspinaczkowe. Początkowo oznaczało to wynajdywanie największych, najbardziej odosobnionych ścian w miejscach takich jak Ziemia Baffina czy Pakistan. Jednak pod koniec roku 1999 obaj poczuliśmy potrzebę urozmaicenia naszego big wallowego wspinu. Nasza następna misja miała być inna.

Po nieudanej próbie na niebezpiecznej północnej ścianie Jannu w Nepalu w 2000 r. w maju następnego roku znaleźliśmy się pod północną ścianą Mount Huntington, 3730-metrowego szczytu w górach Alaski. Każdy dzień zaczynał się obiecującą pogodą, ale wczesnym popołudniem wszystko powyżej 3000 metrów zakrywały burzowe chmury z silnym wiatrem i opadami śniegu. Z naszej bazy w odległości 8 mil w dół widać było Ruth Amphitheater. Może było to złudzenie, ale pogoda w dole doliny wyglądała znacznie lepiej. Następnego dnia załadowaliśmy więc sanie, założyliśmy narty i zjechaliśmy lodowcem do podstawy skalistej południowej ściany Moose's Tooth, o której wiedzieliśmy tyko tyle, że nie ma tu tak paskudnej pogody jak na Mount Huntington.

Kiedy dotarliśmy do podnóża ściany, ze zdziwieniem zauważyliśmy dwa namioty i wspinaczy w pierwszej połowie drogi. Jako nowicjusze w tych terenach nie wiedzieliśmy, że w pobliżu Moose's Tooth jest lądowisko i zakładaliśmy, że będziemy mieli cały szczyt dla siebie.

Od kilku godzin szalała burza, ale kiedy kończyliśmy budować naszą prowizoryczną jamę śnieżną, wszystko niespodziewanie ucichło i nagle na zachodzie ukazał się nam na jeden z najbardziej niesamowitych obrazków górskich, jakie widziałem. Na pierwszym planie wznosił się monolityczny 750-metrowy filar Grani Zachodniej (West Ridge) Moose's Tooth. Za nim, wyłaniająca się z mglistych, purpurowych dolin, na tle granatowego nieba stała dumnie Denali.

O szóstej wieczorem oba zespoły wróciły z południowej ściany. Para młodych wspinaczy z Anchorage próbowała zrobić klasyk rejonu, drogę *Ham and Eggs*, 850-metrowy śnieżno-lodowy żleb (do 5.7, WI4). Paul, młody wspinacz i instruktor heliskiingu z Valdez, planował pierwsze przejście solo ściany na lewo od *Ham and Eggs*.

Nasi nowi znajomi pokazali nam inny wyraźny żleb, bardziej na zachód, drogę *Shaken Not Stirred* („Wstrząśnięte, niemieszane"), 760-metrowy wąski kuluar o trudnościach do WI4+, M6. Jako pierwsi przeszli go Jim Donini i Greg Crouch w 1997 r. Droga kończy się na zachodniej grani Moose's Tooth, na Englishman's Col, wąskim, zaśnieżonym, smaganym wiatrem siodle, oddzielającym zachodni i środkowy wierzchołek. Na drodze nie było nikogo, więc postanowiliśmy na nią pójść.

O trzeciej nad ranem, po kilku kubkach gorącej kawy, podeszliśmy trudnym polem śnieżnym do podstawy ściany z kuluarem. Przyasekurowałem Jareda na odcinku kiepskiej, kruchej skały, a potem weszliśmy w kuluar i szliśmy z lotną w górę pola śnieżnego o nachyleniu 50 stopni. Pomimo ponurych ciemności w zakamarkach tego granitowego szybu, poruszaliśmy się szybko po śniegu jak ze styropianu. W połowie drogi kuluar zwężał się do szerokości ramion. Zaczęliśmy się asekurować na 180-metrowym odcinku lodu o nachyleniu od 70 do 90 stopni. Straciliśmy trochę czasu przy zaklinowanym kamieniu, pokrytym nawisem śnieżnym. Resztę żlebu pokonaliśmy w ekspresowym tempie i o dziewiątej rano byliśmy już na Englishman's Col, którego pierwszymi zdobywcami był niemiecki zespół podczas pierwszego (1964 r.) przejścia Grani Zachodniej, jednego z 50 klasyków z listy Steck-Roper.

Siedząc na wąskiej przełęczy, pławiłem się w słońcu i napawałem widokiem. Po drugiej stronie ściany widać było lodowiec Buckskin i północną ścianę Moose's Tooth – przerażający pion karbowanego śniegu i przeczących grawitacji grzybów, nawisów śnieżnych i skalnych wieżyc. Na wschód ciągnęła się dzika, usiana śnieżnymi nawisami dalsza część Grani Zachodniej, prowadząca przez kilkaset metrów do środkowego wierzchołka i potem dalej do głównego wierzchołka Moose's Tooth.

Gdybyśmy z Jaredem odrobili pracę domową, wiedzielibyśmy, że aby zejść z *Shaken Not Stirred*, trzeba z siodła pójść na zachód, a potem zejść Granią Zachodnią do lodowca Ruth. Wspinając się, uważnie oglądałem drogę w nadziei, że wypatrzę miejsce na stanowisko zjazdowe, ale lity granit nie napawał optymizmem. Kiedy Jared dołączył do mnie na siodle, postanowiliśmy iść na wschód wzdłuż Grani Zachodniej do środkowego wierzchołka, a potem przez szczyt do stałych punktów zjazdowych na *Ham and Eggs*.

Chociaż kilkaset metrów wąskiej, eksponowanej grani nie wyglądało łatwo, pogoda była doskonała, a niebo zupełnie bezchmurne. „Jeśli kiedykolwiek mamy zdobyć jakiś szczyt Alaski – powiedział Jared – to właśnie ten".

Pomyślałem, że jeśli uda mi się wejść na sam grzbiet grani, będę mógł iść wzdłuż nachylenia mniejszego niż 90 stopni. Kilka metrów od grzbietu mój rak przebił jednak powierzchnię lodu i zobaczyłem rządek lodowych sopli, pomiędzy którymi widać było w dole lodowiec Buckskin. Grań właściwie nie istniała.

Jedyną alternatywą było przetrawersowanie 10 metrów przez pas pionowego śniegu do wstążki lodu o szerokości 30 centymetrów, kóra biegła w dół przez wąski odcinek skały. Nie mieliśmy szabli śnieżnych, więc wbijałem w śnieg trzonek czekana i szedłem, niepewnie utrzymując równowagę. Lina wisiała luźno między mną a Jaredem, przez 20 metrów nie mieliśmy żadnego przelotu. Z każdym krokiem w prawo skutki potencjalnego lotu rosły do rozmiarów, o których wolałem nawet nie myśleć.

Kiedy wreszcie dotarłem do lodu, włożyłem śrubę i przez przewieszkę wyszedłem na 20-metrowy odcinek śniegu o nachyleniu 80 stopni, pokrywającego słabo związany lód. Wkrótce wspinałem się po jakiejś ziemi niczyjej, skąd nie można się wycofać, ale nadzieja, że już za kilka ruchów dotrze się do lepszego lodu, pcha do przodu. Tymczasem w miarę zbliżania się do grani, lód robił się słabszy i bardziej stromy, aż w końcu przez ostatnie kilka metrów posuwałem się panicznym kraulem w górę sypkiego, pionowego śniegu. W końcu dotarłem do grani, psychicznie wykończony odcinkiem, który okazał się najtrudniejszym miejscem drogi.

Założyłem deadmana w miękkim śniegu. Zdałem sobie sprawę, że właśnie przeszedłem kolejny odcinek, za którym trudno się będzie wycofać. Dwa zjazdy ze śnieżnych grzybów pozwoliłyby nam dostać się z powrotem do Englishman's Col, ale miękki, mokry śnieg nie dawał szans na zbudowanie takiego stanowiska. Dobra wiadomość była taka, że z tego miejsca wspinanie, to głównie trawersowanie przez straszny, szeroki na 10 metrów nawis nad północną ścianą.

W południe nadal byliśmy na środkowym wierzchołku. Mieliśmy nadzieję, że odpoczniemy w słońcu, ale przyszła wielka chmura. Rozejrzałem się – pogoda się psuła. Skąd w ogóle wzięły się te chmury? Czy przypadkiem jeszcze niedawno niebo nie było jak kryształ?

Wycof granią nie wchodził w grę, szliśmy więc dalej na wschód, mając nadzieję, że *Ham and Eggs* jest tuż za rogiem. Poniżej środkowego szczytu zjechaliśmy 10 metrów pionową turniczką – szansa wycofu znów zmalała. Dalej przez kilkaset metrów szliśmy z lotną, aż dotarliśmy do skalnego rogu, na którym wisiała taśma.

– To musi być to – powiedziałem do Jareda, kiedy do mnie dołączył.

– No nie wiem – odpowiedział. – Myślałem, że z góry żlebu będzie widać namioty, a stąd gówno widzę.

– Jestem pewien, że to tutaj – nalegałem, bo chciałem iść dalej.

Moje zdanie zdecydowanie przekonało Jareda.

Już przy pierwszym zjeździe nie udało mi się znaleźć następnego stanowiska. Powinno mi się włączyć wtedy światło ostrzegawcze, ale wmówiłem sobie jakoś, że trochę zboczyłem z drogi i że stanowiska są po prostu schowane pod śniegiem. Po drugim zjeździe dotarłem do niepewnego stanu i zacząłem skrobać wypychającą rysę z cienką szczeliną w środku. Kopałem w śniegu, skręcałem się z całych sił, ale nie udało mi się znaleźć dobrego miejsca na przelot. W końcu wziąłem kość, dwójkę, i wbiłem ją czekanem w rysę, jak copperheada. To było najmarniejsze stanowisko, jakie w życiu widziałem. Wpiąłem karabinek i szarpnąłem parę razy. Kostka, o dziwo, nie wyleciała. Kiedy Jared zobaczył moje dzieło, nie był zachwycony. Pogoda dalej się psuła, a my nadal nie widzieliśmy naszego biwaku na lodowcu 750 metrów niżej.

Godzinę później stoimy na krawędzi 450-metrowej ściany i zastanawiamy się, co zrobić. Nad naszymi głowami czasem pojawia się kawałek czystego nieba, ale widać, że zbiera się na burzę. Nie mamy wyjścia – musimy wrócić żlebem w górę, do grani. Spoglądam w górę 90-metrowego odcinka stromej, kruchej, przerażającej skały i przechodzą mnie ciarki. Zostało nam już może z sześć sztuk szpeju.

Po kilku stromych wyciągach w śniegu docieramy do pionowego komina z luźnymi skalnymi płetwami i łatami cienkiego lodu. Wygląda ciężko, w dodatku zupełnie nie ma miejsca na założenie bezpiecznych przelotów. Wiszę na dwóch kościach zaklinowanych między płetwami, prawie dokładnie na linii ognia. Nad głową majaczy kilka kawałków skał, jak gilotyny, które tylko czekają, żeby je zwolnić. Kulę się pod kapturem, słuchając wspinającego się Jareda. Ręce i stopy mam zmarznięte na kość. Czuję, jak przenika mnie ziąb i mnie to przeraża. Jeśli coś się stanie, jeśli Jared odpadnie i coś sobie zrobi, jeśli jeszcze jedna rzecz się nie uda, już po nas.

Na szczęście Jared jest niezawodny. Nikomu nie ufałbym bardziej w takiej sytuacji. Czas dłuży się niemiłosiernie, ale w końcu czuję, jak lina szarpie za uprząż. Z przerażającą łatwością wyjmuję kości i zaczynam się wspinać. Mam już

zupełnie zdrętwiałe ręce. Zamiast wyczuwać, muszę patrzeć, czy czekany dobrze siedzą w śniegu albo opierają się o skałę.

Wpełzam na grań, docieram do Jareda w szalejącej śnieżycy. Spoglądam w mrok, wiatr smaga śniegiem we wszystkich kierunkach naraz. Nie mam zupełnie pojęcia, gdzie jestem i jak dalej biegnie grań. Idzie w górę, w dół czy poziomo? Jared asekuruje, ja pełzam na czworakach, sprawdzam drogę czekanem wiedząc, że grań to w zasadzie gigantyczny nawis na północnej ścianie. Staram się iść jak najbliżej południowej strony – tak podpowiada mi przeczucie i ślepa wiara. W tych warunkach nie mam szans na znalezienie właściwego żlebu.

Nagle robię dziurę w nawisie i zapadam się po pas. Udaje mi się wydostać i dociera do mnie, że byłem o krok od wielkiego lotu. Kto wie, ile bym spadł i gdzie się zatrzymał? Między mną a Jaredem nie ma żadnego przelotu. Czołgam się dalej, zauważam na prawo jakieś skały. Siedzę skulony na krawędzi jakiegoś żlebu. Tylko czy to właściwy żleb? Nie wiadomo. Pełznę dalej. Kolejny żleb, i kolejny.

Dwadzieścia minut później stoję nad, jak do tej pory, największym żlebem. Mam przeczucie, że to może być ten, ale w takiej zamieci niczego nie można być pewnym. Ten zaśnieżony żleb ma jakieś 15 metrów szerokości. Widać w nim tylko 15 metrów w dół, reszta ginie w ciemności.

Jared jest 60 metrów za mną, nad jednym z poprzednich żlebów. Ciągnie za linę i krzyczy coś do mnie, ale ledwo go słyszę. Chyba chce iść tamtym żlebem. „Mój" żleb jest wyraźnie większy, gdyby Jared go widział, poszedłby tędy. Przez krótką chwilę trwa idiotyczne przeciąganie liny. Jestem jednak trochę niżej, więc kiedy obciążam linę, Jared nie ma wyboru, musi iść.

Po kilkudziesięciu metrach żleb staje się bardziej stromy i śnieg zmienia się w niebieski lód. Walcząc z falami pyłówki, schodzimy na przednich zębach raków, związani liną, ale bez przelotów pomiędzy nami. Czuję, jak narasta we mnie panika. Wiem, że może mnie to zgubić, więc próbuję ją zablokować, całą uwagę skupiając na precyzyjnych ruchach raków i czekanów. Jared jest gdzieś w pyłówce nade mną. Chociaż ledwo go widzę, jego obecność dodaje mi sił. Może to jest właściwy żleb, może nie. Tak czy tak, jakoś damy radę.

Jakieś 150 metrów niżej już prawie tracę nadzieję, gdy nagle widzę jasnoniebieską, pokrytą lodem taśmę na dwóch kostkach. Co za ulga – jesteśmy uratowani.

Następne kilka godzin upływa nam na zjazdach, schodzeniu i zakładaniu przelotów między stałymi punktami zjazdowymi. O dziesiątej wieczorem jesteśmy na dole. Nie mówimy dużo. Jestem teraz wielką, drżącą z zimna bryłą. Czas płynie jak krew w moich żyłach – nieznośnie powoli, kilka ostatnich zjazdów trwa całą wieczność. Kiedy pomiędzy zjazdami patrzę na oszronioną twarz Jareda, widzę, że myśli to samo, co ja – wycieczka skończona. Wracamy do domu, jak tylko zejdziemy z tej góry. Patrząc na to z perspektywy czasu, byłem blisko decyzji, żeby rzucić wspinanie.

Docieramy do naszej jamy śnieżnej po 24 godzinach akcji – dziewięciu do szczytu i szesnastu koszmarnego zejścia. Jesteśmy mocno odwodnieni, robimy herbatę, ale zasypiamy z kubkami w dłoniach. Następnego ranka wychodzimy z namiotu i widzimy, że burza trochę ustała, ale nadal mnóstwo chmur kłębi się na niebie. Jared wyjmuje palnik i siedzimy obok siebie, gapiąc się na ścianę. Teraz dokładnie widzimy miejsce 600 metrów wyżej, skąd próbowaliśmy się wydostać. Powoli zaczynam się uśmiechać i z niewiadomych przyczyn, gdy patrzę tam, w górę, moja zmrożona psychika zaczyna wracać do siebie. Jared, prawdziwa bratnia dusza, czuje dokładnie to samo.

– Zejdźmy do Ruth – mówi . – Za dzień lub dwa będę gotowy na następny wspin.

MOCNO WSTRZĄŚNIĘCI

Athletes: Roger Schäli and Simon Gietl I Location: Aguille du Midi
Pic: visualimpact.ch Thomas Ulrich
www.salewa.com
SALEWA

Widok ze stanowiska przy kompresorze Maestriego w dół filara pn-wsch.
Fot.: Doerte Pietron.

Rolando Garibotti

CERRO TORRE – GRANICE MOŻLIWOŚCI

Tłum. Robert Subdysiak

Po raz kolejny powróciły kontrowersje dotyczące asekuracji na Compressor Route. Gdy w 1971 roku Włoch Cesare Maestri osadził ponad 400 spitów na drodze biegnącej południowo-wschodnią granią Cerro Torre, nie mógł się spodziewać, że jeszcze 40 lat później wciąż będzie o nich głośno.

Gdy w 1952 roku Francuz Lionel Terray dokonał pierwszego przejścia Fitz Roya, określił sąsiadującą z nim Cerro Torre jako „górę nie do zdobycia". Dobrze oddawało to wrażenie, jakie wywierała pokryta śniegiem, wysoka na półtora kilometra granitowa igła. Dla Terraya ta niemożliwość wynikała z jego rozumienia wspinania, które polegało na akceptacji naturalnego stanu rzeczy – podejmowaniu walki z tak małą ilością sprzętu, by góra miała szanse się bronić.

Maestri prezentował zgoła inne podejście: stworzona przez niego drabina spitów omijała naturalne formacje nadające się do asekuracji, zamiast łączyć je w sekwencje. On sam przyznał, że wiele ze spitów było niepotrzebnych, a gdy opisywał górną część headwalla, stwierdził: „mogliśmy poradzić sobie z wieloma częściami za pomocą zwykłych haków, jednak zostawiliśmy je 900 metrów niżej, więc nie mieliśmy innego wyjścia jak tylko wiercić dalej".

„Dzieło" Maestriego zasadniczo zmieniło charakter góry, a granica możliwości, którą widział Terray, odeszła w niepamięć. Górą niemożliwą stała się sąsiednia Torre Egger – z podobnie postrzępionym szczytem, jednak wolnym od spitów. Trwało to aż do 16 stycznia 2012 roku, gdy dwóch młodych wspinaczy – Kanadyjczyk Jason Kruk i Amerykanin Hayden Kennedy – zdecydowało wziąć sprawy w swoje ręce. Po błyskawicznym przejściu południowo-wschodniej grani – dokonanym bez użycia żadnego ze spitów Maestriego i z wykorzystaniem zaledwie trzech z jego stanowisk – postanowili wyciąć ⅓ spitów z *Compressor Route*. Był to pierwszy krok na drodze do powrotu „niemożliwego", o którym 60 lat wcześniej mówił Terray. Powrotu, który po 40 latach dyskusji stał się faktem.

Złożoność tego problemu sięga niezwykle daleko. W jaki sposób podejmiemy się przywrócenia idei Terraya? Czy zignorujemy o wiele dokładniejsze obecnie prognozy pogody? Czy porzucimy topografie i dostępne informacje na temat drogi? Czy zrezygnujemy z nowoczesnego sprzętu? Spity Maestriego były wyraźną przeszkodą w odzyskaniu utraconej niemożliwości, a jednak ani nie jedyną, ani być może wcale nie najbardziej znaczącą. „Dzieło" Maestriego było namacalne i – pomimo wszelkich kontrowersji – łatwo usuwalne. Mario Conti, który dokonał pierwszego przejścia Cerro Torre w 1974 roku, podziela tę opinię. W swojej książce „Zagadka Cerro Torre" Conti stwierdza: „Jedynie po usunięciu spitów można sobie wyobrazić, czym rzeczywiście była i czym powinna nadal pozostać ta góra".

O dziwo, Maestri zaakceptował działanie Kennedy'ego i Kruka. Wspomina on w swojej książce „Metri della Nostra Vita", że jeszcze zanim ruszył do zjazdu podczas swojej próby zdobycia góry (zatrzymał się 30 metrów poniżej szczytu) zdecydował „pozbyć się wszystkich spitów i pozostawić ścianę tak czystą, jak ją zastał". Po wycięciu 20 spitów i uświadomieniu sobie ogromu tego przedsięwzięcia, zmienił zdanie. Analizując wszystkie kontrowersje dotyczące działań Kennedy'ego i Kruka, należy zatem pamiętać, że realizowali oni zamiary wspinacza, który te spity osadził.

Można twierdzić, że wspinanie powinno być po prostu przyjemne, a jednak to coś poza prostą przyjemnością pcha ludzi do granic wyczerpania w tak niegościnnym środowisku. Jeśli bogactwo wspinania leży w poszukiwaniu sensu poprzez doświadczanie, czemu mielibyśmy omijać naturalne trudności oferowane przez górę? Jest coś niezwykle sprzecznego w tworzeniu sztucznych ułatwień na drodze do tak wyjątkowych szczytów, że zaledwie garstka ludzi jest w stanie je zdobyć. Jeśli akceptujemy takie ułatwienia tylko dlatego, że część z nas mogłaby uważać je za przyjemne, moglibyśmy równie dobrze zapewnić dostęp na szczyt wszystkim – nawet osobom, które się nie wspinają. Czy rzeczywiście dotarliśmy do etapu, w którym zdobycie określonych punktów na mapie jest równie ubogacające niezależnie od tego, czego musieliśmy doświadczyć po drodze? Czy wspinanie sprowadza się do zwiedzania? Jeśli tak, po co się męczyć? Przecież użycie śmigłowca jest o wiele prostsze.

Historia prowadzi nasze społeczeństwo przez mrok jak zbawienne światło i choćby z tego powodu należy ją szanować. Wielu uważa, że „dzieło" Maestriego ma walor historyczny, a jednak należy zawsze pamiętać o usunięciu szkodliwych efektów danego działania, zanim uznamy je za część naszego dziedzictwa. Podobnie jak flagi kolonialne zostały zdjęte z argentyńskich budynków rządowych po dekolonizacji, spity Maestriego musiały zostać usunięte. Na zawsze pozostanie dla nich miejsce w historii, a bezpieczną przystań znajdą w siedzibie parku narodowego.

Reakcje na działania Kennedy'ego i Kruka były niezwykłym przykładem emocji górujących nad rozsądkiem. Dyskusja o etyce wspinaczkowej zamieniła się w dyskusję o nacjonalizmie i kulturze. Zapalczywość obu stron sporu może być tłumaczona jedynie reprezentowaniem zupełnie odmiennych wartości i innym rozumieniem wspinania.

Przebieg drogi Maestriego i jej wariantów. Fot.: Rolando Garibotti.

Jeden z finałowych wyciągów drogi Maestriego biegnący ścianą szczytową Cerro Torre. Zaznaczono nity. Fot.: Doerte Pietron.

Niektórzy w nieskończoność nawołują do powrotu niemożliwego, używając argumentu Reinholda Messnera z eseju „Morderstwo Niemożliwego": „Nadszedł czas, byśmy […] raz jeszcze poszukali granicy możliwości. Taka granica jest nam niezbędna, jeśli chcemy zbliżać się do niej, korzystając z cnoty odwagi". Inni narzekają na utratę istotnego historycznego elementu, uważając, że jest to próba wymazania z pamięci osoby Cesare'a Maestriego.

Czyn został już jednak dokonany, a świat będzie musiał się do tego przyzwyczaić i pozostać wiecznie podzielony co do tego, czy wycięcie spitów było wandalizmem, czy też naprawieniem skutków wandalizmu. Za 40 lat, a może nawet i wcześniej, granice możliwości, obrona historycznych postaci, dostępność i wiara ponownie spotkają się w górach Patagonii. I jak to często bywa w teatrze ludzkich działań, to natura zapłaci ostateczną cenę za popełniane przez nas błędy. ■

www.npm.pl

npm MAGAZYN TURYSTYKI GÓRSKIEJ

npm nowy poziom możliwości

Wyciąg 6. Na prowadzeniu Michał. Fot.: Andrzej Sokołowski.

Michał Król

PIK MIŃSK – REAKTYWACJA

Kokshaal-Too w centralnym paśmie gór Tien-Shan. To nadal mało znane i trudno dostępne miejsce. Tego rejonu położonego niedaleko granicy trzech państw: Kirgistanu, Tadżykistanu i Chin, nie widziało do tej pory wielu wspinaczy. Brzmi to jak opis doskonałego miejsca, w którym można przeżyć kolejną fajną przygodę. Dlatego jeszcze raz zdecydowaliśmy się tam pojechać, a dokładniej wrócić na drogę, której w 2009 roku niestety nie udało się dokończyć. W ostatniej chwili do naszego składu (Sokołowski, Król) dołączyli również Bartek Trzciński oraz Maciek Bedrejczuk, młodzi wspinacze wytypowani z ramienia PZA.

Michał dochodzi do stanowiska na 8. wyciągu. Fot.: Andrzej Sokołowski.

Wstępem do wyprawy był kilkudniowy pobyt w Alpach. Każdy z nas chciał poprawić swoją kondycję i zaaklimatyzować się w warunkach zbliżonych do tych, jakie czekały na nas w górach Tien-Shan. Z początkiem sierpnia nadszedł wreszcie długo wyczekiwany moment – wyruszamy! Pierwszy etap to lot do Biszkeku, stolicy Kirgizji, miasta bardzo szarego i ponurego. Ten mroczny wizerunek potęguje niezliczona ilość zakładów przemysłowych przeróżnych branż, począwszy od firm włókienniczych, poprzez spożywcze, aż po maszynowe i motoryzacyjne.

Po przylocie szybko ruszamy do już wcześniej znanego motelu. Po szybkim rozpakowaniu od razu udajemy się do naszej agencji, która ma nam zapewnić namiot kuchenny oraz transport w góry. Po wstępnych ustaleniach umawiamy się z kierowcą o godz. 9 rano następnego dnia. Udaje nam się jeszcze ogarnąć prawie całe zakupy żywności. Na dwutygodniowy pobyt w górach nie potrzebujemy jakiejś dużej ilości jedzenia. Sama lista prowiantu już nie jest tak imponująca jak w 2009 roku. Nie mamy 20 kilogramów orzechów, suszonych owoców, itd. Za to zabierzemy 12 arbuzów!

Rankiem następnego dnia pojawia się nasz kierowca i wyruszamy z nim do leżącego na wysokości około 2500 m małego miasteczka Naryń, przedzielonego rzeką o tej samej nazwie. Tu czeka nas nocleg. Nazajutrz dalszy ciąg podróży, 250 km fatalnymi drogami, szutrowymi i dziurawymi, podobnie jak w całej Kirgizji. Nawet główne drogi w tym kraju potrafią stanowić wyzwanie dla samochodu terenowego. Po drodze mijamy pasące się konie, ludzi mieszkających w jurtach, a na horyzoncie ukazują nam się potężne ośnieżone szczyty. Wiozący nas UAZ bez trudu pokonuje coraz to bardziej strome odcinki drogi. W tych warunkach zaczynamy doceniać napęd na cztery koła.

Po ośmiu godzinach ciężkiej jazdy i męczącej podróży docieramy do miejsca, gdzie z bitej polnej drogi należy skręcić w lewo, w kierunku bazy. Wszystko przebiegało zgodnie z planem aż do osiągnięcia rozległego rozlewiska rzecznego, które znajduje się w rejonie bazy. Siedem kilometrów przed końcem podróży nasz samochód niestety ugrzązł. Po dwóch godzinach udaje nam się odkopać maszynę, lecz zniechęcony kierowca odmawia dalszej jazdy! Udaje się nam jeszcze wynegocjować dość ryzykowny przejazd samochodem

Andrzej na 7. wyciągu. Trudności M6. Fot.: Michał Król.

przez rzekę. Nasza jazda dobiegła końca. Nad ranem samochód wraca do Narynia, nas natomiast czekał wahadłowy transport sprzętu oraz żywności do bazy głównej oddalonej o jakieś 5 km.

Baza główna 3750 m n.p.m.

Jest późno, więc rozbijamy nasze namioty na podmokłej łące. Zapada zmrok. Po dwudniowym odpoczynku wszyscy zaczynamy akcję górską. Udajemy się na wstępny rekonesans. Celem było założenie bazy wysuniętej. Odcinek między bazą na wysokości 3750 m a ścianą wynosi 10,5 km przy 450–500 m deniwelacji, co pozwoliło nam na dodatkową aklimatyzację. Kolejnego dnia, po noclegu na lodowcu razem z Andrzejem udajemy się pod ścianę, by sprawdzić, jakie warunki lodowe panują na naszej drodze. Po trzech pierwszych wyciągach naszego projektu szybko oceniamy stan i jakość lodu. Już wtedy wiedzieliśmy, że wbicie się w tę drogę to kwestia kilku dni. Ale już po dwóch dniach regeneracji w bazie wyszliśmy do ABC.

Jedna z nitek. Wyciąg nr 9. Fot.: Andrzej Sokołowski.

Michał i Andrzej na północnym wierzchołku Piku Mińsk.
Fot.: Andrzej Sokołowski.

Pik Mińsk

Trzecia rano, budzimy się z budzikiem. Szybkie pakowanie, śniadanie… Przygotowani na dwa dni akcji ruszamy pod ścianę. Wspinanie zaczyna się pięćdziesięciostopniowym polem lodowym o długości około 120 m, które prowadzi do początku skały. Stąd startuje pierwsza nitka lodowa. Warunki lodowe w tym miejscu panowały bardzo dobre, najtrudniejszy odcinek tej partii wyceniliśmy na WI4+. Kolejne pola lodowe pod kominem były twarde, miejscami szkliste, ale wspinanie nie nastręczało nam już trudności, więc szybko poruszaliśmy się w kierunku komina.

Po jakimś czasie jesteśmy na stanowisku pod ciasnym kominem. Znałem ten odcinek z ostatniej próby. Wiedziałem, co mnie czeka i jak to wygląda. Po szybkim przeszpejeniu zaczynam prowadzić wyciąg. Po niedługim czasie wpinam się do stanowiska nieco spocony, ale szczęśliwy. Ten fragment wyceniamy na WI5/M7. Kolejny wyciąg przypada Andrzejowi. Ładna wspinaczka kruchym lodem i skalnym zaciątkiem po prawej stronie – nieco łatwiejszy o wycenie około M6. Po tym wyciągu dostaliśmy się pod kolejne nitki. W czasie wspinania co jakiś czas spod lodu wystawały nasze stare, nadwyrężone poręcze sprzed dwóch lat, które sukcesywnie usuwaliśmy nożem. Trudności na tym odcinku sięgały stopnia WI4/5. Gdy osiągnęliśmy kolejne pole lodowe, nieco poniżej w prawo od naszej linii, przy świetle czołówek założyliśmy biwak na wyrąbanej w lodzie półce.

W pozycjach siedzących przeczekaliśmy w śpiworach do rana. Noc była mroźna. Trafiliśmy w wymarzone warunki biwakowe. Następnego dnia po przejściu ostatniego wyciągu biegnącym polem lodowym (WI4) w końcu stanęliśmy pod kluczowym wyciągiem. Ten fragment drogi przypadł na Andrzeja.

Zacięcie z przerysą wyglądało zachęcająco. Andrzej dość sprawnie poruszał się w tej formacji, jednak tuż przy końcu trudności krzyknął „Blok!". Niestety nie pokonaliśmy tego wyciągu klasycznie. Nie mieliśmy też czasu na kolejną próbę. Trudności, jakie proponujemy na tym odcinku, to M8– 1×AF.

Cztery pory roku – topo. Fot. i rys.: Andrzej Sokołowski.

…Od tego momentu nie było już spitów na stanowiskach, zaczął się dziewiczy teren.

Teren, którym wspinaliśmy się ponad przerysą, był już łatwiejszy. Maksymalne trudności, jakie napotkaliśmy, wspinając się do grani, to M4 i skalne IV+. Na grani zjedliśmy szybki posiłek, po czym zostawiliśmy większość rzeczy i już na lekko z lotną asekuracją udaliśmy się na wierzchołek północny. W międzyczasie nad naszymi głowami rozrastały się cumulonimbusy, od południa słychać było nadchodzącą burzę, co spowodowało, że drogę skończyliśmy na nieco niższym wierzchołku północnym, około 5150–5200 m. Do głównego, śnieżnego wierzchołka dzielił nas godzinny spacer po śniegu, lecz z perspektywą przyjmowania piorunów na kaski nie zdecydowaliśmy się na tę wycieczkę. Na szczycie zrobiliśmy kilka fotek i z pośpiechem, ale z asekuracją zeszliśmy do naszego depozytu pod granią…

Pik Mińsk, wierzchołek północny, 13–14 sierpnia 2011
Cztery pory roku 900 m, M8– 1 × AF, WI5, +IV + 200 m granią do szczytu

Krótko…

Wyprawę uważamy za udaną. Nasz cel został w 100% zrealizowany. Z czasem jednak człowiek zauważa pewne różnice oraz dojrzewa do innych decyzji. Myślę, że następnym razem zanim wbijemy kolejnego spita, grubo się nad tym zastanowimy :)

SPONSORZY WYPRAWY:

WSPARLI NAS RÓWNIEŻ:
HiMountain oraz Hurtownia Duo Zakopane

Autor w Dol. Piarżystej (lata 60.). Fot. arch. Maciej Popko.

Maciej Popko

ECHA TAMTYCH LAT

Strzelanina z rakietnic, skok z dachu na chatara niczym w westernie, dębinizm i dziewczyna partnera, która w nocy upilnować się nie dała – to tylko niektóre z licznych wspomnień naszych starszych kolegów z klubu.

Z końcem ubiegłego roku rozpoczęliśmy zbieranie wspomnień starszych klubowiczów. Te fascynujące, wielogodzinne wywiady rejestrujemy kamerą, a przekazywane nam materiały archiwizujemy. Docelowo z każdej rozmowy ma powstać kilkuminutowy felieton filmowy.
Rozmowy koncentrują się wokół historii klubu oraz wybitnych życiorysów górskich związanych z KWW. Wspomnienia rozmówców to anegdoty, opisy wypraw, a także refleksje nad zachodzącymi w środowisku zmianami. Często przewijają się również nazwiska, które dzisiejszym wspinaczom znane są głównie z nazw dróg. O ile przyjemniej jest wspinać się drogą *Długosz–Popko* wiedząc, że Palant na taborze uczył kolegów wielogłosowego śpiewu, a Maciek dlatego wspinał się piekielnie szybko, bo nie lubił biwakować!

Poniżej prezentujemy garść wspomnień Maćka Popki, który jest także bohaterem jednego z felietonów filmowych.

W imieniu grupy dokumentacyjnej,
Wojtek Nowicki

Autor w latach 60.
Fot. arch. Maciej Popko.

Jesień 1958 roku, Warszawa, rynek Starego Miasta, ul. Jezuicka 4. Wchodzę do wypełnionej gwarem sali i od razu rozpoznaję twarze znajome z Tatr i skałek: jestem na cotygodniowym spotkaniu czwartkowym taterników z Koła Warszawskiego Klubu Wysokogórskiego. Włączam się do rozmów, ogarnia mnie dobry nastrój, jak zawsze wśród bliskich.

Zacząłem się wspinać w 1954 roku; studiowałem wtedy na Politechnice Łódzkiej i należałem do Koła Łódzkiego KW. Dzięki kontaktowi z ciekawymi ludźmi, którzy tworzyli wtedy środowisko taternickie, rozwijały się moje zainteresowania humanistyczne. W efekcie po Październiku, kiedy zniesiono nakazy pracy, podjąłem studia na Uniwersytecie Warszawskim, na orientalistyce.

Społeczność klubowa oddziaływała na mnie bardzo silnie; poznawałem ludzi niezwykłych, z wieloma z nich łączyła mnie przyjaźń. W niedzielę spotykaliśmy się w Lesie Bielańskim pod starymi dębami i łaziliśmy po nich, chwytając się kory. Dzisiaj już nikt nie pamięta takich nazw, jak Próchnica, Dąb Toczki czy Bula Szurka. Później odkryto bunkry w Czosnowie, ich ściany bardziej przypominały skałki niż dęby. Jeszcze później nastała moda na Janówek, ale estetyka drutów wystających z betonu jakoś mi nie odpowiadała.

Do stypendium dorabiałem szkoląc adeptów wspinania, chyba najczęściej w Stołecznym Klubie Tatrzańskim PTTK (w 1974 roku zostałem nawet kierownikiem sekcji alpinizmu tego klubu). W 1963 roku uruchomiłem sekcję wysokogórską przy ZSP na uniwersytecie; ta zasobna w środki instytucja chętnie finansowała nasze wyjazdy.

W Tatrach najczęściej mieszkałem nad Morskim Okiem, w tzw. kurniku, w towarzystwie Janka Długosza, popularnego Palanta. Chętnie poddawałem się urokowi swoistej subkultury – rozmowom „o wszystkim" i wspólnemu śpiewaniu piosenek, przeważnie słowackich (na cztery głosy!), ale grałem też w hokeja puszką po konserwie. Pozwalaliśmy sobie na różne żarty, np. pewnego razu na Wielkanoc, kiedy spodziewano się tłumu odwiedzających, wyniosłem ze Zbyszkiem Jurkowskim drzwi od schroniskowych ubikacji do lasu. Pani Wanda Łapińska, kierowniczka schroniska, przyjmowała nasze wybryki z dużym poczuciem humoru. Zimą naszą bazą stawało się tzw. nowe schronisko. Choć upłynęło tyle lat, wciąż pamiętam nastrój wieczerzy wigilijnej i szaleństwa nocy sylwestrowych, ale też napięcie towarzyszące myśli o powrocie bliskich i poszukiwanie zaginionych w śnieżnej zawierusze.

W latach 50. brakowało sprzętu wspinaczkowego. Chodziliśmy na linach sizalowych, w byle jakim obuwiu, dźwigając haki własnej produkcji i stalowe karabinki. Ale od 1956 roku miałem raki 12-zębne, już nie pamiętam, jak je zdobyłem. Stopniowo sytuacja się poprawiała. W 1958 roku pojawiły się liny stylonowe wyrabiane przez bielski Bezalin i aluminiowe karabinki firmy PZA. W Krośnie produkowano niezłe jak na owe czasy buty – najpierw „rysy", potem „zawraty". W skale dobrze spisywały się „autostopki"; w 1962 roku zdały egzamin podczas pierwszego wyjazdu w Dolomity. Mocne plecaki (4 kg sztuka) mieliśmy od Waciaka, a horolezki, lekkie i ładne – kupowaliśmy na Słowacji. Śpiwory i kurtki puchowe, bardzo dobre,

Maciej Popko w czasie nagrania. Kadr autorstwa Wojtka Nowickiego.

szył mistrz Radoń. A z czasem nabycie sprzętu zagranicznego stawało się coraz łatwiejsze.

Powodzenie wspinaczki zależało, jak i dzisiaj, od partnera. Umawiając się z kimś, bierzemy pod uwagę kryteria sportowe i towarzyskie. W partnerze powinny się łączyć zalety fizyczne i psychiczne, jego obecność ma współtworzyć atmosferę górskiej wędrówki. W praktyce bywało i nadal bywa rozmaicie; mnie samemu skutki złego doboru towarzysza zdarzały się bardzo rzadko, nie powinienem narzekać. Dodajmy, że skład zespołu na wyjazdy zagraniczne, nie zawsze trafnie, ustalała Komisja Sportowa KW; aż dziw, że mimo to Polacy odnosili sukcesy.

Zasady wspinaczki w Tatrach i innych górach, jej taktyka wynikały z tradycji, ale i lektury książek wielkich wspinaczy zachodnich. Było dla nas oczywiste, że droga kończy się na szczycie lub przełęczy. Nadal śmieszy mnie, gdy ktoś przechodzi kilkuwyciągową drogę na jakimś spłachetku ściany. Podstawą oceny jakości przejścia był jego styl – elegancja w pokonywaniu trudności technicznych, tempo, ale i przestrzeganie zasad bezpieczeństwa. Umiejętność godzenia tych trzech warunków tworzyła mistrza.

Chętnie uczestniczyłem w pierwszych wejściach, ale fascynowała mnie szybkość, biegałem więc latem i zimą, w skale i śniegu (a było go znacznie więcej niż bywa obecnie), korzystając ze stabilnej formy. Cieszyły mnie spektakularne pierwsze przejścia jednodniowe, np. latem Filara Kazalnicy, a zimą Filara Mięgusza i Lewej Kazalnicy (nie lubiłem biwakować).

W owych czasach w Tatrach Polskich można było jeszcze wiele zdziałać, ale pociągała mnie tajemnicza kraina za Mięguszami i Cubryną – Słowacja. Rozległe puste doliny, spore połacie ścian bez dróg wspinaczkowych, nadmiar przestrzeni, a w dole inaczej niż u nas, podobni, a jednak inni ludzie i zrozumiały, choć trochę śmieszny język – to wszystko tworzyło swoistą egzotykę, której nie znajdowałem w krajach Zachodu.

Chadzałem więc na Slovensko, kiedy tylko mogłem, z początku nielegalnie, a od 1957 roku, mimo że wprowadzono

przepustki, nadal często nielegalnie. Wspinaliśmy się latem i zimą, przecinając dziewicze urwiska nowymi szlakami, ale i wędrując od koleby do koleby w koniecznie miłym towarzystwie. Ze schronisk najbardziej upodobałem sobie Zbójnicką Chatę, gdzie chatarem był Edo Zahor. Czasem spałem w nieczynnej zimą Chacie pod Rysami, do której wchodziło się przez niedomknięte okienko. Poznawałem ciekawych ludzi – wybitnych wspinaczy, ratowników z Horskiej Služby i pracowników TANAP-u. Podczas jednego z nielegalnych wypadów miałem możność poznać samego Łapszańskiego, najsławniejszego strażnika TANAP-u po północnej stronie Tatr; wbrew swemu zwyczajowi zachował się dyskretnie. Odwiedzałem Slovensko wiele długich lat; moja ostatnia tam droga to w roku 1990 Sprężyna na Małym Młynarzu, z Andrzejem Machnikiem; oczywiście przeszliśmy ją nielegalnie.

W 1966 roku zginął w Alpach mój przyjaciel, Maciek Pogorzelski. Wypadek ten sprawił, że postanowiłem zrezygnować ze wspinania sportowego. Uciekłem przed chandrą na południe, w góry nad Morzem Śródziemnym, i odtąd często w nich bywałem. Nadal się wspinałem – na południu z nowymi przyjaciółmi, np. z Ömerem Tüzelem, wtedy najlepszym alpinistą tureckim.

Często zatrudniałem się w Szkole Alpinizmu na Hali Gąsienicowej.

Zwykle z kursantami łączyły mnie szczególne więzi. Uczyłem ich różnych sztuczek, np. jak przejść bezpiecznie pole lawiniaste albo jak spowodować deskę śnieżną i zejść z niej z godnością, bez lęku. W efekcie kursanci stawali się moimi partnerami. Po kursie wędrowaliśmy razem, czy to w skałkach, czy w „niskich zalesionych górach", jak nazywaliśmy Beskidy, wreszcie gdzieś za granicą, np. we wschodniej Turcji.

W latach 80. doszła nowa pasja – jaskinie. Dzięki opiece przyjaciół speleologów udało mi się poznać niemal wszystkie jaskinie pionowe w Tatrach. Rewanżowałem się, szkoląc ich we wspinaczce powierzchniowej.

Działalność zawodowa jakoś mi w tym wszystkim nie przeszkadzała. Starałem się nie pełnić w klubach stałych funkcji, więc powierzano mi zadania specjalne, np. pod moją opieką powstał pierwszy w Polsce podręcznik alpinizmu (1971, 1974). W 1968 roku, kiedy Marek Głogoczowski wyjechał na Zachód, przejąłem sprawy FAKA. W efekcie liczba klubów akademickich w ciągu roku wzrosła z czterech do czternastu, środków na imprezy sportowe nie brakowało. Niebawem jednak z różnych powodów musiałem zrezygnować z aktywności w pionie akademickim. Po owym okresie pozostała mi całkiem interesująca dokumentacja. Niebawem „moja" sekcja wysokogórska na UW przekształciła się w Uniwersytecki Klub Alpinistyczny.

Moje zainteresowania górskie wciąż się rozszerzały, jednakże z wiekiem pasja sportowa stopniowo ustępowała miejsca zamiłowaniu do włóczęgi. Często wędrując, dobrze poznałem Karpaty Wschodnie i inne zapomniane regiony, a zimą uprawiałem zarówno jazdę rekreacyjną na nartach, przeważnie we Francji, jak i skitouring. Niestety, i te zainteresowania musiały zejść na dalszy plan.

—

Cóż, ten tekst nie jest ani życiorysem górskim (brakuje choćby wykazu przejść), ani, broń Boże, rodzajem spowiedzi. Powstał na zamówienie A/ZERO i dziwię się, że zgodziłem się go napisać. Dziwię się tym bardziej, że nigdy nie pisałem o sobie, pomijając CV składane tu i tam przy różnych okazjach; zresztą dotyczyło ono moich zainteresowań zawodowych. Także one zasługują na uwagę, ale oszczędźmy czytelnikowi trudu ich poznawania. ▪

E CHA TAM TYCH LAT

NOWY
WYMIAR
CIEPŁA

yeti®
SZUKAJĄC CIEPŁA

PRODUKTY PUCHOWE
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI
WWW.YETI.COM.PL

fb

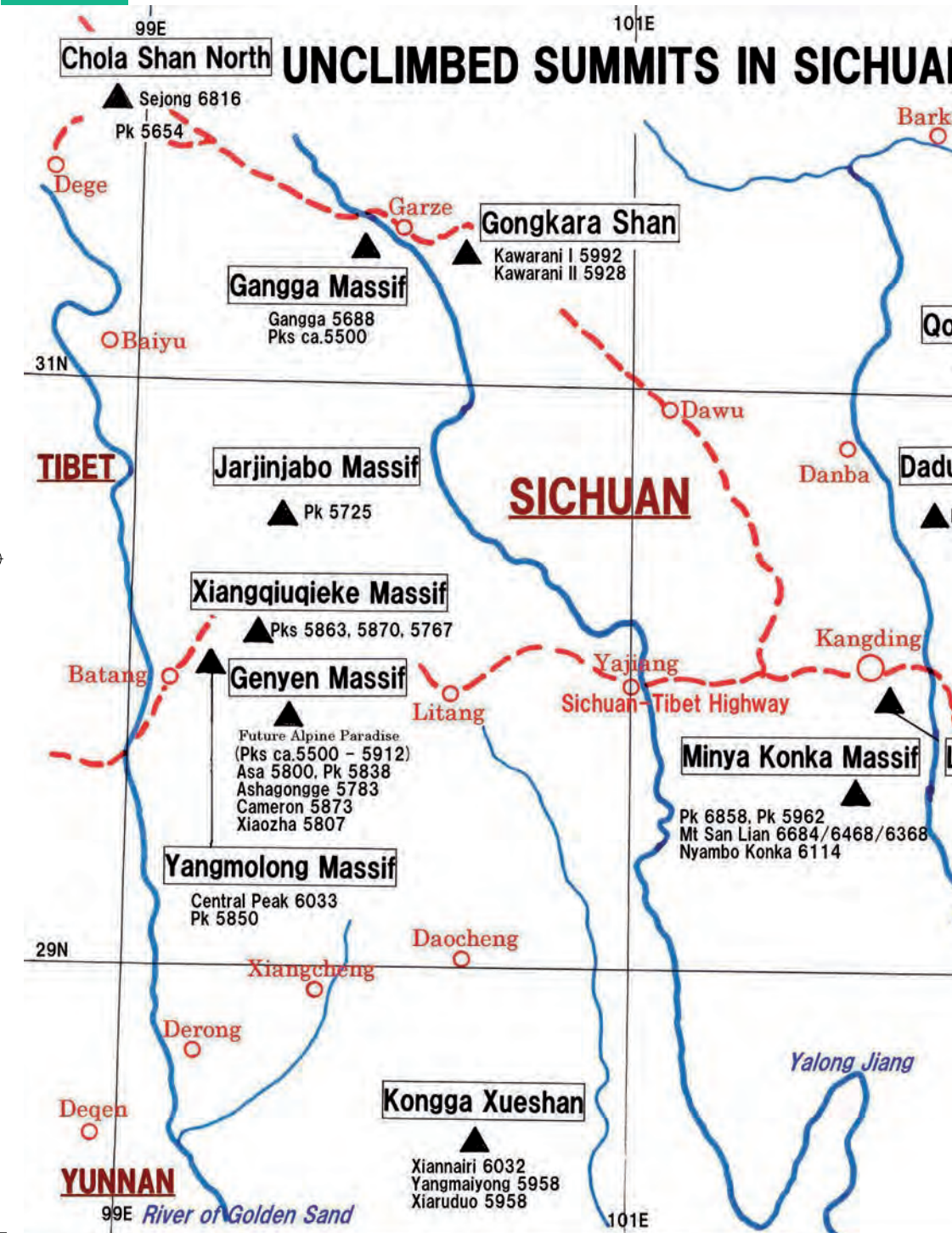
99E
101E
Chola Shan North
UNCLIMBED SUMMITS IN SICHUAN
Sejong 6816
Pk 5654
Dege
Garze
Gongkara Shan
Kawarani I 5992
Kawarani II 5928
Gangga Massif
Gangga 5688
Pks ca.5500
Baiyu
31N
Dawu
TIBET
Jarjinjabo Massif
Pk 5725
SICHUAN
Danba
Xiangqiuqieke Massif
Pks 5863, 5870, 5767
Batang
Genyen Massif
Litang
Yajiang
Sichuan-Tibet Highway
Kangding
Future Alpine Paradise
(Pks ca.5500 - 5912)
Asa 5800, Pk 5838
Ashagongge 5783
Cameron 5873
Xiaozha 5807
Minya Konka Massif
Pk 6858, Pk 5962
Mt San Lian 6684/6468/6368
Nyambo Konka 6114
Yangmolong Massif
Central Peak 6033
Pk 5850
Daocheng
29N
Xiangcheng
Derong
Yalong Jiang
Kongga Xueshan
Xiannairi 6032
Yangmaiyong 5958
Xiaruduo 5958
Deqen
YUNNAN
99E River of Golden Sand
101E

Tamotsu (Tom) Nakamura

DZIEWICZE SZCZYTY W PROWINCJI SYCZUAN

(Chiny 2012)

Tłum. Maria Zięba-Selerowicz

Długo niezwyciężony główny wierzchołek Yangmolong, mierzący 6060 m n.p.m., został zdobyty przez amerykańsko-chiński zespół w październiku 2011 r. Jeden z ostatnich problemów w Syczuanie został w końcu rozwiązany.

Jak pokazuje sąsiednia mapa, w chińskich Górach Zachodniego Syczuanu pozostało już tylko kilka niezdobytych sześciotysięczników. Jest jednak wiele kuszących szczytów nieprzekraczających 6000 m, które inspirują i przyciągają ambitnych wspinaczy. Zaktualizowałem informacje na temat lokalizacji ciekawych, choć wciąż niezdobytych szczytów i dla zainteresowanych tymi rejonami górskimi opisałem je w kolejności od północnego zachodu do południowego wschodu.

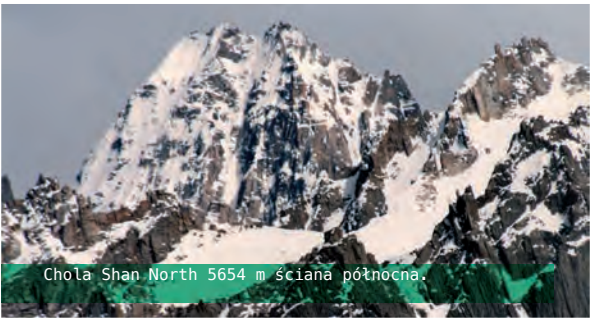
Chola Shan North 5654 m ściana północna.

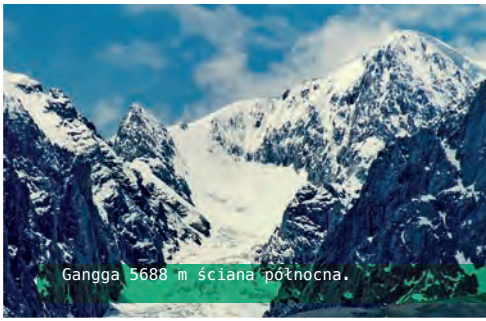
Gangga 5688 m ściana północna.

Region północny Chola Shan

Położona na wysokości 4910 m przełęcz dzieli region Chola Shan na część północną i południową. Północna to masyw Sejong I & II (5816 m), Nobuyugya (5594 m) i Polujabu (5472 m) na południe od zabytkowego klasztoru Zhogcheng Gompa. Najwyższy szczyt Chola Shan I o wysokości 6168 m (zdobyty) znajduje się na południe od jeziora Xinlujhai w części południowej, gdzie kilka wypraw dokonało już wejść.

Północna część natomiast została rozpoznana tylko przez Toma Nakamurę jesienią 2000 r. oraz japoński zespół z klubu Hengduan Mountains latem 2011 r. Nikt jednak nie próbował jeszcze wejścia i dlatego szczyty te wciąż pozostają nietknięte ludzką stopą. Na uwagę zasługuje ponadto skalisty szczyt mierzący 5654 m na południe od przełęczy Chola Shan, który także warto przedstawić.

Masyw Gangga – Shaluli Shan

Masyw ten rozciąga się w kierunku południowo-wschodnim od Chola Shan do miasta Garze nad południowym odcinkiem rzeki Yalong Jiang, wielkiego dopływu rzeki Złotego Piasku (River of Golden Sand), górnego biegu Jangcy. Największym szczytem jest Gangga (5688 m), który próbował zdobyć zespół japoński z prefektury Nagano. Skupisko atrakcyjnych szczytów po około 5500 m znajduje się w pobliżu Gangga. Jak dotąd żadnego nie zdobyto. Majestat łańcucha górskiego podziwiał w czasie podróży konsularnych w 1918 r. Eric Teickman.

Uwaga:

Chińska mapa pokazuje, że łańcuch Shaluli Shan obejmuje ogromny teren aż do masywu Genyen i dalej do Kongga Xueshan, przecinając płaskowyż Litang, ale prawdopodobnie nie ma jasno określonej granicy pomiędzy łańcuchem Shaluli Shan i pozostałymi łańcuchami górskimi.

Gongkara Shan – Kawarani

Dwa główne szczyty – Kawarani I (5992 m) i II (5928 m) – wznoszą się w odległości 30 km na wschód od miasta Ganzi i rzeki Yalong Jiang. Dwa zespoły japońskie i jeden brytyjski próbowały rozbić tam obóz bazowy, by dokonać rozpoznania i ataku, ale wrogo nastawieni mnisi z pobliskiego klasztoru lamów przeszkodzili im w podejściu i uniemożliwili zagranicznym globtroterom wspinaczkę na szczyty, ponieważ Kawarani to dla nich święte góry. Sytuacja nie zmieniła się także w 2011 r. Stowarzyszenie górskie Ganzi Mountaineering Association nie wydało pozwolenia na wejście zagranicznym zespołom wyprawowym.

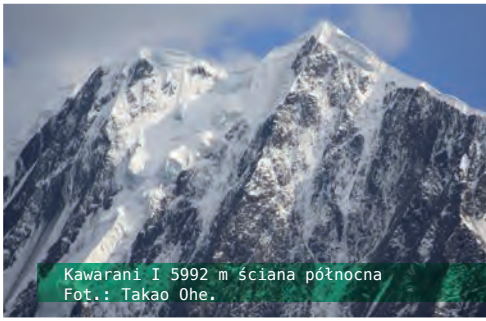
Kawarani I 5992 m ściana północna
Fot.: Takao Ohe.

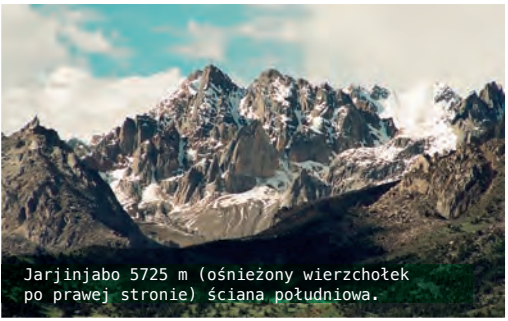
Jarjinjabo 5725 m (ośnieżony wierzchołek po prawej stronie) ściana południowa.

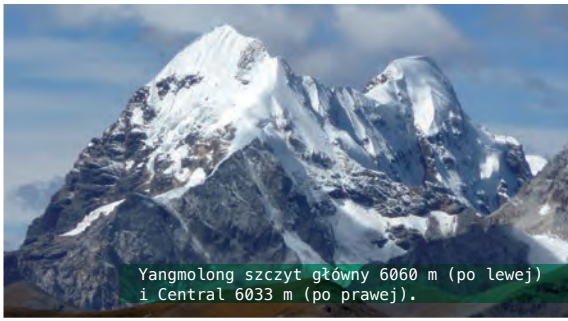
Yangmolong szczyt główny 6060 m (po lewej) i Central 6033 m (po prawej).

Masyw Jarjinjabo – niezdobyty szczyt 5725 m

Zgodnie z moją wiedzą, prawie wszystkie znaczące szczyty oprócz drugiego co do wielkości, mierzącego 5725 m, zostały już zdobyte. W 2001 roku japoński zespół jako pierwszy zdobył kamienistą wieżę wznoszącą się ponad łąkami Zhopu Pasture, a sąsiednie skaliste szczyty na zachód od jeziora Zhopu zostały następnie zdobyte przez zespoły amerykańskie. Najwyższy szczyt, Garrapunsum (5812 m), został pokonany przez zespół angielsko-amerykański w październiku 2007 roku. Jego członkowie początkowo planowali dokonać próby wejścia na Kawarani w rejonie Gongkara Shan, ale nie mogli się tam dostać.

Masyw Xiangqiuqieke

Ten najmniej znany masyw znajduje się na południe od drogi Syczuan–Tybet i na północny wschód od masywu Yangmolong. Rozciąga się na 20 km z zachodu na wschód i jego szczyty mierzą 5863 m (Xiangqiuqieke), 5870 m, 5767 m, 5702 m, 5595 m i 5562 m.

W październiku 2005 r. japoński zespół z prefektury Yamanashi próbował podejść od strony północnej w celu rozpoznania. W lipcu 2010 roku Tom Nakamura podjął próbę wejścia również od północy, mniej więcej od strony drogi Syczuan–Tybet.

We wrześniu 2011 r. Tim Church i Yvonne Pfluger z nowozelandzkiego klubu alpejskiego dokonali próby wejścia na Xiangqiuqieke od strony południowej. Niestety zmuszeni byli do odwrotu, ponieważ mieszkańcy wioski odmówili wsparcia nowozelandzkiej parze, po tym jak rozbity został obóz początkowy. Wszystkie te szczyty pozostają niezdobyte.

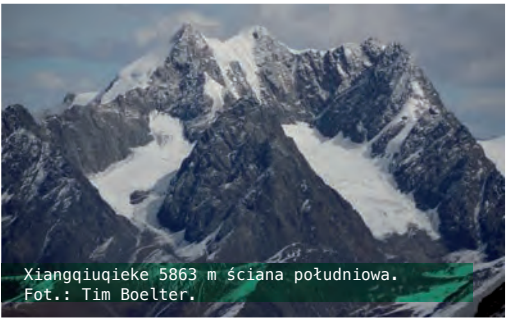
Xiangqiuqieke 5863 m ściana południowa. Fot.: Tim Boelter.

Masyw Yangmolong

Masyw ten położony jest ok. 16 km na wschód od miasta Batang. Jego trzy główne szczyty to Dangchechengla 5833 m (zdobyty przez japoński zespół w 2002 r.), Yangmolong Central 6033 m (Makara) i najwyższy szczyt masywu Yangmolong mierzący 6060 m. Główny wierzchołek zdobył zespół amerykańsko-chiński, prowadzony przez Jona Otto i filmowany przez Tima Boeltera w październiku 2011 r. po kolejnych próbach natarcia zespołów japońskich, amerykańskich i amerykańsko-chińskich. Uważa się, że główny wierzchołek masywu jest najtrudniejszym szczytem w całej prowincji Syczuan.

Pojawiły się informacje, że Central został zdobyty przez koreański zespół w 2002 r., ale nie znaleziono zapisu szczegółów ani dowodów, które mogłyby to potwierdzić, a ci, którzy poszli na Yangmolong, podali w wątpliwość koreańskie wejście. Dlatego też w niniejszym artykule szczyt Central

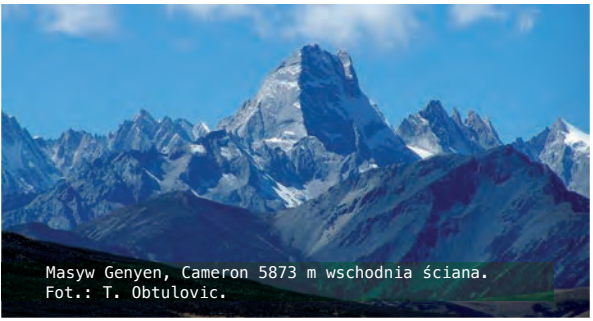
Masyw Genyen, Cameron 5873 m wschodnia ściana.
Fot.: T. Obtulovic.

Kongga Xueshan–Xiaruduo 5958 m
zachodnia ściana.

figuruje jako dziewiczy. Inny wyróżniający się szczyt 5850 m także pozostaje niepokonany.

Masyw Genyen – alpinistyczny raj przyszłości

Masyw Genyen zajmuje szeroką część płaskowyżu Litang na południe od drogi Syczuan–Tybet i z pewnością stanie się rajem alpinistycznym w niedalekiej przyszłości, bo już zaczął przyciągać uwagę wspinaczy.

Główny wierzchołek, Genyen 6204 m, został pokonany po raz pierwszy przez japoński zespół w roku 1988, a włoscy alpiniści dokonali drugiego wejścia nową drogą na ścianie wschodniej. Drugi co do wielkości szczyt mierzący 5964 m oraz Peak 5716 m (Sachun) widoczny z zabytkowego klasztoru lamów Rengo Gompa także zostały już zdobyte przez zespoły amerykańskie. Niestety Genyen pochłonął też ofiary – zaginęli tu Charlie Fowler i Christine Boskoff. Niemniej jednak wiele ambitnych skalnych szczytów o wysokości 5500–5900 m na północ i północny-wschód od Genyen pozostaje nietkniętych.

Należą do nich:

1. Asa 5800 m i Ashagongge 5783 m, widziane z drogi Syczaun–Tybet biegnącej przez płaskowyż Lintang.
2. Fantastyczne szczyty granitowej twierdzy Cameron 5873 m, Xiaozha 5807 m i inne stanowiące wyzwanie szczyty widziane z wysokiej przełęczy Three Smith Brothers (4800 m), pomiędzy Litang i Lamaya.
3. Skalne szczyty skupione na północ od Genyen i położone dalej na północ atrakcyjne szczyty po 5838 m i 5784 m oraz kilka innych szczytów od 5700 do 5900 m.

Masyw Kongga Xueshan (Kongkaling)

Wspaniały Kongga Xueshan z trzema niezdobytymi śnieżnymi szczytami znajduje się w regionie Daocheng. Obszar ten otoczany jest czcią przez tamtejszych Tybetańczyków jako miejsce święte, a obecnie rozwija swój turystyczny potencjał, przyciągając setki turystów górskich. Wszystkie jego wierzchołki pozostają niezdobyte.

1. Xiannariri 6032 m, najwyższy szczyt, próba zdobycia przez zespół japoński w 1989 r.
2. Oszałamiająco piękna piramida Yangmaiyong, nazwana przez Josepha Rocka Jambeyang 5958 m, którą zaatakowali Charlie Fowler i Christine Boskoff, osiągając wysokość 500 m poniżej szczytu.
3. Xiaruduo 5958 m, jedna próba zdobycia przez zespół amerykański.

Obecnie lokalne władze regionu Daocheng nie zezwalają na wspinaczkę na te szczyty ze względu na świętość górskiego przedmiotu kultu.

Masyw Lamoshe – Daxue Shan

Masyw Lamoshe, nazywany przez pierwszych zdobywców Górami Tatsienlu, znajduje się niedaleko na wschód od miasta Kangding (nazwa tybetańska: Tatsienlu). Najwyższym szczytem jest Lamoshe, na który po raz pierwszy wszedł zespół amerykański w 1993 r. Drugie wejście to solówka czeskiego wspinacza w 2010 r. Pozostałe szczyty 5800-metrowe zostały już zdobyte przez zespoły z Nowej Zelandii, Ameryki, Kanady i Chin, ale drugi pod względem wielkości szczyt Baihaizishan, 5924 m, wciąż pozostaje niezdobyty.

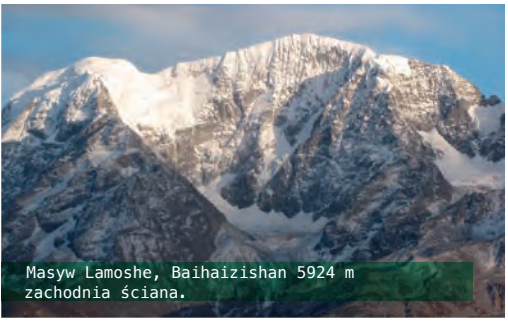
Masyw Lamoshe, Baihaizishan 5924 m
zachodnia ściana.

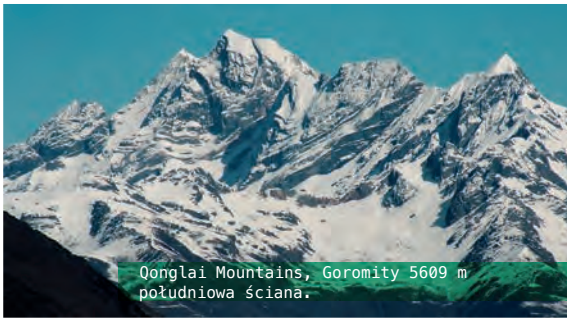
Qonglai Mountains, Goromity 5609 m
południowa ściana.

Masyw Minya Konka – Daxue Shan

Niewiele jest dziewiczych szczytów ponadsześciotysięcznych w tym potężnym i najrozleglejszym łańcuchu górskim, jakim jest Daxue Shan w prowincji Syczuan. Wyróżniające się niezdobyte, patrząc od południa na północ, to:

1. Nyambo Konka 6114 m – amerykański zespół bezskutecznie próbował zdobyć tę górę.
2. Mt. San Lian (zwany Longshan) 6684/6468/6368 m – trzy wierzchołki, które wyglądają na trudne do zdobycia.
3. Najwyższy niezdobyty szczyt 6858 m w masywie, leżący na południowy zachód od głównego wierzchołka Minya Konka 7556 m.
4. Szczyt mierzący 5962 m, pomiędzy 5960 m (Donogomba) i Daddomain 6380 m.
5. Nienazwana góra 6206 m w grani pomiędzy Mt. Edgar (E-Kongga) 6618 m i Grosvenor 6376 m. Nie wygląda atrakcyjnie.

Góry Qonglai

Prawie wszystkie szczyty w górach Qonglai, łącznie z Mt. Siguniang 6250 m i otaczającymi go szczytami mierzącymi od 5200 do 5900 m, zostały już zdobyte. Rejon ten był oblegany przez wspinaczy w minionej dekadzie, w związku z czym poprowadzono wiele nowych dróg na trudne, skalne wierzchołki. Zgodnie z danymi przedstawionymi przez japońskiego fotografika, Kenzo Okawę, pracującego w Parku Narodowym Siguniang, jedynym dziewiczym szczytem pozostaje Goromity 5609 m, na który kilka lat temu próbował wejść zespół chiński, a latem 2011 r. – japoński.

Dorzecze rzeki Dadu He

Wiele szczytów o wysokości 5300–5700 m rozciąga się wzdłuż obu stron dorzecza rzeki Dadu, pomiędzy Danba i Luding, jednakże brakuje danych dotyczących potencjalnych wejść. Najwyższy szczyt ma 5712 m i znajduje się na lewym brzegu doliny rzeki Dadu, ale brak szczegółowych informacji na temat gór w tym rejonie. ■

Masyw Minya Konka, Nyambo Konka 6114 m
zachodnia ściana.

Dadu He (River) 5712 m
północna ściana.

Jarek na ostatnim, najpiękniejszym wyciągu drogi *Voie Marylene*.
Fot.: Maciej Ostrowski.

Maciej Ostrowski

WSCHODNIA ŚCIANA MONT BLANC DU TACUL I JEJ SATELITY

– cztery drogi na lato i zimę dla każdego

Wschodnia ściana Tacula to ogromny bastion pomarańczowego granitu, ze smukłymi, strzelistymi turniami, na którym wspinania starczyłoby pewnie na pół życia. Są tu wielkie klasyczne śnieżno-lodowe drogi takie jak Kuluar Gervasuttiego, ogromne skalne filary Boccalatte i Gervasuttiego, ale też nowoczesne drogi sportowe – zarówno na lato, jak i na zimę – od zupełnie łatwych, aż po siódemkowe ekstremy.

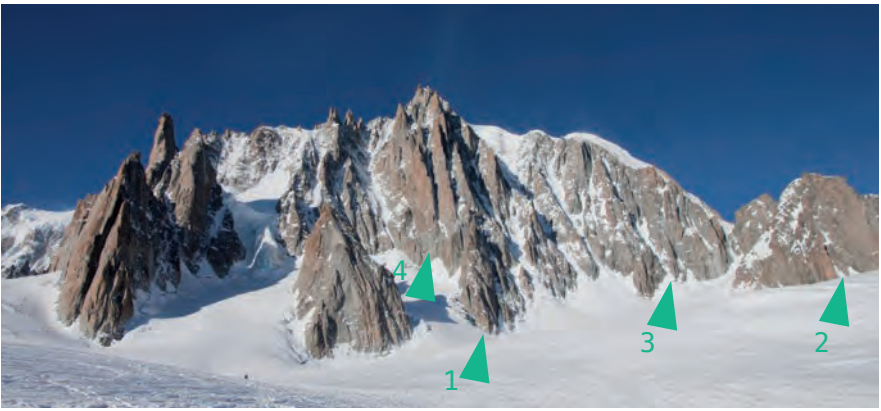

1. *Arête Est* 2. *Voie Marylene* 3. *Modica–Noury* 4. *Superkuluar*
Fot.: Maciej Ostrowski.

Pod ścianę dostajemy się bez najmniejszych trudności z jednej z górnych stacji kolejek: na Aiguille du Midi lub na Pointe Helbronner. Czas podejścia (lub w przypadku Aiguille du Midi głównie zejścia) różni się w zależności od tego, skąd startujemy i w które miejsce zamierzamy się dostać, ale w zasadzie nigdy nie przekracza godziny. Ponieważ poruszamy się po lodowcu, należy się odpowiednio związać liną, iść w rakach i z czekanem. Zimą najlepiej zaopatrzyć się w narty skiturowe lub rakiety.

Autor na jednym z wyciągów *Arête Est*.
Fot.: Paweł Strzelecki

Drogi na lato

Arête Est, 4c+, 250 m
Średni czas wspinania: 2–3 h
Zjazdy: 1 h

Arête Est jest piękną, litą i niezbyt wymagającą linią, w sam raz na zaznajomienie się ze specyfiką wspinania w tutejszym granicie. Jest to też dobry cel na pierwszy dzień wspinania na Valee Blanche ze względu na wysokość, która daje się tutaj we znaki tym, którzy nagle wyjechali kolejką z Courmayeur lub Chamonix aż na 3500 m n.p.m. Droga znajduje się na Pyramide du Tacul, jednej z turni u podnóża wschodniej ściany. Ponieważ powrót ze szczytu następuje zjazdami, można wspinać się na lekko, zostawiając sprzęt do poruszania się po lodowcu pod ścianą.

Voie Marylene, 6a, 250 m
Średni czas wspinania: 4 h

Voie Marylene prowadzi lewym skrajem charakterystycznej, południowo-wschodniej ściany Pointe Lachenal. Jest to już dość wytężająca wspinaczka, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że plecaki z butami i sprzętem do poruszania się po lodowcu musimy zabrać ze sobą na wspinanie. Pierwsza połowa drogi nie zachwyca urodą, ale to, co następuje w górnej części, jest tego doskonałym wynagrodzeniem.

Tomek na ostatnich metrach lodu na drodze *Modica–Noury*. Fot.: Maciej Ostrowski.

Inne ciekawe drogi na lato w pobliżu:

Voie Sallurd, 6a, 300 m, Pointe Adolphe Rey 3536 m
Le lifing du Roi, 6a, 300 m, Le Roi du Siam 3650 m
Filar Gervasuttiego, 6a, 800 m, Mont Blanc du Tacul 4248 m

Drogi na zimę

Modica-Noury, III 5, 400 m
Średni czas wspinania: 4 h
Zjazdy: 1 h

Modica-Noury to niezbyt długa lodowa nitka znajdująca się w prawej części głównego spiętrzenia wschodniej ściany

Wejście w drogę *Modica–Noury*, górna strzałka wskazuje wejście do prawego kuluaru. Fot.: Maciej Ostrowski.

Tomek przechodzi przez sopel na *Superkuluarze*.
Fot.: Maciej Ostrowski.

Tacula. Początkowo droga wiedzie stromym polem śnieżnym, które można pokonać na lotnej asekuracji. U szczytu pola znajdują się dwa kuluary – wybieramy prawy. Czekają nas w nim trzy wyciągi pięknego wspinania w lodzie, którego nastromienie dochodzi do 90 stopni. W miejscu, w którym kończy się lód, zaczyna się mikstowe wspinanie, jego trudności nie przekraczają M4, aż do wschodniej grani jednak większość zespołów kończy wspinaczkę na tym etapie i zjeżdża. Linia drogi wyposażona jest w stanowiska zjazdowe z haków i pętli.

Superkuluar, IV 5 M6, 800 m
Średni czas wspinania: 8–10 h
Zjazdy: 2–3 h

Superkuluar to poważna, długa droga alpejska. Pierwsze dwa–trzy wyciągi to dość trudne i ciągowe wspinanie mikstowe w rysach i zacięciach, kończące się efektownym wyjściem przez sopel do małego kociołka. Warto być dobrze zaaklimatyzowanym, ponieważ 120 m terenu, którego trudności nie schodzą poniżej M5, potrafi naprawdę nieźle zbułować. Po wyjściu do kociołka mamy przed sobą około 600 m wspaniałego lodu o nastromieniu dochodzącym do 90 stopni. Lód, zwłaszcza pod koniec sezonu zimowego, jest często wydziabany, co znacznie ułatwia wspinanie na tym odcinku. Zjazdy prowadzą drogą, na ścianach kuluaru mamy do dyspozycji gotowe stanowiska z pętli i haków oraz spitów.

Inne ciekawe drogi na zimę w pobliżu:

Gabarrou–Albinoni, III 4+, 400 m,
Mont Blanc du Tacul 4248 m
Une fois pour Umberto Maria, III 5, 250 m,
Mont Blanc du Tacul 4248 m

Bibliografia:
Francois Damilano, *Snow, ice and mixed : The guide to the Mont-Blanc Range*, Volume 2.
Jean-Louis Laroche, Florence Lelong, *Sommets du Mont Blanc – Les plus belles corses de Facile a Difficile*.

Superkuluar z zaznaczonym startem. Fot.: Maciej Ostrowski.

Ranek po nieplanowanym biwaku na Weisshornie.
Fot.: arch. Andrzej Kurowski.

Andrzej Kurowski

SZWAJCARSKIE CZTERO–TYSIĘCZNIKI

– krótka historia długiej kolekcji

Zdobyciem Lauteraarhorn (4042 m) 26 września 2011 roku skompletowałem wejścia na wszystkie czterotysięczniki alpejskie na terenie Szwajcarii (52 × 4000 m). Jednocześnie było to moje 101 wejście na szczyt czterotysięczny w Alpach (wraz z powtórnymi wejściami, poza Szwajcarią, również we Włoszech i Francji).

Dlaczego czterotysięczniki?

Pomysł kolekcjonowania alpejskich czterotysięczników pojawił się zimą 1995 r., gdy po zakończonej w lawinie próbie zimowego przejścia północnej ściany Dent d'Herens zacząłem zastanawiać się – co dalej? Miałem już za sobą przejścia kilku dużych ścian alpejskich i… chwilowo dość narażania się. Czy znowu kolejne alpejskie lato z dwoma –trzema, jeśli warunki pozwolą, trudniejszymi drogami? W myśl ówczesnej mody, życie towarzysko-wspinaczkowe naszego środowiska toczyło się głównie w Chamonix, inne okolice, może poza Dolomitami, odwiedzało się z rzadka. Wejście na wszystkie czterotysięczniki Alp wydawało się ciekawym celem, oferującym dużo urozmaiconego wspinania, na średnim poziomie trudności i, co najważniejsze, pozwalającym na poznanie całego łańcucha Alp Zachodnich.

Alpejskie czterotysięczniki kojarzą się z łatwym dreptaniem po mniej lub bardziej stromych śniegach. Są jednak takie, które nawet przy założeniu ich zdobycia najprostszą drogą łatwe wcale nie są – wymagają dosyć wszechstronnych umiejętności i doświadczenia w poruszaniu się w skomplikowanym, ryzykownym terenie. Na niektórych można spotkać niemalże tłumy ludzi, na innych będziemy sami lub w bardzo nielicznym towarzystwie.

Dla mnie dodatkowym impulsem było znalezienie celu na miarę swoich możliwości – cztery lata wcześniej przeszedłem operację, w wyniku której wszczepiono mi zastawkę serca i wydawało mi się, że raczej nie będę już w stanie znacząco podnieść poprzeczki pokonywanych w Alpach trudności. Nigdy co prawda nie byłem wytrwałym zbieraczem (znaczki, samochodziki i inne podobne kolekcje szybko mi się nudziły), ale w tym razem stało się inaczej.

Moim pierwotnym zamierzeniem było wejście na wszystkie alpejskie czterotysięczniki w ciągu trzech–czterech kolejnych sezonów letnich. Za podstawę przyjąłem najbardziej popularną listę tzw. szwajcarsko-niemiecką, obejmującą 60 szczytów. Jak pokazało życie, założenie to okazało się zbyt optymistyczne. Pierwszy sezon potraktowałem jako „rozpoznanie bojem", zarówno z ciekawości, żeby zobaczyć jak najwięcej rejonów Alp Zachodnich, jak i z braku partnera mającego podobne cele (oraz wystarczająco długi urlop!).

Latem 1995 r. w gronie różnych znajomych, a częściowo samemu, wszedłem na 19 szczytów w otoczeniu Doliny Aosty (w Alpach Graickich, Walijskich i grupie Mont Blanc). W większości były to śnieżne, nietrudne wierzchołki, np. masywu Monte Rosa, ale i bardziej techniczne lub ryzykowne szczyty jak: Aiguille de Bionnassay, Matterhorn czy Lyskamm.

Trzy dobre sezony

Myśląc poważnie o zebraniu całej kolekcji musiałem znaleźć odpowiedniego partnera mającego zbliżone plany i zainteresowania. Znalazłem go w osobie Jacka Bilskiego z Zakopanego. Ratownik TOPR z dużym doświadczeniem zimowym i w górach lodowcowych postanowił zafundować sobie wejście na 50 czterotysięczników w prezencie na pięćdziesiąte urodziny. Jacek, prywatnie niezły oryginał, człowiek uparty i konsekwentny w działaniu, mimo dzielącej nas sporej różnicy wieku – blisko 20 lat, a jeszcze większej charakteru, okazał się odpowiednim partnerem i nasza współpraca ułożyła się harmonijnie. Poza jasno wytyczonym celem, determinacją w jego realizacji, dobrze się wzajemnie uzupełnialiśmy – on miał większe doświadczenie w poruszaniu się po lodowcach i wspinaniu w lodzie, ja z kolei brałem na siebie trudności skalne i mikstowe. Efektem naszej współpracy było zaliczenie w ciągu trzech kolejnych sezonów kilkudziesięciu czterotysięczników, przy czym jakość poświęciliśmy na rzecz ilości, w większości przypadków wybierając wejścia drogami klasycznymi. Wyznając czystość stylu, typowo sarmackie przywiązanie do niezależności oraz jako ludzie do przesady oszczędni, ograniczaliśmy do minimum wykorzystanie kolejek górskich, a całość sprzętu biwakowego zazwyczaj nosiliśmy ze sobą, z rzadka tylko nocując w niezagospodarowanych schronach.

W 1996 r. zdecydowaliśmy się na działalność w Szwajcarii. Poza początkowym falstartem pod Berniną i w Alpach Berneńskich (pogoda!) działaliśmy głównie w rejonie Alp Walijskich. Ale i tutaj początkowo z zadziwiającym mistrzostwem opanowaliśmy sztukę „niewstrzeliwania się" w okna pogodowe – kiedy tylko ruszaliśmy do góry, pogoda psuła się jak na zamówienie (mimo że ojczyzna Helwetów ma opinię kraju, w którym wszystko chodzi – nomen omen – jak w szwajcarskim zegarku, nie dotyczy to prognoz pogody, tak było przynajmniej w tamtych czasach). W końcu przyjęliśmy to jako stan normalny i zaliczaliśmy kolejne szczyty, będąc na nich zazwyczaj – z powodu uporczywej niepogody – jedynym zespołem danego dnia. Kulminacją tak prowadzonej działalności było wejście na najwyższy

Jacek Bilski – mój partner na większości czterotysięczników.
Fot.: arch. Andrzej Kurowski.

szczyt Szwajcarii (i drugi w Alpach) Dufourspitze w naprawdę huraganowym wietrze, który zniechęcił kilkudziesięciu pozostałych amatorów. Po dwóch tygodniach takiej zabawy pogoda ustabilizowała się i lampa trwała już do końca naszego pobytu. Po powrocie Jacka do Polski odwiedziłem jeszcze skrajnie położone w łuku Alp (zachód–wschód) czterotysięczniki: Barre des Ecrins w Delfinacie i Piz Bernina w Alpach Retyckich, kończąc lato w Chamonix. Bilans sezonu zamknął się wejściami na 15 częściowo całkiem trudnych (Obergabelhorn, Zinalrothorn, Aiguille Verte) szczytów.

Rok później byłem w Alpach trzykrotnie. W krótkim majowym wypadzie, korzystając ze świetnej, pogody wszedłem na trzy wierzchołki w Berner Oberlandzie. Latem działaliśmy z Jackiem ponownie (i dla urozmaicenia w towarzystwie naszych kobiet) w Alpach Berneńskich i Walijskich. Historia się powtórzyła, i jak rok wcześniej w tych pierwszych pogoda była kiepska (blisko tydzień przeczekiwania śnieżycy w namiocie na lodowcu Aletsch), tak w Wallis było pięknie i weszliśmy na większość zaplanowanych szczytów. Tym razem były to w zasadzie trudniejsze wierzchołki, które pozostały po zeszłorocznym wyjeździe (Dent Blanche, szczyty Nadelgratu, Grand Combin). Lato tradycyjnie zakończyłem w Chamonix, trawersując masyw Aiguille Verte i wchodząc na Aiguille Jardin oraz Grande Rocheuse. Łączny wynik sezonu – 18 wejść.

W 1998, trzecim i ostatnim roku naszej współpracy z Jackiem, za rejon działania wybraliśmy otoczenie Doliny Aosty, wchodząc na pozostałe, dostępne z niej czterotysięczniki Alp Walijskich, a następnie na kilka z włoskiej strony masywu Mont Blanc. Na tym nasze wspólne wyjazdy dobiegły końca. Jacek zaliczył 50 × 4000 na 50. urodziny (poza wierzchołkami głównymi wliczał również boczne). Mój bilans zamykał się liczbą 51 na 60 szczytów głównych. Do zakończenia pozostało niby niewiele, ale były to najtrudniejsze z czterotysięczników. Zresztą i sama liczba 60 szczytów stała się wątpliwa, w tym czasie bowiem została ogłoszona lista UIAA obejmująca łącznie 82 wierzchołki czterotysięczne w Alpach. Złośliwi co prawda mówili, że komisja ustalająca wykaz była stronnicza i składała się głównie z Włochów oraz Francuzów, bo o ile zmiany na terenie Szwajcarii były

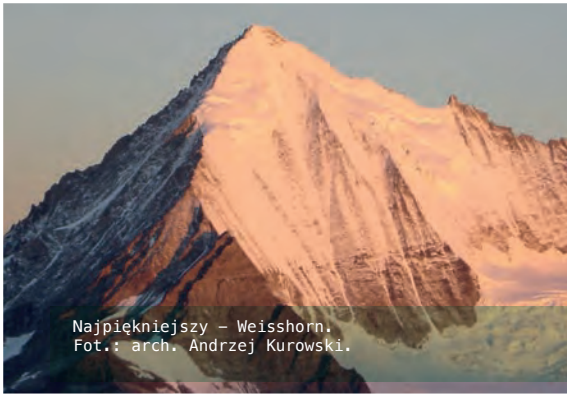

Najpiękniejszy – Weisshorn.
Fot.: arch. Andrzej Kurowski.

Na grani Weisshornu. Fot.: arch. Andrzej Kurowski.

kosmetyczne, o tyle w masywie Mont Blanc – zasadnicze. Według nowej listy mój bilans wynosił „zaledwie" 58/82. To „oddalenie się mety" zbiegło się w czasie z pierwszym wyjazdem w góry wyższe – Himalaje Garhwalu, a potem następne i spowodowało, że na jakiś czas straciłem zainteresowanie tematem alpejskich czterotysięczników.

Co dalej?

W następnych latach bywałem co prawda regularnie w Alpach, ale zazwyczaj przy okazji prowadzenia innych osób na łatwe czterotysięczniki. Liczba powtórnych wejść rosła, ale nic nowego do kolekcji nie przybywało. Wyjątkiem był zrobiony samotnie trawers wierzchołków Breithornu (5 × 4000), klnąc na czym świat stoi autora polskiego przewodnika, którego nazwiska tutaj nie wspomnę. W opisie lakoniczne: „z wierzchołka schodzimy na przełęcz" oznaczało zjazd ze spitów przez przewieszony próg, a dla mnie skomplikowane obejście (liny oczywiście nie miałem, bo trudności opisane były tylko w wejściu). Z następnego wierzchołka, ponownie zjazd i znowu obejście, a na deser skok przez zasypaną szczelinę brzeżną. Atrakcji co niemiara. Rok później wszedłem na Finsteraarhorn – najwyższy szczyt Alp Berneńskich i na Pointe Walker na Grandes Jorasses.

Nie bardzo wiedząc, co zrobić z tak rozgrzebaną kolekcją, zdecydowałem, że jeśli nie całość to może „komplet Szwajcaria", czyli 52 × 4000 wznoszących się na terenie tego kraju. Brakowało mi do niego zaledwie czterech, za to najtrudniejszych szczytów (po dwa w Wallis i Berner Oberlandzie). W 2009 roku udało się wejść na wcześniej już kilkakrotnie szturmowany Taeschhorn oraz Weisshorn – pierwszy zapewne najtrudniejszy i najbardziej niebezpieczny, drugi, moim zdaniem, najpiękniejszy szczyt Alp Walijskich. Dwa lata później, przy o dziwo pięknej, nietypowej dla tego rejo-

nu pogodzie, wspiąłem się na Schreckhorn – najtrudniejszy technicznie czterotysięcznik Alp Berneńskich i wreszcie na ostatni w Szwajcarii – Lauteraarhorn. W ten sposób zebrałem cały „komplet Szwajcaria", o ile mi wiadomo, prawdopodobnie jako dopiero drugi Polak. Do pełnej kolekcji czterotysięczników alpejskich pozostało 14 szczytów w graniach (Brouillard, Diable, Peuterey) masywu Mont Blanc. Może i na to przyjdzie czas?

Moimi najczęstszymi partnerami na alpejskich szczytach poza Jackiem Bilskim byli Krzysztof Kotowski (KWW) i Mirek Mączka. Wspomagało mnie wiele innych osób, często podporządkowując moim fanaberiom swoje plany. Wszystkim Wam dziękuję!

Trochę historii

Pierwszym alpinistą, który zrealizował wejście na wszystkie czterotysięczniki Alp (według przyjmowanej wówczas liczby) był Austriak Karl Blodig na początku XX wieku. Z Polaków udało się to dotychczas tylko jednemu – w latach 1942–1980 Jerzy Hajdukiewicz, lekarz, taternik, alpinista i ratownik górski, wszedł na 57 alpejskich szczytów czterotysięcznych. Kompletowanie czterotysięczników z biegiem czasu stało się polem dla bicia rekordów. W 1993 r. alpiniści brytyjscy Martin Moran i Simon Jenkins weszli w ciągu 53 dni na 75 szczytów, przemieszczając się między poszczególnymi grupami górskimi na rowerach! W 2004 w trakcie próby zdobycia wszystkich czterotysięczników jednym ciągiem zginął (w zejściu z 65. szczytu) słynny przewodnik alpejski Patrick Berhault. Niepobite do tej pory pozostaje osiągnięcie innego przewodnika, Słoweńca Miha Valicia, który z pomocą kilku partnerów, zimą i wiosną 2003 r. zdobył 82 czterotysięczniki w czasie 101 dni.

Ile tak naprawdę jest czterotysięcznych szczytów w Alpach? Według pierwszego ich zdobywcy Blodiga – 61, co w zmodyfikowanej wersji stało się podstawą dla najbardziej popularnej listy szwajcarsko-niemieckiej (60 szczytów głównych). Obecnie przyjęty wykaz ustalony przez komisję UIAA obejmuje 82 wierzchołki czterotysięczne, chociaż samodzielność części może być dyskusyjna. 42 z nich położonych jest w Alpach Walijskich, 9 w Alpach Berneńskich, 28 w masywie Mont Blanc oraz 3 izolowane (Delfinat, Alpy Graickie, Alpy Retyckie). 52 z nich znajduje się na terenie Szwajcarii, pozostałe we Francji lub Włoszech. ■

Na szczycie ostatniego szwajcarskiego czterotysięcznika.
Fot.: arch. Andrzej Kurowski.

Na zmianę butów przyjdzie czas po trudnościach.
Fot.: Adam Latusek.

Marek Grądzki

ALPY 2011 SEZON LETNI

Sezon letni 2011 w Alpach bez wątpienia należy uznać za udany. Nasi klubowicze odwiedzili kilka rejonów, gdzie pokonano wiele dróg o rozmaitym stopniu trudności, charakterze i powadze. Poniżej niepełne zestawienie przejść. Na szczególną uwagę zasługuje działalność członków KW Warszawa w sercu Alp – masywie Mont Blanc. Bez wątpienia najważniejszym dokonaniem tego sezonu (a także wielu poprzednich...) było pokonanie znakomitej drogi *Peuterey Intégrale* przez Maćka Ostrowskiego i Pawła Strzeleckiego. Na uwagę zasługuje także działalność Alka Barszczewskiego, który spędził w Chamonix ponad dwa miesiące działając zarówno w górach, jak i dolinach, głównie z braku pogody lub partnerów. Cieszą przejścia długich klasyków takich jak *Filar Frendo* i *Filar Grevasuttiego*.

Oto kilka słów komentarza Pawła Strzeleckiego do przejścia *Peuterey Intégrale*:

Jak oceniasz charakter i powagę drogi – czy kluczem do jej pokonania jest świetna logistyka, solidna kondycja, czy dobra forma wspinaczkowa?

Peuterejka to przede wszystkim droga bardzo różnorodna. Jest na niej chyba wszystko, od skalnego wspinania na *Noire*, poprzez łatwy, ale bardzo kruchy teren Dam Angielskich, śnieżne i lodowe granie Blanche, mikstowy odcinek na Wielkim Filarze Narożnym, po finalne śnieżno-lodowe pola pod wierzchołkiem Mont Blanc de Courmayeur. Mimo że technicznie nie jest trudna, to jej długość, wysokość i niebanalne wycofy czynią z niej poważną drogę. Przyglądając się grani z profilu, ciężko nie ulec fascynacji i obsesji jej pokonania. W naszym przypadku kluczem do przejścia były silna motywacja i elastyczność działania, które pozwoliły nam wyczekać do września na piękną pogodę i ruszyć na grań prosto z samochodu. Na pewno dobra kondycja, aklimatyzacja i obycie z różnorodnym wspinaczkowo terenem są bardzo wskazane.

Jak sądzisz, dlaczego droga ma tak niewiele polskich przejść?

Trudno powiedzieć, ale wydaje mi się, że droga została zwyczajnie trochę zapominania. Jest coś takiego z naszym wspinaniem w Alpach, że dopiero po przejściu jakiejś linii przez zespół z Polski ludzie przypominają sobie o danym klasyku, po czym staje się on głównym celem wyjazdów przez kolejne sezony. Tak było z *Ginatem* na Droites. Teraz jest moda na *Colton–MacIntyre* na Jorassach. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby *Peuterejka* doczekała się kilku szybkich przejść w najbliższych latach.

Który odcinek drogi sprawił Ci największą trudność i dlaczego?

Niebezpiecznie było na Damach i Blanche. Po za tym wysoka temperatura sprawiła, że nawet w górnej partii drogi śnieg nie trzymał, a wspin w lodzie w alu-rakach i z aluminiowym czekanem turystycznym wymagał nieco więcej skupienia niż zwykle.

Jaki sprzęt na drodze uważasz za niezbędny, a z czego można śmiało zrezygnować w ramach odciążenia?

Ograniczony zestaw mechaników i kości, sporo pętli i karabinków to raczej podstawa. Reszta według możliwości i preferencji. Ja np. zabrałem liofy i trochę powerżeli, ale dobrze wiemy, że Alek Barszczewski wziąłby raczej ze sobą kilka kurczaków.

Czy wyobrażasz sobie pokonanie tej drogi zimą? Gdzie spodziewasz się największych trudności (nie tylko w sensie wspinaczkowym)?

Skoro Christophe Profit „przebiegł" zimą Grań w 19 godzin, to znaczy, że się da. A główna trudność to chyba przede wszystkim brak czasu i kasy, bo do takiego przejścia trzeba siedzieć w górach całe miesiące, łoić i wykorzystywać pogodę. ■

Asekuracja jest dla leszczy więc lepiej coś osadź! Fot.: Adam Latusek.

Niepełny wykaz przejść sezonu letniego 2011 Alpy:

Masyw des Ecrins (Alpy Delfinatu):

Aiguille Dibona:

Coup de Bambou 7a RP, Robert Nejman i Piotr Wolski, 11.08.2011

Fissure d'Ailefroide:

A Tires d'Ailes Froides 6a 230m, Małgorzata i Marcin Chmielińscy

okolice Ailefroide:

Caramba! Mais c'est du vi 6a+ OS, Robert Nejman i Piotr Wolski, 28.07.2011
Derborance 6c+ A0 (AF), Robert Nejman i Piotr Wolski, 1.08.2011
La haut si j'y suis 6b+ OS, Robert Nejman i Piotr Wolski, 3.08.2011
Marche au supplice 6c OS, Robert Nejman i Piotr Wolski, 8.09.2011
Ne Tirez pas sur l'ouvreur 6c RP, Robert Nejman i Piotr Wolski, 9.08.2011
Snoopy directe 6b OS, Robert Nejman i Piotr Wolski, 31.07.2011

Orage d'Etoiles:

Orage d'Etoiles 5c 300 m, Małgorzata i Marcin Chmielińscy

Palavar les Flots:

Palavar les Flots 5c 400 m, Małgorzata i Marcin Chmielińscy

Pic Sans Nom:

Big Tower... 6a OS, Robert Nejman i Piotr Wolski, 29.07.2011

Tennailes de Montbrison:

Eperon Renaud 6b A0 (AF), Robert Nejman i Piotr Wolski, 4.08.2011

Masyw Mont Blanc:

Aiguille du Midi:

Arête des Cosmiques AD 4a OS 3,5 h, Magdalena Nowak i Jarosław Gryczka
Filar Frendo D III 5a 1200 m OS 8 h, Maciek Ostrowski i Paweł Strzelecki

Aiguille du Peigne:

Arête des Papillons 5c+ OS, Maciek Ostrowski i Paweł Strzelecki
Arête des Papillons 5c+ OS 5,5 h, Magdalena Nowak i Jarosław Gryczka

Aiguille du Roc:

Children of the moon 6a, Andrzej Szypowski i Mateusz Zabłocki

Eperon des Cosmiques:

Rebuffat 6a OS 3 h, Maciek Ostrowski i Paweł Strzelecki

Grandes Jorasses:

Całun TD– AI4 OS 2 dni, Alek Barszczewski i tow.

Mont Blanc:

Centralny Filar Freney V+ A0 19,5 h, Alek Barszczewski i Rafał Burczyński
Peuterey Intégrale VI+, TD+/ED1 kilka razy A0 3,5 dnia, Maciek Ostrowski i Paweł Strzelecki

Mont Blanc du Tacul:

Filar Gervasuttiego TD+ VI OS 22 h, Alek Barszczewski i Adam Latusek
Filar Gervasuttiego TD+ VI 1 × A0 2 dni, Andrzej Szypowski i Mateusz Zabłocki

Mont Maudit:

Grań Kuffnera IV+ OS 5 h, Alek Barszczewski i tow.

Andrzej, Mateusz i Alek na stanowisku. Fot.: Adam Latusek.

Pillar Rouge:

Leu Rance d'Arabie 6b+ OS, Andrzej Szypowski i Mateusz Zabłocki

Pointe Lachenal:

Voie Marylene 6a 250 m OS 4 h, Maciek Ostrowski i Paweł Strzelecki

Voie Marylene 6a 250 m OS 6,5 h Magdalena Nowak i Jarosław Gryczka

Pointes des Nantillons:

Amazonia 6a 370 m OS 6 h, Alek Barszczewski i Adam Latusek

Les Fleurs du Mal 6b+ flash, Alek Barszczewski i Adam Latusek

Guy Anne 6a+ OS 7 h, Alek Barszczewski i Adam Latusek

Guy Anne 6a+ OS, Andrzej Szypowski i Mateusz Zabłocki

Pyramide du Tacul:

Arête Est 4c OS 3 h, Maciek Ostrowski i Paweł Strzelecki

Arête Est 4c OS 3 h, Magdalena Nowak i Jarosław Gryczka

Tour Rouge:

Marchand de sable 6a+ OS, Andrzej Szypowski i Mateusz Zabłocki

Masyw Gletschhorn-Schöllenen (Alpy Urneńskie):

Handegg:

Fair Hands Line 6a 300 m OS, Marcin Chmieliński i Robert Selerowicz

Graue Wand:

Niedermann VI 400 m OS, Marcin Chmieliński i Robert Selerowicz

Fot.: Adam Latusek.

Z **Alkiem Barszczewskim** o jego alpejskich przejściach latem 2011 roku

rozmawia **Marek Grądzki**

Którą alpejską drogę w sezonie letnim 2011 wspominasz najmilej i dlaczego?

Żadnej nie wspominam miło, bo na każdej się strasznie bałem – najmilej wspominam jak już wracałem z drogi i mogłem napić się coli, browara i zjeść pizzę. Najmniej dał mi w kość *Freney*, bo poszedł szybko i gładko, tak że już w Vallocie namawiałem Biszona na Wielki Filar Narożny. Najbardziej w dupę dostałem chyba na *Całunie* – po tej drodze już miałem dość i chciałem wracać do domu.

Która z nich w Twoim mniemaniu jest najpoważniejsza?

Hmm, w sumie trudno porównać, ale chyba bardziej bałem się na Jorassach, bo tam zejście jest długie i skomplikowane. Okolica pusta i dzika, a na Blancu kawałek łatwej grani, a potem już cieplutki Vallot. Ale jak pogoda się popsuje, to wszędzie jest kiepsko.

Jak oceniasz swoje przygotowanie logistyczno-wspinaczkowe podczas najdłuższych wspinaczek? Czy brakowało Ci czegoś, na co warto zwrócić uwagę?

Z każdą następną drogą wspinało mi się lepiej, po pierwsze ze względu na aklimatyzację, po drugie po prostu się rozwspinałem i nabrałem trochę kondycji. Ponadto na każdej drodze się czegoś uczyłem – czego nie zabrałem, a by się przydało, a czego w ogóle nie potrzebuję. Ale raczej jeżeli chodzi o sprzęt, to wszystko było przemyślane – przed wyjazdem zainwestowałem w lekkie ciuchy, lekkie raki, fajną bieliznę z wełny merynosów itp. W sumie na każdą drogę brałem 15-litrowy plecak – oczywiście partner miał ciut większy, ale tylko po to, żeby dwie pary ciężkich butów zmieściły się do jednego wora.

Na jakie rzeczy warto zwrócić uwagę, jadąc pierwszy raz latem w Alpy na poważne drogi w rejonie Mont Blanc?

Najważniejsze, żeby najpierw złapać aklimatyzację. To nie chodzi o to, że jak jej nie mamy, to będziemy dyszeć na drodze jak w Himalajach, ale nawet nie zdając sobie z tego sprawy będziemy wszystko robić wolniej – przynajmniej ja tak miałem… Trzeba się też popytać dokładnie jak działać, żeby nie zrobić takiego błędu, jak my za pierwszym razem na podejściu pod *Freneya* – dokładnie opracować drogę podejścia i zejścia itp. No i prognoza pogody – trzeba mieć zapas czasu na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Nie ma sensu się pchać w niepogodę (albo niepewną pogodę), bo potem mogą być jaja (podobno Polacy są z tego znani, że cisną w dupówę, a potem ich ściąga śmigło, ale nie wiem, ile jest w tym prawdy). Chociaż czekanie na pogodę wymaga czasu i cierpliwości. No i ważna jest izoterma „zero" – wiadomo im niżej tym lepiej, bo mniej się sypie.

Jak oceniasz możliwość przejścia Filara Freneya zimą?

Jak najbardziej! Od razu sobie pomyślałem o tym po zrobieniu go latem. Największym problemem, wydaje mi się, byłoby dostanie się pod ścianę i zejście z Blanca – trzeba by mieć rakiety albo małe nartki. Bo jak tam na górze spadnie dużo śniegu, to przewalone. No i trzeba by coś pohaczyć więcej pewnie.

Jakie masz alpejskie plany na ten sezon letni?

Wybieram się do Cham na dwa–trzy miesiące i chciałem z jednej strony spróbować coś trudniejszego technicznie (*Bonatti–Ghigo* albo *Podróże Guliwera* na Grand Capucin), ale też marzy mi się *Bonatti–Gobbi* na WFN. Od trzech sezonów chcę się wybrać na Walkera, ale trzeba na warun trafić… W październiku chciałem jeszcze coś mikstowego na Jorassach spróbować. Dużo, dużo planów i jak zawsze zakładam, że uda mi się zrobić z 10% tego co planuję. No i jadę z moją dziewczyną Marysią, więc będziemy też robić wypady na wspinanie sportowe gdzieś poza Chamonix. ■

Maciek, Albert, Kierzu i Wojtek. Fot.: arch. Wojciech Nowicki.

Letni obóz KWW w roku 2011 miał się odbyć w Dolomitach, jednak ze względu złe warunki atmosferyczne został przeniesiony w okolice Arco. W tym skalnym rejonie, gdzie dróg wspinaczkowych starczyłoby na całe życie, wyjątkowo trudno było zebrać się do działania. A to basen, a to pizzeria, a to kąpiel w Lago di Garda – atrakcji moc, a 40-stopniowy upał nie zachęcał do wspinania w mocno eksponowanych, nasłonecznionych ścianach. Ale skoro przyjechaliśmy taki kawał drogi, musieliśmy zrealizować pierwotny plan i zdecydowaliśmy – wspinamy się!

Skład czwórkowego zespołu: Kierzu, Albert Niedźwiecki, Maciek Figat i Wojtek Nowicki, nie był nastawiony na walkę z najtrudniejszymi drogami, ale gwarantował znakomitą atmosferę, stanowiskowe rozważania o sensie życia, o wyższości wina nad piwem oraz gwarantował serię najróżniejszych przygód.

Wojciech Nowicki

(NIE)MAŁA PRZYGODA W ARCO

Obóz letni 2011

Pewnego dnia weszliśmy w nietrudną drogę, którą planowaliśmy skończyć wczesnym popołudniem. Po pierwszym wyciągu okazało się, że Albert w trybie pilnym musi wrócić pod ścianę. Zjechał, a my zostaliśmy we trójkę. Kolejne wyciągi pokonywaliśmy w nadzwyczaj wolnym tempie, rozkoszując się ich kaloryferowatą urodą. Kontemplacja otoczenia tak nas wciągnęła, że zjazdy zaczęliśmy już w lekkiej szarówce, a skończyliśmy długo po zapadnięciu zmroku. Na dole czekał Albert z Tomkiem – architektem. Obaj w plecakach mieli napoje, a na głowach czołówki, które, jak się później okazało, odegrały w tej historii kluczową rolę. W pewnym momencie ktoś rzucił krótkie „dzięki", ktoś uścisnął mocno dłoń, a ktoś o mało nie nadepnął na skorpiona, oznajmiając to językiem, który na moment rozwiał unoszący się w powietrzu patos chwili.

Po powrocie na kemping kolejne spotkane osoby zaczepiały nas:

– Dobrze, że jesteście, podobno jakieś problemy były?

– Całe szczęście, że Albert dał radę zjechać i dowiózł wam brakujący sprzęt...

– Co tu robicie, podobno biwakujecie w ścianie? – spytał nas ktoś tym razem lekko zawiedzionym głosem.

Zapewne ktoś zobaczył na kempingu Alberta spacerującego samotnie, bez kolegów z zespołu i szybko połączył fakty – jest sam, a wyszli we czwórkę – i mrożąca krew w żyłach historia gotowa, a takie, jak wiadomo, rozchodzą się najszybciej. Traf chciał, że właśnie tego dnia jeden z kolegów opowiadał anegdotę, której bohaterem był Paszczu. Wieczorem, przy wspólnym arbuzie i winie, zapytałem więc go o tę historię z Chamonix, dzięki której zyskał nową linę.

Paszczu podrapał się po brodzie, poprawił w krzesełku i powiedział mniej więcej tak:

– No więc rzeczywiście było tak, że do działającego w ścianie zespołu podleciał śmigłowiec. Ratownik opuszczony na linie błyskawicznie przypiął się do prowadzącego, odciął linę i zabrał na dół. Już na ziemi okazało się, że ratownicy, którzy dostali wezwanie do wypadku, pomylili zespoły, ściągnęli ze ściany nie tych, co trzeba. Zespół w ramach rekompensaty dostał nową linę, z czego był bardzo zadowolony, bo taka lina w tamtych czasach była w Polsce nie do zdobycia. Historia prawdziwa, tyle że nie mnie się przydarzyła – zakończył Paszczu.

Klamra nieprecyzyjnych przekazów zamknęła się, a bohater historii z Chamonix pozostał nieucieleśniony. Wspólne wieczory spędzone na opowiadaniu środowiskowych anegdot i legend to kolejny po wspinaniu niesłychanie ważny i przyjemny aspekt klubowych obozów. Nawet świadomość, że połowa opowieści jest nieprecyzyjna, a wieczorne wino nie ułatwia porannego wspinania w niczym nie przeszkadza.

PS Zjeżdżacie, kiedy na linie usiądzie czarny motyl? ■

Przejścia obozu letniego 2011 Dolomity/Arco:

Dolomity:

Campanile Pradidali:

Via Castiglioni–Detasssis IV/R2 (trudniej) 350 m, Marek Czyżewski i Paweł Przybysz

Valle del Sarca (Arco):

Cima alle Coste:

Nuvole Bianche 6c 350 m 1×AF, Marcin Chmieliński i Maksymilian Kulesza

Profondo Bush 6c 350 m OS, Marcin Chmieliński, Jacek Fluder i Artur Paszczak

Via Transeamus 6b 280 m OS, Marcin Chmieliński i Artur Paszczak

Monte Casale:

Hasta Siempre Comandante 6b 400 m OS, Marcin Chmieliński i Artur Paszczak

Monte Collodri:

via Barbara VI OS 300 m, Paweł Borucki, Wacław Harchut i Piotr Juszkiewicz

Monte Colt:

Helena 6a 200 m OS, Alicja Paszczak i Katarzyna Skłodowska

Helena 6a 200 m, Maciek Figat, Jacek Kierzkowski, Albert Niedźwiecki i Wojtek Nowicki

Parete Zebrate:

Gabri Camilla 6b A0 oblg. (wahadło) 300 m OS, Marcin Chmieliński i Maksymilian Kulesza

Gabri Camilla 6b A0 oblg. (wahadło) 300 m, Alicja Paszczak, Katarzyna Skłodowska i Grzesiek

Rita 5c 400 m, Maciek Figat, Jacek Kierzkowski, Albert Niedźwiecki i Wojtek Nowicki

Spinelo 6a 220 m OS, Maciek Figat, Jacek Kierzkowski, Albert Niedźwiecki i Wojtek Nowicki

Piccolo Dain:

via Amazzonia 5c OS 250 m, Małgorzata Chmielińska i Katarzyna Fluder

via Amazzonia 5c OS 250 m, Paweł Borucki, Wacław Harchut i Piotr Juszkiewicz

via Amazzonia 5c OS 250 m, Albert Niedźwiecki, Jacek Kierzkowski, Maciek Figat i Wojtek Nowicki

Moonbears VI– 250 m OS, Małgorzata Chmielińska i Katarzyna Fluder

Po lewej:

Napieramy! Paweł Przybysz na *Via Castiglioni–Detasssis*. Fot.: Marek Czyżewski.

Od góry:

Kaloryfery już za nami. Fot.: Wojciech Nowicki.

Czym skorupka za młodu… Fot.: Piotr Juszkiewicz.

Wspólne wieczory. Fot.: Wojciech Nowicki.

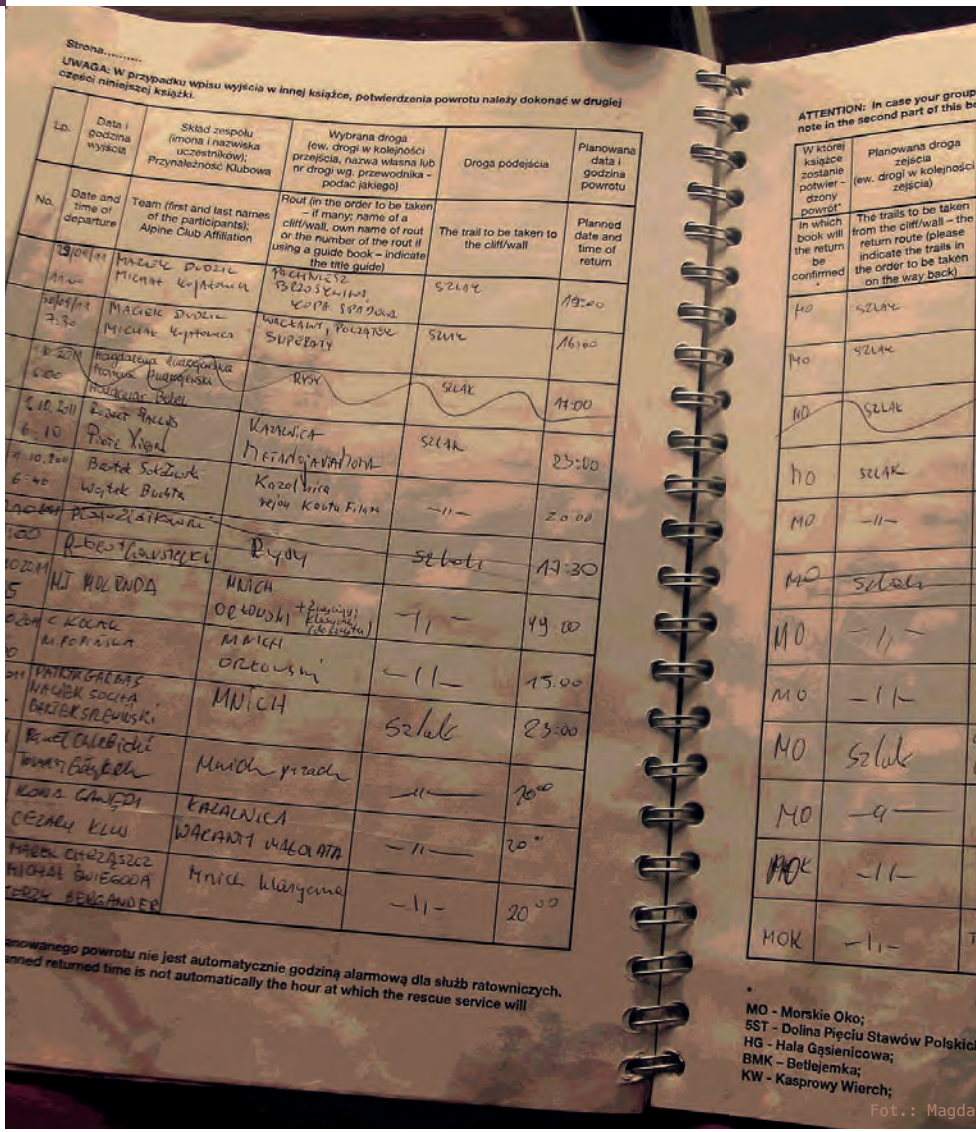

Strona.....

UWAGA: W przypadku wpisu wyjścia w innej książce, potwierdzenia powrotu należy dokonać w drugiej części niniejszej książki.

Lp. / No.	Data i godzina wyjścia / Date and time of departure	Skład zespołu (imiona i nazwiska uczestników); Przynależność Klubowa / Team (first and last names of the participants); Alpine Club Affiliation	Wybrana droga (ew. drogi w kolejności przejścia, nazwa własna lub nr drogi wg. przewodnika - podać jakiego) / Rout (in the order to be taken – if many; name of a cliff/wall, own name of rout or the number of the rout if using a guide book – indicate the title guide)	Droga podejścia / The trail to be taken to the cliff/wall	Planowana data i godzina powrotu / Planned date and time of return
	13/04/11	MACIEK DUDZIC	PACHNICZKA	SZLAK	
	14:00	MICHAŁ KOPTOWICZ	BRZOSKWINIA		19:00
	16/05/11	MACIEK DUDZIC	KOMIN SPADOWA		
	7:30	MICHAŁ KOPTOWICZ	WACŁAWA I POLSKIE	SZLAK	
	8.2011	Małgorzata Wielgosińska	SUPEŁKI		16:00
	6:00	Mateusz Wielgosiński	RYSY	SZLAK	
		Małgorzata Bobel			17:00
	2.10.2011	Robert Rauch	KAZALNICA		
	6-10	Piotr Nigrel	METALOWA ŚCIANKA	SZLAK	23:00
	1.10.2011	Bartek Sokołowski	Kazalnica		
	6-40	Wojtek Bukata	rejon Kociej Filar	-11-	20.00
		Małgorzata Wielgosińska			
	7:00	Robert Rauch	RYSY	szlaki	17:30
	10.2011	MIROSŁAW KOWALSKI	MNICH		
	5	MICHAŁ KOLENDA	OŁOWIANY + Płaczący Kluczowy Filar	-11-	19.00
	2011	PIOTR KOCKA	MNICH		
		MARCIN PODBIELSKI	ORŁOWSKI	-11-	15.00
	2011	PIOTR GARBAS	MNICH		
		WACŁAW SOCHA		szlak	23:00
		BARTŁOMIEJ SKRZYŃSKI			
		Robert Olszewski	Mnich przez	-11-	20.00
		Tomasz Gąsienica			
		Konrad Gąsienica	KAZALNICA		
		Grzegorz Klus	WACŁAWA WAŁOWATA	-11-	20.00
		Maciej Chrząszcz			
		Michał Świegoda	Mnich Wiązanie	-11-	20.00
		Jerzy Bengander			

anowanego powrotu nie jest automatycznie godziną alarmową dla służb ratowniczych.
anned returned time is not automatically the hour at which the rescue service will

ATTENTION: In case your group note in the second part of this bo

W której książce zostanie potwier- dzony powrót* / In which book will the return be confirmed	Planowana droga zejścia (ew. drogi w kolejności zejścia) / The trails to be taken from the cliff/wall – the return route (please indicate the trails in the order to be taken on the way back)
MO	SZLAK
MO	SZLAK
MO	SZLAK
MO	SZLAK
MO	-11-
MO	Szlaki
MO	-11-
MO	-11-
MO	Szlak
MO	-11-
MOK	-11-
MOK	-11-

*
MO - Morskie Oko;
5ST - Dolina Pięciu Stawów Polskich
HG - Hala Gąsienicowa;
BMK – Betlejemka;
KW - Kasprowy Wierch;

Fot.: Magda

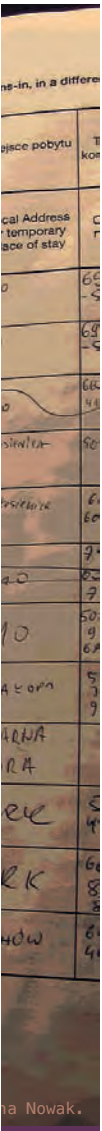

Mariusz Wilanowski

OMÓWIENIE LETNIEGO SEZONU TATRZAŃSKIEGO 2011

Letni sezon 2011 w polskich Tatrach nie różnił się zbytnio od kilku ostatnich. Utrzymuje się niestety trend, który cechuje się skumulowaniem działalności taternickiej na tych samych ścianach w każdym sezonie. Pod względem ilościowym na Mnichu, a pod względem trudności i powagi pokonywanych dróg – na Kazalnicy. Ale żeby nie było, że nic się nie działo, warto zwrócić uwagę na ważne wydarzenia i przejścia, jakie miały miejsce.

W centrum zainteresowania i głównym tematem prawie każdego podsumowania sezonu, czy to letniego, czy zimowego, jest nasza najhonorniejsza ściana w Tatrach czyli Kazalnica Mięguszowiecka. W tym sezonie z Zerwą nierozłącznie były związane dwa nazwiska: **Robert Pallus i Piotr Xięski**. Ten zgrany zespół dokonał szeregu przełomowych wspinaczek, które bez cienia wątpliwości możemy określić przejściami sezonu. Korzystając z coraz lepszej pogody (lipiec był pod tym względem fatalny), przeszli w ostatnich dniach sierpnia *Stąd do wieczności* VIII+, które było wstępem do tego, co miało nastąpić później. Kontynuacja nastąpiła w pierwszy weekend września, najlepszy wspinaczkowo weekend w Tatrach sezonu 2011. To właśnie w te dwa dni 3–4 września miało miejsce po polskiej stronie Tatr najwięcej wartościowych przejść w tym sezonie. Robert i Piotr przeszli w sobotę 3 września drogę *Wish You Were Here* VIII+. Było to dopiero drugie klasyczne przejście tej linii i to od razu w stylu OS! Dwa tygodnie później 18 września (panowie działali głównie w systemie weekendowym) obaj zapisali na swoje konto pierwsze powtórzenie (RP) drogi *Kurtyka–Czyżewski* IX–, robiąc jednocześnie wgląd w to, co wielu obstawiało jako kolejny cel katowiczan czyli *Momatiukówkę*. Niestety w sytuacji, kiedy większość dróg na Zerwie była sucha jak pieprz, *Moma* wciąż straszył mokrymi podchwytami, wymuszając zmianę celu. Wybór Roberta i Piotra padł na *Metanoję* (VII+ A0), drogę **Janusza Gołębia i Michała Szymańskiego** z 1996 roku, która do tej pory nie miała czystego przejścia klasycznego. Po kilku próbach i częściowej wymianie asekuracji droga padła RP 1 października, a autorska wycena po tym przejściu wynosiła IX–. Przy okazji pierwszego przejścia po 19 latach doczekał się najtrudniejszy wyciąg na *Momatiukówce* (wspólny z *Metanoją*).

Poza wspomnianą wyżej dwójką Pallus–Xięski na Zerwie działali też inni. Tradycyjnie najwięcej przejść ze wszystkich, które miały miejsce na Kazalnicy, odnotowały klasyki takie jak *Schody do Nieba* VI+ i *Warianty Małolata* VI+. Dość ambitnie poczynał sobie młody zespół **Krzysztof Miler** (17 lat) i **Paweł Hałdaś**, którzy oprócz przejścia *Schodów* i *Małolata* zaatakowali *Filar* VII+ A1 (Ostroga i Wlk. Okap) i *Kant Filara* VIII; (2 × AF na kluczowym wyciągu). Dwa zespoły przeszły całkowicie obitą drogę *Stąd do wieczności* VIII+ – **Rafał Mikler** i **Krzysztof Korn** oraz **Bartek Sokołowski** i **Wojtek Buchta**. Bartek błysnął także na rzadko powtarzanej *Epitafium* VII+ i na *Filarze z obejściem* wraz z **Kubą Wroną**, poza nimi drogę tę przeszedł też zespół **Jan Kazatel** i **Michał Kazatel**. Z ambitnych posunięć zanotowano próbę przejścia *Kiełka* zakończoną niestety wycofem. Choć czasy, kiedy na Zerwie w pogodny dzień wspinało się po kilkanaście zespołów, pewnie nie wrócą, cieszy jednak, gdy wspina się tam jednocześnie pięć zespołów, jak to miało miejsce 3 września.

Kolejnym dużym plusem w ostatnim sezonie po przejściach na Kazalnicy jest to, co działo się we wspinaniu czysto kobiecym. Po latach posuchy coś drgnęło w temacie. A wszystko za sprawą dwóch młodych dziewczyn: **Olgi Niemiec** i **Moniki Piaseckiej**. Obie w swoim pierwszym tatrzańskim sezonie skompletowały wykaz przejść, o jakim marzy niejeden stały bywalec Moka i Hali. Dziewczyny najpierw oddzielnie z innymi partnerami, a następnie razem podniosły poprzeczkę kobiecego wspinania w Tatrach do poziomu wcześniej niespotykanego. Już przejście przez Monikę trudności VIII+ na *American Beauty*, a Olgę także VIII+ na *Folwarku Montano* (obie drogi na Mnichu) robiło wrażenie, ale dopiero czysto kobiece przejścia będące dziełem obu dziewczyn wprawiły w osłupienie. Monika i Olga pokonały razem kolejno *Pulp Fiction* IX– na zachodniej ścianie Kościelca w stylu RP, a następnie w takim samym stylu *Rokokową kokotę* IX+ na wschodniej ścianie Mnicha. Takie trudności w tym stylu i w zespole kobiecym są premierowe po polskiej stronie Tatr. Poza Olgą i Moniką błysnęła także **Renata Bielańska-Kasprzycka**, która w rodzinnym wypadzie z mężem Mikołajem na zachodnią ścianę Kościelca przeszła drogę Piotra Drobota *Matrix* IX (4 wyciągi VII–, VII, IX–, IX), przy czym Renata prowadziła wszystkie wyciągi, co było zdaje się pierwszym kobiecym przejściem tej drogi. Przy okazji pojawiły się nie pierwszy raz sygnały, że droga to jednak mocne VIII+ a nie IX.

Skumulowanie taternickiego ruchu na największej podkrakowskiej skałce, jak niektórzy nazywają Mnicha, wydaje się być wpisane w podsumowanie sezonu tatrzańskiego. Można już chyba mówić niestety o pewnym trendzie charakteryzującym się tym, że 80% wszystkich przejść w otoczeniu Morskiego Oka ma miejsce na Mnichu. I nie ma tu nic do rzeczy fakt, że duża część z nich należy do zespołów kursowych. Dominują przejścia na ścianie północno-zachodniej (*Klasyczna*, *Orłowski*, *Kant Klasyczny*) i łatwiejsze z dróg zahaczających o wschodnią ścianę, takie jak *Międzymiastowa* VI+ czy biegnąca w całości wschodnią *Sprężyna* VII–. Wybierano również bardziej ambitne cele, a niektóre wspinaczki były nawet przełomowe. Przede wszystkim chodzi o przejścia kobiece, o których wspomniałem wcześniej,

u góry:
Paweł Hałdaś dochodzi do stanowiska pod kluczowym wyciągiem na Kancie Filara.
Fot.: Krzysztof Miler.
na dole:
Paweł Hałdaś dochodzi na drugiego na kluczowym wyciągu *Fereńskiego* na Mnichu.
Fot.: Krzysztof Miler.

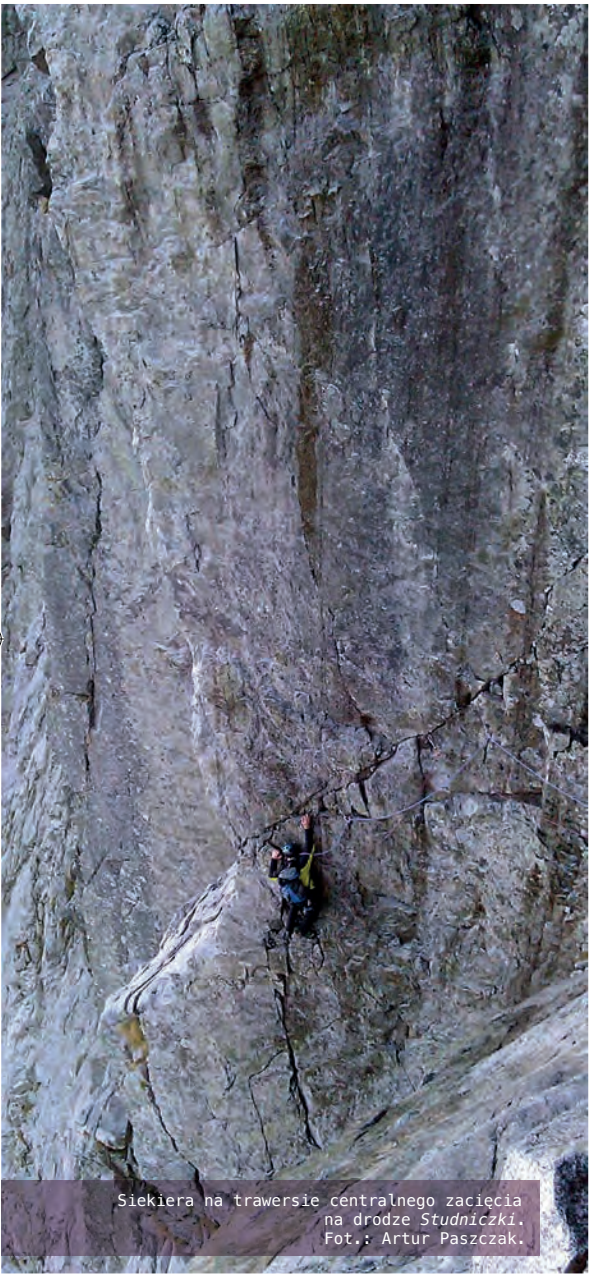

Siekiera na trawersie centralnego zacięcia na drodze *Studniczki*. Fot.: Artur Paszczak.

i powtórzenia topowych linii na Mnichu. Zwraca uwagę fakt, że choć poszczególne drogi nie zanotowały wielu powtórzeń, to katalog dróg, które zyskały przejścia, obejmuje większość linii na Mnichu (więcej szczegółów w wykazie najciekawszych przejść na końcu podsumowania). Z tych najtrudniejszych warto odnotować powtórzenia przez zespół **Paweł Wiśniewski** i **Tomek Zwolak** dróg *Metallica* IX+ i *Misterium Nieprawości* IX+ (obie w stylu RP). Równie dobre przejścia zapisał na swoim koncie wspólnie z różnymi partnerami **Krzysiek Rychlik**, przechodząc najpierw z **Magdą Imielską** *Wariant R* IX– (pamiętnego 3 września), a zaledwie dzień później z **Wojtkiem Karnasiem** równie wymagającego sąsiedniego *Sadusia* IX. Niezawodny w tym sezonie zespół Pallus–Xięski nie ograniczył się do Zerwy i na Mnichu dołożył przejście wymagającej i rzadko przechodzonej *2+1* VIII–. Ten sam zespół przeszedł jeszcze *Wachowicza* i kilka innych dróg z różnymi partnerami.

Dla tych czytelników niniejszego podsumowania, którzy w tym momencie zadają sobie pytanie, czy miała miejsce w polskich Tatrach jakieś działalność wspinaczkowa poza Zerwą i Mnichem informuję, że miała i o tym teraz kilka zdań. Tradycyjnie gros ruchu taternickiego oprócz Mnicha odbywało się na innych mniejszych ścianach z łatwym i szybkim podejściem i taką możliwością wycofu, które w razie niepogody schną najszybciej. Mowa o Kopie Spadowej, na której poza standardowym *Skłodowskim* V+ i *Pachniesz Brzoskwinią* VII–/VII przechodzono też rzadziej chodzone drogi jak *Misio* VII–, *Bastion* VII– (m.in. zespoły kursowe). Kolejna popularna ściana to Żabi Mnich, gdzie rekordy popularności biła droga *Czech–Ustupski* IV+, sporadycznie przechodzono trudniejsze linie *Wilczkowskiego* VI– i *Onyszkiewicza* V+, jeden zespół pokusił się też o przejście rzadko chodzonej drogi *Faszyści* V+. Na czołówce MSW najciekawszym przejściem był OS na drodze *Miękkie Ruchy* VII+ w wykonaniu zespołu **Krzysiek Banasik** i **Janek Sołyga**. Na ŻTM-ie poza dosłownie kilkoma przejściami *Filara Grońskiego* dokonano dwóch przejść drogi *Je t'aime*, donosząc przy okazji o rozbieżnościach obiegowego schematu ze stanem faktycznym zastanym w terenie (patrz schemat po tegorocznym przejściu w tym numerze A/ZERO). W końcu jedno z najciekawszych przejść sezonu czyli pokonanie przez dwa zespoły (niestety oba w stylu 1 × AF) *Drogi Chrobaka* na Wołowej Turni. Było to prawdopodobnie dopiero pierwsze i drugie powtórzenie tej linii, która jak większość trudniejszych propozycji na ścianach Wołowej i ŻTM często jest mokra.

Działalność na Słowacji jak zwykle spowija aura tajemniczości, która dzięki działającym po południowej stronie Tatr klubowiczom ujrzy światło dzienne choć w niewielkiej części. W drugiej połowie sierpnia miała miejsce próba przejścia całości grani Tatr Wysokich przez zespół **Tomek Klimczak**, **Maciek Ostrowski** i **Paweł Strzelecki**. Chłopaki wyruszyli z Przełęczy pod Kopą i bardzo sprawnie poruszali się, wykorzystując trwającą lampę. Ich bardzo zaawansowane przejście zostało przerwane przez posłanie plecaka ze sprzętem na dno Doliny Kaczej. Mimo odnalezienia plecaka zespół nie znalazł już w sobie tyle sił, by powrócić na grań i dokończyć przedsięwzięcie.

Ze względu na niezwykle suchy początek jesieni Galeria Gankowa przeżywała coś w rodzaju oblężenia. Wspinało się, zwłaszcza w weekendy, po kilka zespołów jednocześnie i to na wielu drogach. Pokonane zostały wszystkie klasyki, a także dokonano pierwszego przejścia klasycznego *Centralnego Zacięcia* i *Komina Łapińskiego* (**Miro Pet'o** i **Erik Rabatin**) oraz *Ružomberskiej Cesty* (Miro Peťo i **Martin Krasňanský**). Jednym z najbardziej ruchliwych był weekend 1–2 października. Wtedy Miro i Erik dokonali dwóch świetnych odhaczeń. Najpierw przeszli *Komin Łapińskiego Wprost* VIII–. Ciekawostką jest, że za zespołem Miro podążał zespół **Jacek Fluder** i **Jurek Szadziński**. Zresztą tego dnia tuż obok, na *Studniczce*, nie wiedząc o Jacku, wspinał się ze swoją ekipą **Janusz Gołąb**. Z kolei za Januszem podążał **Artur Paszczak** ze **Zbyszkiem Skierskim**. Wspinały się też trzy zespoły na *Orłowskim* (m.in. **Maciek Bedrejczuk**), jeden na *Centralnym Filarze* (m.in. **Łukasz Kiecoń**), jeden na *Drodze Klasycznej* i co najmniej jeden na *Puszkaszu*. W sumie daje to co najmniej osiem zespołów – rzadki wynik na Galerii. Z kolei w niedzielę (2 października), Miro i Erik dokończyli swoje porachunki z *Centralnym Zacięciem* wyceniając je na VIII+/IX–. Także na Słowacji powstały jedyne w sezonie letnim 2011 (o których mam wiedzę) nowe drogi. Szczególnie eksploratorsko udzielał się **Marek Pronobis**, który samotnie bądź z partnerami wytyczył w otoczeniu Doliny Młynickiej cztery nowe drogi. Jedną dorzucił jeszcze na Wielkiej Śnieżnej Turni **Adam Śmiałkowski** (szczegóły nowych dróg w wykazie na końcu podsumowania).

Na koniec omówienia chcę poruszyć jeszcze jedną kwestię czyli odwieczny problem z dotarciem do informacji o przejściach w Tatrach. Sytuacji nie załatwia książka wyjść w Moku, bo o ile na ambitniejszych celach/ścianach zespoły podają w miarę dokładne informacje, o tyle np. w przypadku takie-

Zespoły na *Orłowskim*, na stanowisku powyżej tzw. Książki. Fot.: Artur Paszczak.

Zespół na *Orłowskim*, w tle Artur Paszczak i Zbyszek Skierski na *Studniczce*, pod wyjściowym zacięciem. Poniżej dobrze widoczna tzw. szeroka rysa. Fot.: Maciej Bedrejczuk.

go Mnicha standardem jest wpis „drogi różne". Dla jednych zespołów będą to *Klasyczna* i *Robakiewicz*, dla innych *Wachowicz* i *Saduś*. Wiem, że akurat na Mnichu część zespołów dostosowuje wybór celu do sytuacji zastanej na miejscu, ale jest w książce wyjść rubryka „uwagi dotyczące przejścia i inne spostrzeżenia", gdzie post factum można wpisać, co się robiło. Dla niektórych jednak wciąż stanowi to widocznie problem. Jeszcze gorzej sprawa wygląda w przypadku wspinaczek na Hali i na Słowacji. Tutaj można polegać wyłącznie na informacji ustnej i klubowych serwisach internetowych donoszących o przejściach swoich członków.

Przy sporządzaniu niniejszego omówienia pomocy w postaci informacji, zdjęć, schematów i skanów udzielili mi: Magda Nowak, Artur Paszczak, Marek Grądzki, Adam Śmiałkowski oraz Justyna Florczak, za co chciałbym bardzo im podziękować. Korzystałem też z informacji ogólnodostępnych zawartych w magazynie GÓRY, Taterniku, serwisie Wspinanie.pl i na klubowych stronach internetowych.

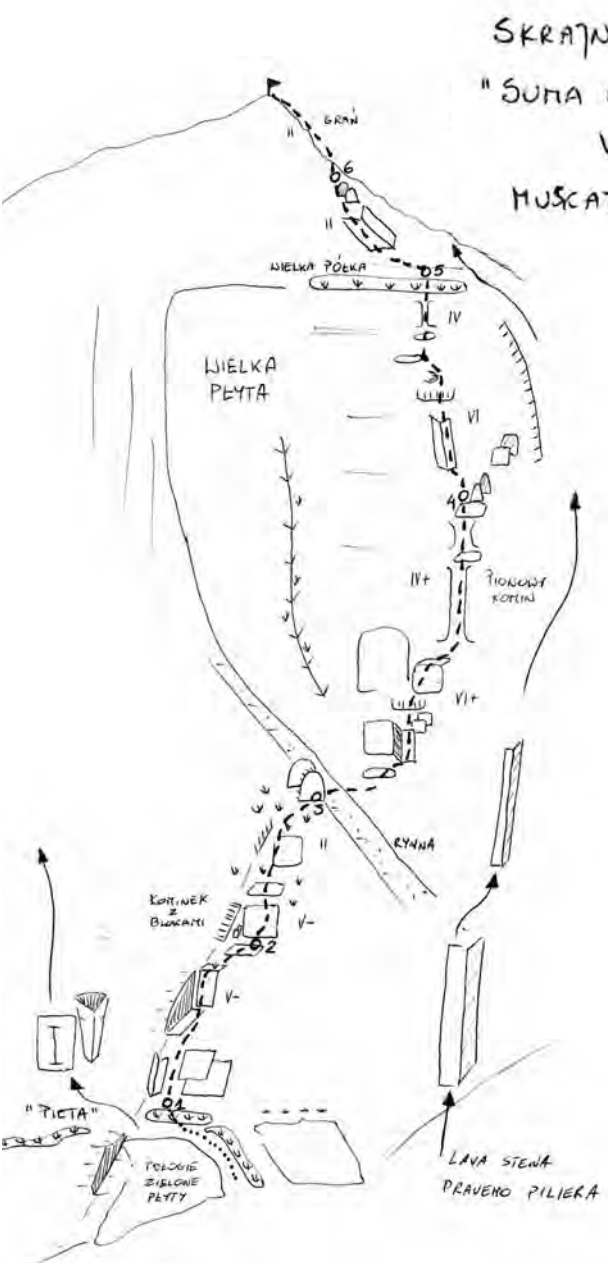

Droga jest owocem naszych, wspólnie z Janem, wycieczek do Doliny Furkotnej. Upodobaliśmy sobie ostatnio rzadko odwiedzaną ścianę Skrajnej Liptowskiej Turni ze względu na jej zaciszność i dzikość. Linię drogi wypatrzyliśmy podczas przejścia prawego filara i środka (tu razem z Alicją i Siwym). Ponieważ obawialiśmy się o asekurację na wielkiej, litej płycie stanowiącej clue drogi, trochę te obawy nas kosztowały nerwów. Potem z kolei w czasie samego wspinania sporo było różnych „strachów", które okazały się jednak niepotrzebne – i stąd nazwa. Linia jest ładna, szczególnie urodziwe są dwa wyciągi na wielkiej płycie – prawdziwie piękna wspinaczka. Asekuracja raczej dobra, przydadzą się haki (raczej średniocienkie) i pełen zestaw mechaników. Całość drogi, pomimo niewysokiej cyfry, razem z podejściem i nieco wymagającym zejściem przynosi smak prawdziwej górskiej przygody.

Artur Paszczak

Jan Muskat w szóstkowym zaciątku na 4. wyciągu *Sumy*.
Fot.: Artur Paszczak.

Wykaz przejść do podsumowania sezonu letniego 2011 w Tatrach:

Nowe drogi

Ściana przed skokiem (z Doliny Młynickiej)

Dzień Żaby IV A1 2 h; Marek Pronobis 26.06.2011 (pierwsze przejście)

Atak Motyli VI 1,5 h; Andrzej Pronobis, Marek Pronobis i Grzegorz Bębenek 14.07.2011

Młynickie Solisko (z Doliny Młynickiej)

Intermezzo IV 2 h; Marek Pronobis 11.09.2011

Furkotne Solisko (z Doliny Mlynickiej)

Pawie Oko VI+ 4 h; Andrzej Pronobis i Marek Pronobis 11.08.2011

Wielka Śnieżna Turnia (wschodnia ściana)

Tradycja III 1,5 h; Adam Śmiałkowski 31.08.2011

Skrajna Liptowska Turnia

Suma wszystkich strachów VI+; Jan Muskat i Artur Paszczak 27.08.2011

Wybór najciekawszych przejść

Kazalnica Mięguszowiecka

Schody do Nieba VI+; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś 14.07.2011
Bartek Kurowski i Maciek Kowalczyk 19.08.2011
Ludwik Wilczyński, A Śniegocka, Z. Wojciechowski + 1 osoba 21.08.2011
Tadeusz Kamiński i Paweł Ochman 30.08.2011
Piotr Sienkiewicz i tow. 3.09.2011
Magda Nowak i Paweł Strzelecki 3.09.2011

Warianty Malczyka VI+; Piotr Tyrna, Robert Wojniasz 14.07.2011

Warianty Małolata VI+; Paweł Grela i Paweł Kotalski 17.07.2011
Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś 17.07.2011
W. Kozbiał, Adrian Mazur i W. Rycombel 21.08.2011
Wojciech Kurz i Wojciech Kołodziejczyk 27.08.2011
Paweł Grela i Krzysztof Kowal 2.09.2011
Grzegorz Kletschka i Bartek Sokołowski 3.09.2011
Joanna Klimas i Bartłomiej Klimas 17.09.2011
Maciej Korzeniak i Mateusz Zabłocki 17.09.2011
Paweł Kowalski i Grzegorz Adamiec 26.09.2011

Kant Filara VIII; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś 2 × AF na kluczowym wyciągu 19.08.2011
Maciej Korzeniak i Mateusz Zabłocki 18.09.2011

Filar VII+ A1 (Ostroga i Wlk. Okap); Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś sierpień 2011

Filar z obejściem VII+; Jan Kazatel i Michał Kazatel 27.08.2011
Bartek Sokołowski i Kuba Wrona 7 h do krawędzi RP potem OS

Zaczadzony umysł VII+; Andrzej Marcisz, Adam Wójcik i Damian Czarnecki + 1 osoba 23.08.2011
Stąd do wieczności VIII+; Piotr Xięski i Robert Pallus RP 27.08.2011
Rafał Mikler i Krzysztof Korn OS 18.09.2011
Bartek Sokołowski i Wojtek Buchta 01.10.2011
Droga na Hell VI+; Krzysztof Czerczer i M. Ciepły 27.08.2011
Wish You were here VIII+; Piotr Xięski i Robert Pallus 3.09.2011 drugie klasyczne przejście drogi
Kurtyka-Czyżewski IX–; Piotr Xięski i Robert Pallus 18.09.2011 drugie przejście klasyczne
Epitafium VII+; Bartek Sokołowski, Paweł Masier OS z wyjściem „wariantami nocnymi"
zespół wrócił następnego dnia 18.09.2011
Metanoja IX–; Piotr Xięski i Robert Pallus 1.10.2011 PP pierwsze klasyczne przejście
i jednocześnie pierwsze powt. najtrudniejszego wyciągu na *Momatiukówce*

Kopa Spadowa

Pachniesz Brzoskwinią VII–/VII; Artur Szuta i Tomasz Paluch OS 11.06.2011
Bastion VII–; Robert Rokowski + 3 osoby 23.08.2011
Bartek Kurowski i Radek Gałązkiewicz 23.08.2011
Misio VII–; Adam Pieprzycki + 3 osoby 23.08.2011

Mnich

American Beauty VIII+; Tadeusz Kamiński i Adrian Jurecki RP 4.08.2011
Ania Górka, M. Ziarko 21.08.2011
Piotr Wyciślik i Monika Piasecka OS 3.09.2011
Wachowicz VIII; Piotr Xięski i Robert Pallus 18.07.2011
Tadeusz Kamiński i Adrian Jurecki PP 6.08.2011
Janek Sołyga i Maciek Kowalczyk OS 26.08.2011
Seven Up + Folwark Montano VII; Piotr Xięski i tow. 6.08.2011
Hobrzański + Kosiński VII; Justyna Florczak, Waldemar Kwiatkowski i Robert Pallus 2,5 h OS 11.08.2011
Jakub Puczek i Piotr Tyrna 22.08.2011
Hobrzański + Kosiński + Superkancie; Jakub Radziejowski, W. Szmajda, Janek Sołyga 25.08.2011
Kant Hakowy VII–; M. Bojan i P. Kędzierski 13.08.2011
Bartek Kurowski i Maciek Kowalczyk OS 18.08.2011
Międzykancie VII; Bartek Kurowski i Maciek Kowalczyk OS 18.08.2011
Luftwaffe VIII+; Maciej Książczyk i Dominika Wajberg 21.08.2011
Piotr Xięski i Robert Pallus 1 × AF 10.09.2011
Folwark Montano VIII+; Andrzej Marcisz, Adam Wójcik i Damian Czarnecki + 1 osoba 24.08.2011
Olga Niemiec i Krzysztof Korn
Fuczok VII–; Mateusz Grobel, Sebastian Prędkopowicz i Paweł Bochenek 27.08.2011
Rokokowa Kokota IX+; Olga Niemiec i M. Ziarko 2.09.2011
Monika Piasecka i Olga Niemiec 4.09.2011
M. Ziarko, Ania Górka +1 osoba RP 7.09.2011
2+1 VIII; Piotr Xięski i Robert Pallus i Marcin Zębul RP 4.09.2011
Wariant R IX–; Krzysiek Rychlik i Magda Imielska 3.09.2011
Paweł Bździel i Maciek Książczyk RP
Jan Kuczera i Marcin Wróbel (Flash)
Saduś IX; Krzysiek Rychlik i Wojtek Karnaś 4.09.2011

Waldek – *Rysa Hobrzańskiego*, Mnich.
Fot.: arch. Justyna Florczak.

American Beauty, Mnich.
Fot.: arch. Justyna Florczak.

Metallica IX+; Paweł Wiśniewski i Tomasz Zwolak RP 3.09.2011
Misterium Nieprawości IX+; Paweł Wiśniewski i Tomasz Zwolak RP 4.09.2011
Florecistka z Hotelu Adalbert VIII–; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś RP lipiec 2011
Adrian Jurecki i Tadeusz Kamiński PP
Ny-Ny-Ny VII+; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś RP lipiec 2011
SuMiKo VII–/VII; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś OS sierpień 2011
Fereński + Łapiński VII; Krzysztof Miler i Paweł Hałdaś OS sierpień 2011

MSW
Miękkie Ruchy VII+; Krzysztof Banasik i Janek Sołyga OS 23.08.2011

Wołowa Turnia
Chrobak VI A1 (oryg); Jakub Radziejowski i W. Szmajda 1 × AF 21.08.2011
Krzysztof Banasik, Maciek Kowalczyk i Janek Sołyga 1 × AF 21.08.2011

Kościelec
Matrix IX; Renata Bielańska-Kasprzycka i Mikołaj Bielański RP sierpień 2011
Łukasz Migiel i Mirosław Woźniak (Flash)
Janek Mondzelewski i Bartek Sokołowski PP
Pulp Fiction IX–; Olga Niemiec i Monika Piasecka RP
Ania Górka i Bartek Sokołowski RP

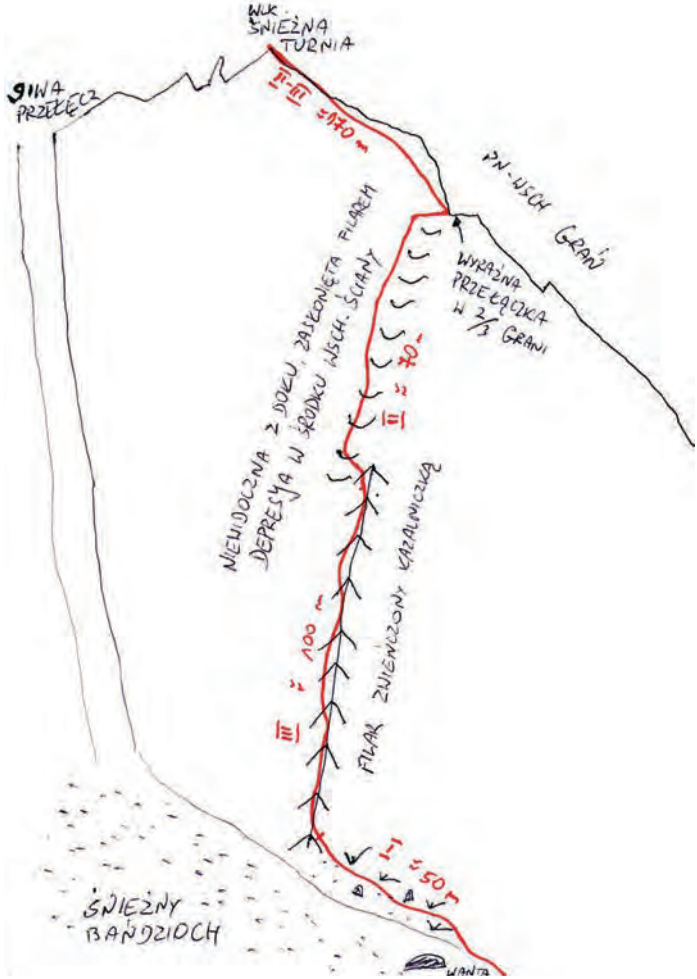
WK. ŚNIEŻNA TURNIA
GIWA PRZEŁĘCZ
II-III
~170 m
PN.-WSCH. GRANI
WYRAŹNA PRZEŁĘCZKA W 2/3 GRANI
NIEWIDOCZNA Z DOŁU, ZAŚLONIĘTA FILAREM DEPRESJA W ŚRODKU PN.-WSCH. ŚCIANY
~70 m
III
~100 m
III
ZWIĘŹLONY KAZALNICZKA
FILAR
I-II
~50 m
ŚNIEŻNY BAŃDZIOCH

Tradycja
na wschodniej ścianie Wielkiej Śnieżnej Turni
Pierwsze przejście – Adam Śmiałkowski 31.VIII.2011, solo bez asekuracji, trudności III, 1,5h

Wschodnia ściana Wielkiej Śnieżnej Turni według W.H. Paryskiego ma około 200 m wysokości, wspomniana droga biegnie pomiędzy drogami 2872 wschodnią depresją i 2873 północno-wschodnią granią (obie autorstwa W. Stanisławskiego). Droga prowadzi rodzajem filarem w środku ściany zwieńczonego kazalniczką, po czym przechodzi ukosem w lewo do wybitnego trawiastego wcięcia w północno-wschodniej grani, skąd częściowo granią osiąga szczyt.

Wejście w skały jakieś 100 metrów od ujścia żlebu z Siwej Przełęczy, poniżej drogi 2872, nieopodal wielkiej wanty (głazu) widocznej od wejścia do Śnieżnego Bańdziocha. Dalej przez bloki, nieco na prawo od ostrza filara, stopniowo przechodząc na jego lewą stronę. Nie wychodząc na wierzchołek zwieńczającej filar kazalnicy, tuż poniżej niego, przechodzimy na lewą stronę depresji, ukazującej się nam dopiero po przewinięciu na lewą stronę filara. Następnie skośnie w lewo do góry litymi dobrze urzeźbionymi płytami, a wyżej przez bloki i upłazy przetykane trawami, w kierunku wyraźnej, najgłębiej wciętej przełączki w płn-wsch. grani. Z niej jakieś 150 m na szczyt razem z drogą 2873. Uskok nad przełączką omijamy z lewej strony grani. Do kazalnicy krucho, wyżej skała pewna. ■

Je t´aime
Justyna Florczak
Waldemar Kwiatkowski

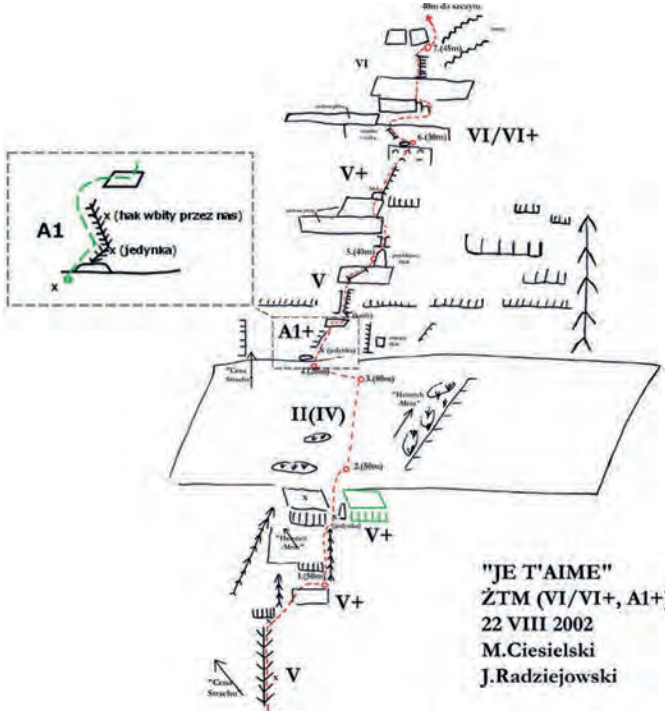

Korekta oryginalnego schematu drogi *Je t'aime* (autorstwa zespołu Ciesielski–Radziejowski) na ŻTM dokonana przez zespół powtarzający drogę: Arkadiusza Araka, Justynę Florczak i Waldemara Kwiatkowskiego.

1. Pierwsza poprawka dotyczy filara w okapach. Według oryginalnego schematu wygląda na to, że droga biegnie filarem ograniczającym okapy z prawej strony. W rzeczywistości jest to filarek dzielący okap na dwie połowy. Jedynka na filarku nie jest widoczna z dołu.

2. Druga poprawka dotyczy głównych trudności drogi (powiększenie z lewej strony linii drogi). Na oryginalnym schemacie widoczne jest „coś" w prawo. Tymczasem jest to półka/platforemka przylegająca do ściany z krótkim zacięciem w prawo, następnie skośne zacięcie w lewo do góry. Namierzyliśmy tę formację po wbitej jedynce – identycznej jak ta znaleziona na drugim wyciągu.

Waldek Kwiatkowski na *Je t'aime* na ŻTM.
Fot.: Justyna Florczak.

W ścianie ŻTM podczas przejścia *Je t'aime*.
Fot.: arch. Justyna Florczak.

Po krótkich wspinaczkach na początku miesiąca chcieliśmy zrobić jakąś prawdziwą tatrzańską drogę. Wybór padł na *Je t´aime* na ŻTM, ponieważ nikt z nas nie był dotąd na tej ścianie.

Na wspin wybraliśmy się w trójkowym zespole: Waldek Kwiatkowski, Justyna Florczak i Arkadiusz Arak ze schematem autorstwa Ciesielski–Radziejowski.

W ścianę wbiliśmy się ok. 8 rano. Pomimo kapitalnej pogody i mocnego słońca, marzliśmy niemiłosiernie. Określenie A. Machnika „zimny kąt" odnośnie do położenia ŻTM wydawało się być niezwykle trafne. Na każdym wyciągu startowaliśmy skostniali i zziębnięci. Od początku drogi teren wykazywał duże ożywienie. Wydawało się, że im wyżej, tym gorzej, choć niewykluczone, że to nasze subiektywne odczucie. Psycha topniała nam z każdym odklejonym kamolem lub dudniącą płytą. Pierwszy wyciąg okazał się uczciwą piątką zakończoną na mokrej i częściowo kruchej płycie. Start do drugiego wyciągu zajął nam dobrą chwilę, bo schemat był dość nieprecyzyjny. Główna trudność znajdowała się na wyjściu z żeberka na płyty. W tym miejscu do asekuracji pozostawiona była stara jedynka. W naszym odczuciu były to trudności zdecydowanie szóstkowe z całkiem niezłą ekspozycją w przeciwieństwie do schematu, mówiącym o V+. Kluczowy wyciąg drogi znajdował się na ścianie zamykającej ogromny, pochyły taras. Również i tu straciliśmy mnóstwo czasu na poszukiwanie zacięcia w prawo. Udało się je namierzyć po pozostawionej jedynce. W rzeczywistości zacięcie prowadziło w lewo. Najtrudniejszy wyciąg A1+ planowaliśmy przejść klasycznie. Trudność to typowe tatrzańskie wyrzucające na zewnątrz zacięcie. Skała lita, ale porośnięta kępkami mchu. Pomimo ogromnych chęci, nie udało się zrobić czysto od strzału – zabrakło psychy. Podczas haczenia wyczyściliśmy zacięcie, dzięki czemu można było osadzić cama 0,5 i 0,3, a na wyjściu dobić haka. Według nas trudności nie przekraczały A1. Po przehaczeniu chcieliśmy podjąć jeszcze jedną próbę przejścia klasycznie – tym razem mogliśmy liczyć na aż cztery przeloty zamiast jednej jedynki przy pierwszej próbie. Niestety po wyjściu z zacięcia lita płyta powyżej okazała się być ścianą z przyklejonymi blokami, taflami i innym ożywionymi kamieniami. Wszystko dudniło. Pozostało nam grzać wyżej i dalej. Kolejne wyciągi to trudności od V do VI+. Asekuracja dostateczna, choć miejscami mogła być lepsza. Cały czas lity teren z kruszyzną i luźno leżącymi kamieniami. Trzeba było mocno się skupiać, żeby nic nie zrzucić sobie na głowę. Po ok. 10 godzinach z ulgą stanęliśmy na wierzchołku. Szybko zapadł zmrok, za brak dobrej znajomości grani zapłaciliśmy frycowe w postaci drałowania aż do Przełęczy pod Chłopkiem. Na taborze stawiliśmy się po ok. 23 godzinach. ■

Ewa Załuska na *Ommadawn Direct* VI.5.
Fot.: Wojtek Ryczer.

Magdalena Nowak

PODSUMOWANIE SEZONU SPORTOWEGO 2010 I 2011

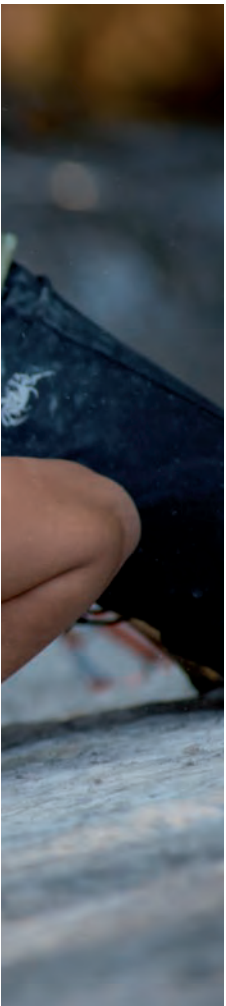

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że minione dwa sezony sportowe były wyjątkowo udane dla naszych klubowiczów. Obok wielu nazwisk, o których pisaliśmy w poprzednich podsumowaniach, pojawiło się kilka nowych, które wdarły się przebojem do sportowej czołówki KWW. Członkowie naszego klubu odwiedzili wiele mniej lub bardziej znanych rejonów wspinaczkowych, nie tylko w Europie, nie zapomnieli jednak o urokach rodzimej Jury Krakowsko-Częstochowskiej.

Agnieszka Cudna-Ryczer na *Niemytych Duszach* VI.4+. Fot.: Wojtek Ryczer.

Jednym z najlepszych przejść minionego sezonu może się pochwalić Janek Sokołowski, który jesienią 2011 zakończył swój długoterminowy projekt *Potęgę Trójkątów* VI.6+. Pierwsze starcie z tą drogą Janek miał już pod koniec sezonu 2010. Kolejne próby rozpoczął wiosną 2011, ale oczekiwany przełom przyniósł dopiero wyjazd na „łest" i poprawienie wytrzymałości we francuskich przewieszeniach. Niejako formalnością było poprowadzenie przez Janka *Charitki* VI.5+, której najtrudniejsza część pokrywa się na długości pięciu wpinek z *Potęgą Trójkątów*. Przy okazji warto wspomnieć, że *Charitka* jest uznawana za jedną z najtrudniejszych dróg o tej wycenie. Kilka najlepszych dróg z wykazu Janka, takich jak *Kaprys Bogów* VI.5/5+, *Aleja Zasłużonych* VI.5+/6 czy *Porozmawiajmy o kobietach* VI.4+/5, zawiera adnotację, że część prób miała miejsce przy padającym deszczu lub śniegu. Naprawdę można pogratulować sprężа i pozazdrościć wyrozumiałych asekurujących!

Wymienić tu należy także Aleksandra Romanowskiego. Olek zdążył już wszystkich przyzwyczaić do świetnych wyników w zawodach boulderowych. Nowością natomiast będzie, że w minionym roku z sukcesem spróbował swoich sił w zawodach w prowadzeniu, w których zajął pierwsze miejsce. Nie zmienia to jednak faktu, że głównym polem działania Olka pozostałbouldering i to na tej niwie trzeba szukać jego największych sukcesów. W tym roku wybrał się do bulderowego edenu – RPA. Zamiast słynnego Rocklands za swój cel obrał mniej zatłoczone Top Side, gdzie pokonał kilka boulderów z najwyższej półki trudności. Zaskakujące, że tak świetne przejścia, jak *In Search of New Sound* 8b, *Black hawk down* 8a+ czy *Cthulhu* 8a+ (które według Olka zasługuje tylko na 7c+) nie zostały wymienione do tej pory przez żadne media wspinaczkowe! Warto zauważyć, że najtrudniejszy bulder pokonany przez Polaków ma wycenę 8b+, a osób które sięgnęły po bulderowe 8b wcale nie jest tak dużo.

Świetne wyniki w minionych sezonach odnotował także Rafał Pawiński. Udało mu się pokonać w Ospie *Mrtvaški Ples* za 8b. Zwiedzając Europę wzdłuż i wszerz, obok wielu ósemek-a, które Rafał pokonał ze znajomością, na uwagę zasługują *Mediterraneo* 8a pokonane we flashu i dwie 7c (*La Piton* i *Egocentrismo*), które Rafał poprowadził od strzału. Doskonałą formę udowodnił także Kuba Wasilewski, który w Rodellarze poprowadził *Pared de la Virgen* 8b. Nie było to jedyne warte odnotowania przejście, poza działalnością na „łeście" Kuba z sukcesem zmierzył się z *Powitaniem Wiosny* VI.5+/6 i *Aleją Zasłużonych* VI.5+/6 na naszej Jurze.

Do grona osób z magicznym VI.5 w tym roku dołączył między innymi naczelny dietetyk wspinaczkowy – Marcin Bończa-Tomaszewski, pokonując absolutnie najpopularniejszą, bynajmniej ze względu na tak zwaną przyjazną cyfrę, drogę minionego sezonu – *Ommadawn Direct*. Jak sam relacjonuje, jako trener chciał udowodnić, że obierając odpowiednie cele i narzędzia do ich realizacji można osiągnąć sukces. I tak koncentrując się na naszej jurajskiej wspinaczce i pokonując coraz trudniejsze drogi stopniowo udało mu się zrealizować wyznaczony cel. Zaznaczył jednak, że sporo zawdzięcza entuzjazmowi wielu pozytywnych napieraczy, którzy go otaczają.

Drogami spod znaku sześć pięć w swoich kajecikach mogą się także pochwalić Mirosław Baćmaga, który pokonał *Skalne Sztafety* i *Montokwas 212* oraz Marcin Zieliński z „łestową" 7c/c+ *Quijote mix* w Alquézar i 7c+ *Tragaldabas* w Rodellar. Do grona wspinaczy z „ósemką-a" na koncie dołączył natomiast także Dominik Bokowy z ospiańską *Samsarą* oraz znajdującą się w Céüse *Carte Blanche*. Do swojego wykazu kolejne VI.5 dorzucił także Mariusz Bartosiewicz, prowadząc popularne *Ommadawn Direct*, a także *Rzuty osobiste*, które zrobił już w drugiej próbie! W minionym sezonie swoją życiową formę zaprezentował również Szymon Marciniak na *Snowbird Hero* VI.5+.

Doskonale wzajemnie się motywujące małżeństwo Agnieszka Cudna-Ryczer i Wojtek Ryczer również sięgnęli po swoje życiówki. Rozochoceni szybkim sukcesem na *Niemytych duszach* VI.4+, spróbowali swoich sił, jeśli napiszę najbardziej obleganej VI.5 sezonu, chyba będzie jasne o czym mowa? Niedługo później dorzucili do tego kilka ciekawych przejść w Ospie, takich jak *Hugolina* 7b+. PonadtoAgnieszka poprowadziła mocno przewieszoną *Tortugę* 7b, Wojtek natomiast pokonał *Figę* 7b+.

Niemniej jednak Agnieszka nie była jedyną panią święcącą sukcesy. Jednym z najważniejszych klubowych osiągnięć kobiecych minionego sezonu były dwie VI.5 *Ommadawn Direct* i *Będkowski Playboy* w wykonaniu Ewy Załuskiej. Pierwsza z dróg wymagała od Ewy dużo cierpliwości. *Ommadawn* próbowała pokonać już w zeszłym roku. Niestety, jak sama relacjonuje, kluczowe ruchy pozostawały chwilowo poza jej zasięgiem. Przełomowy okazał się wyjazd do Rodellaru, podczas którego udało się jej poprawić wytrzymałość. Po powrocie, ku swojemu zaskoczeniu, pokonała trudności w ciągu i całkiem z rozpędu zrobiła drogę do końca. *Playboy*, choć o tej samej wycenie, według Ewy jest łatwiejszą, typowo babską i niezbyt ciekawą drogą. Miała możliwość porównać ją z *Porozmawiajmy o kobietach* VI.4+/5, które poprowadziła wcześniej i które jej zdaniem kosztowało ją dużo więcej wysiłku.

Niesamowitą ilość doskonałych przejść w minionym sezonie odnotowała również Janina Gmiter. Swoją moc udowodniła, pokonując w Ospie i Rodellarze ze znajomością aż pięć dróg o trudnościach 8a, a całość okrasiła dwiema ósemkami a z plusem *The Kings of Metal* i *Sierra de Guarras*. Nina nie poprzestała jednak wyłącznie na przejściach RP. Do całości należałoby jeszcze dodać świetne przejścia OS na poziomie 7b+.

Ola Stańczak swoim interesującym wykazem przejść pokazała, że we wspinaniu ceni nie tylko dobrą cyfrę, ale przede wszystkim różnorodność i możliwość zwiedzania różnych zakątków Europy, jaką daje wspinanie. W ostatnich dwóch sezonach Ola odwiedziła aż dziesięć różnych rejonów wspinaczkowych, z każdego przywożąc ciekawe przejścia. W szczególności należy wspomnieć o dwóch najlepszych przejściach RP: *Hot Knife o Spoots* 7c+ w Siuranie oraz *Parfum d'Orient* 7c w Briançon, a także on sight-ach na poziomie 7a+. Przy czym w kwestii OS-ów w Rodellarze Ola wyraziła ciekawą opinię, o której warto napisać. Uznała, że ze względu na powieszone na stałe, na wielu drogach ekspresy, a także ewidentne ślady magnezji ciężko mówić o prowadzeniu bez znajomości. Z drugiej jednak strony, nie jest to także typowy flash, gdyż nie posiada się informacji na temat drogi. Przychylam się zatem do jej propozycji, aby opisać to po prostu, jako pierwsza próba.

Kolejny sezon swój wysoki poziom wspinaczkowy prezentuje Marysia Karpiłowska (Maciszewska), która przywiozła z Frankenjury dwie dziewiątki minus (*Maßarbeit*, *Zugabe*), a już po tygodniu od powrotu z Niemiec poprowadziła także *Pieśń Niepokorną* VI.4/4+. Świetną formę podtrzymuje również Karolina Gurba, która w ostatnich dwóch sezonach uzbierała całkiem pokaźną liczbę VI.4. Ponadto w sezonie 2010 dorzuciła do tego *Warszawskie lekcje* VI.4/4+, a rok później *Katarza* 7b+/c w słoweńskim Kotečniku.

Ostatnie dwa sezony przyniosły wiele niezwykle ciekawych przejść z najwyższej półki. Poziom wspinaczkowy w klubie rośnie z roku na rok! Osobiście muszę przyznać, że to naprawdę świetna sprawa pisać o tak niesamowitych osiągnięciach wspinaczkowych członków KW Warszawa. To całkiem miły środek dopingujący! Zatem wszystkim wyżej wymienionym należą się szczere gratulacje i cóż… Czekamy na więcej! ■

Olek Romanowski podczas zawodów Bloco Open.
Fot.: Wojtek Ryczer.

Mirosław Baćmaga
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Skalne Sztafety VI.5 PP
Montokwas 212 VI.5 PP

Mariusz Bartosiewicz
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Ommadawn Direct VI.5 RP
Rzuty osobiste VI.5 RP
Niemyte dusze VI.4+ RP
Supernowa VI.4+ RP
Wódko Pozwól Żyć VI.4+ RP
Cuenca, Hiszpania:
La Rubia del Bar 7C RP

Dominik Bokowy
Céüse, Francja:
Carte blanche 8a RP
Le privilege du Serpent 7C+ RP
Vagabond d'Occident 7C FL
Mišja peč, Słowenia:
Samsara 8a RP

Marcin Bończa-Tomaszewski
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Ommadown Direct VI.5 RP
Janówek:
kilka bulderów do VI.3+/4

Agnieszka Cudna-Ryczer
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Niemyte dusze VI.4+ RP
Ommadawn direct VI.5 RP
Mišja peč, Słowenia:
Hugolina 7b+ RP
Tortuga 7b RP

Janina Gmiter
Siurana, Hiszpania:
Hot knife o spoots
(entrada directa) 7C+ RP
Céüse, Francja:
Blocage violent 7b+ RP
Corps etranger 7b+ RP
Queue de rat 7b+ RP

Vagabond d'occident 7C RP
Berlin 7C RP
L'errance d'une passion 7C RP
La chose 7C RP
Le privilège du serpent 7C+ RP
Mirrage 7C+ RP
Makach Walou 7C+ RP
Osp, Słowenia:
Hugolina 7b+ OS
Matamaros 7C RP
Hobbit 7C/C+ RP
Hugo 7C/C+ RP
Preobrazba 7C+ RP
Rock'n Roll 7C+ RP
Corto 8a RP
Samsara 8a RP
Rodellar, Hiszpania:
Caprichos de Lujuria 7b FL
Afina con Cristina 7b FL
Gran Pablo 7b FL
Gavachovinista 7b FL
Aquest any si 7b+ OS

Pince sans Rire 7b+ OS
Iron man 7b+ FL
La cena de isidoro 7b+ RP
Sayonara Baby 7b+/7c RP
La Piton 7c RP
Egocentrismo 7c RP
No limit 7c+ RP
Tragaldabas 7c+ RP
Gracias fina 8a RP
Lola 8a RP
El corridor de La muerte 8a RP
The Kings of Metal 8a+ RP
Sierra de guarras 8a+ RP

Karolina Gurba
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Kubanka VI.4 RP
Lekcja Tańca VI.4 RP
Strzał w dziesiątkę VI.4 RP
Mandolina Ogiera VI.4 RP
Warszawskie Lekcje VI.4/4+ RP
Kotečnik, Słowenia:
Narobe Svet 7b–
Katarza 7b+/7c
Mišja peč, Słowenia:
Tortuga 7b
Runo 7b+

Kuba Wasilewski na *Les Chacals* 8b w Rodellar.
Fot.: Michał Brzeziński.

Maria Karpiłowska
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Pieśń Niepokorna VI.4/4+ RP
Frankenjura, Niemcy:
Maßarbeit 9– RP
Zugabe 9– RP

Szymon Marciniak
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Snowbird Hero VI.5+ RP

Rafał Pawiński
Mišja peč, Słowenia:
Minulet 7b+ OS
Hobbit 7c FL
Johanova 7c RP
Matamoros 7c RP
Samsara 8a RP
Corto 8a RP
Iglu 8a RP
Giljotina 8a RP
Chiquita 8a RP
Sonce v očeh 8a+ RP
Mrtvaški Ples 8b RP
Rodellar, Hiszpania:
Maria ponte el arnes 7b+ OS
Aquest any si 7b+ OS
Pince Sans Rire 7b+ OS
Los Cocoteros 7b+ OS
La Piton 7c OS
Egocentrismo 7c OS
El Delfin 7c+ RP
Gracias Fina 8a RP
Ceredo, Włochy:
Petra 7b+ OS
Todra, Maroko:
Muswoszi 7c+ RP
Ornitololo 7c+ RP
Margallef, Hiszpania:
Pollastre de granja 8a RP
Tarn, Francja:
Le Chemin des Nuages 7b+ OS
Les Couilles au Cul 7b+ OS
Gege de ma Parole 8a+ RP

Sella, Hiszpania:
Mediterraneo 8a FL
Celia 8a RP
Watermark 8a RP
Ergometria 8a RP
Dimension diamante 8a+ RP
La forqueta del Diablo
o Romocop 8a+ RP

Aleksander Romanowski
Top Side, RPA:
In Search of the New Sound 8b
Cthulhu 8a+ (7c+)
Black hawk down 8a+
Mintberry Crunch 8a
Cpt Graffiti 8a
Marlboro man low start 8a FA
Secret leapon 8a FA
Cpt handsight orthodox 7c+ FA
Cape of good dope 7c+ FA
Das Boot 7c FA
Chironico, Szwajcaria:
Le pillier 8a
Zawody:
I miejsce na MP w bulderingu 2010
I miejsce w PP w prowadzeniu
w Bielsku 2011
II miejsce
na mistrzostwach Czech 2010
II miejsce w PP w boulderingu
w Tarnowie 2011
III miejsce w klasyfikacji generalnej
PP w bulderingu 2010

Wojtek Ryczer
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Niemyte Dusze VI.4+ RP
Ommadawn Direct VI.5 RP
Osp, Słowenia:
Hugolina 7b+ RP
Figa 7b+ RP

Jan Sokołowski
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Snowbird hero VI.5+ RP

Koniec wyścigu VI.5+ RP
Rzuty osobiste VI.5 RP
Kuchar z la Manczy VI.5 RP
Władca pierścieni VI.5 RP
Maratończyk na krzywy ryj VI.5 RP
Atak glonów I VI.5 RP
Krytyka czystego rozumu VI.5 RP
Maraton filmowy VI.5 RP
Magnum VI.5 RP
Origami VI.5 RP
Porozmawiajmy o kobietach VI.4/5 RP
Perpetuum mobile VI.4 OS
Science fiction VI.5 RP
Powitanie wiosny VI.5+/6 RP
Kaprys bogów VI.5/5+ RP
Aleja zasłużonych VI.5+/6 RP
Hiszpański karawan VI.4+ FL
Archaiczne techniki ekstazy VI.5+/6 RP
Droga między dziupelkami VI.6 RP
Oferta specjalna VI.4 OS
Charitka VI.5+ RP
Potęga trójkątów VI.6+ RP
Sella, Hiszpania:
El gremio 7c+ RP
Tirali valent 8a+ RP
Watermark 8a RP
Cuenca, Hiszpania:
La rubia del bar 7c RP
El pulidor de estrellas 8a RP
Orpierre, Francja:
Le guerrier pacifique 7b+ OS
Et toi, qu'as-tu fais? 7b+ OS
Frankenjura, Niemcy:
Lonestar 9– OS

Ola Stańczak
Terradets, Francja:
Jam session 7b RP
Deribos Arias 7b+ RP
Montserrat, Hiszpania:
Discordia 7b RP
Margalef, Hiszpania:
Txula hop 7a+ OS
O'Margalef 7b RP
Montgronyeta 7b+ RP

Siurana, Hiszpania:
Gamba-gamba 7b RP
Decidit en petit comite 7b RP
El prado del rey 7b+ RP
Hot knife o Spoots (entrada directa) 7c+ RP
Céüse, Francja:
Angel dust 7a+ OS
Melody Nelson 7a+ OS
Super Mickey 7b RP
Blocage violent 7b+ RP
Briançon, Francja:
Is anyone home? 7a+ OS
Gugus, tube de l'annee 7b OS
Bossa Nova 7b FL
L'arete des Burssiasses 7b RP
Yvan colonnette 7b RP
Le cauchemard du boudin perce 7b+ RP
Parfum d'Orient 7c RP
Todra, Maroko:
Tortuga 7b RP
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Gorące łapki VI.3+ FL
Rodellar, Hiszpania:
Coco Loco 7a+ pierwsza próba
Afina Con Cristina 7b RP
Pince Sans Rire 7b+ RP
Aquest Any Si 7b+ RP
Iron Man 7b+ RP

Kuba Wasilewski
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Powitanie Wiosny VI.5+/6 RP
Aleja Zasłużonych VI.5+/6 RP
Ommadown Direct VI.5 RP
Murarz VI – Reaktywacja VI.5 RP
Drwal Anonim VI.5 RP
Rodellar, Hiszpania
Les Chacals 8b RP
Via Viciosa 7c+ RP
Tarn, Francja
Little Big Boss 8a RP
Action Discrette 7c RP
Le plasir qui demonte 7c RP
Alquezar, Hiszpania:
El mentor 7c+/8a RP
El quijote mix 7c/c+ RP
Moko Roto 7c RP

Ewa Załuska
Jura Krakowsko-Częstochowska:
Kubanka VI.4 RP
Lekcja Tańca VI.4
Krakowski Spleen VI.4
Strzał w dziesiątkę VI.4
Warszawskie Lekcje VI.4/4+
Niemyte Dusze VI.4+
Sny o Potędze VI.4/4+
Ommadown Direct VI.5
Będkowski Playboy VI.5
Sperlonga, Włochy:
Jeremy's Fun 7b RP

Marcin Zieliński
Alquézar, Hiszpania:
Quijote mix 7c/c+ RP
Rodellar, Hiszpania:
Maldito orgullo 7c RP
Tragaldabas 7c+ RP
De 8 a 14 7a+ OS
Abrete sesamo 7a+/7b FL

Marcin Bończa-Tomaszewski na jednym z janówkowych baldów.
Fot.: Michalina Bończa-Tomaszewska.

Artur Paszczak

EPITAFIUM DLA SNU

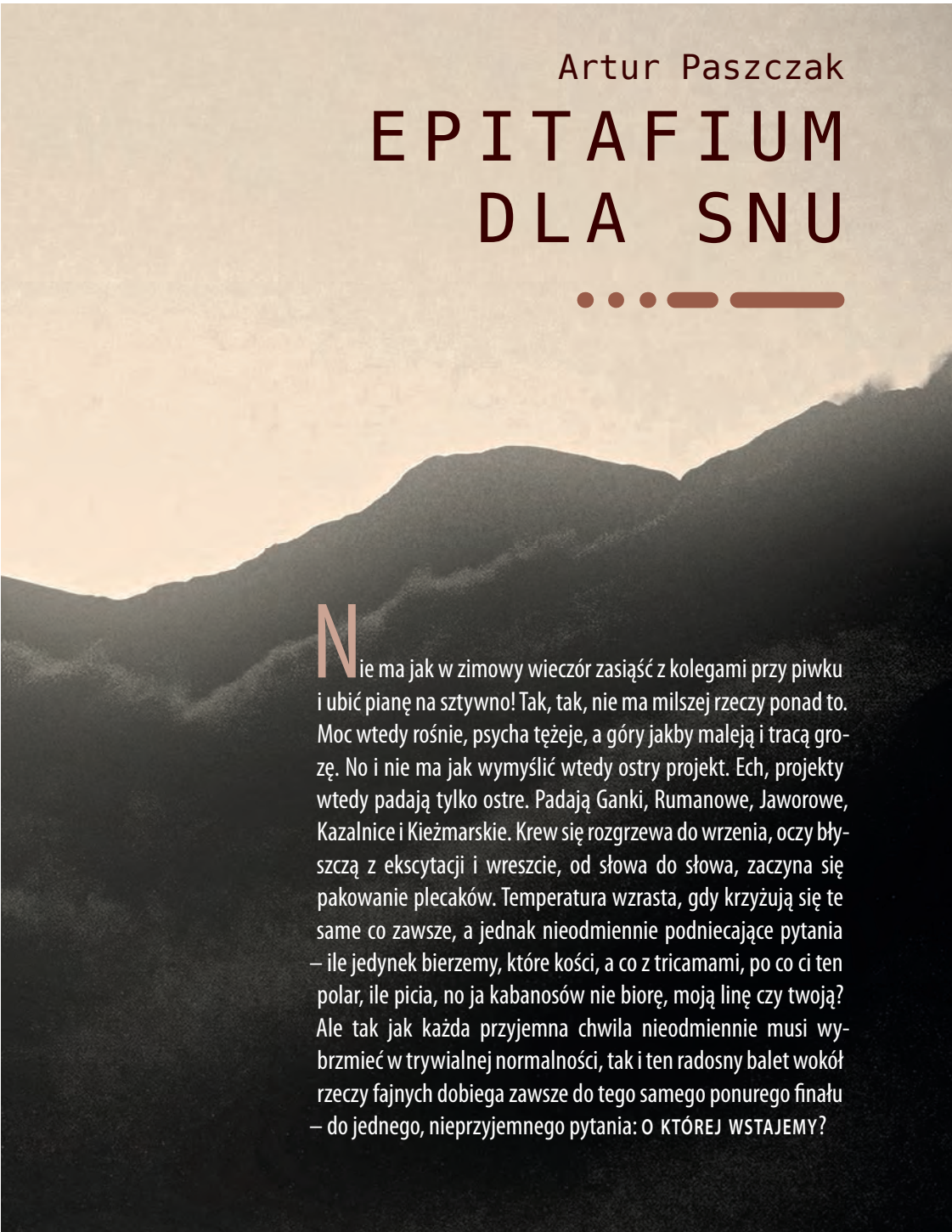

Nie ma jak w zimowy wieczór zasiąść z kolegami przy piwku i ubić pianę na sztywno! Tak, tak, nie ma milszej rzeczy ponad to. Moc wtedy rośnie, psycha tężeje, a góry jakby maleją i tracą grozę. No i nie ma jak wymyślić wtedy ostry projekt. Ech, projekty wtedy padają tylko ostre. Padają Ganki, Rumanowe, Jaworowe, Kazalnice i Kieżmarskie. Krew się rozgrzewa do wrzenia, oczy błyszczą z ekscytacji i wreszcie, od słowa do słowa, zaczyna się pakowanie plecaków. Temperatura wzrasta, gdy krzyżują się te same co zawsze, a jednak nieodmiennie podniecające pytania – ile jedynek bierzemy, które kości, a co z tricamami, po co ci ten polar, ile picia, no ja kabanosów nie biorę, moją linę czy twoją? Ale tak jak każda przyjemna chwila nieodmiennie musi wybrzmieć w trywialnej normalności, tak i ten radosny balet wokół rzeczy fajnych dobiega zawsze do tego samego ponurego finału – do jednego, nieprzyjemnego pytania: O KTÓREJ WSTAJEMY?

Pytanie to zawsze wytrącało mnie z równowagi. Kradło radość i niosło w sobie przygnębiającą zapowiedź całej tej sfery, która niestety dopełnia wspinanie o znój i przykrości. A z której największą, najboleśniejszą i najbardziej zniechęcającą jest owo przekleństwo wszystkich wspinaczy – poranne wstawanie. Albo gdzież tam poranne – wstawanie w środku nocy, na przekór ludzkiej godności i uświęconemu przyzwyczajeniu. „O której…?".

Zaczynają się negocjacje. Maksymaliści, albo też desperaci, zaczynają zazwyczaj licytację od „nie kładźmy się w ogóle". Raz czy dwa, owszem, próbowałem i tego. Da się, kto wie, może nawet jest to lepsze niż wstawanie o drugiej? Tylko że to wyłażenie w noc, w wichurę i mróz jest takie niehumanitarne. Naprawdę – trzeba nienawidzić siebie, aby fundować sobie takie traktowanie. A jednak bywało, że trzeba było i tak. Kiedyś przemyślenia na ten temat doprowadziły mnie do zaskakującego wniosku, że jeśli planować 24-godzinną akcję, to lepiej zaczynać ją wieczorem. No bo pomyślmy – jeśli już trzeba wspinać się w nocy, to lepiej w nocy zacząć, a skończyć w dzień! A nie fundować sobie dwie noce, prawda? I kiedyś nawet namówiłem na takie działanie Stacha Piecucha. O godzinie 21 dziarsko „zamelidowaliśmy się" (jak mawiała moja kochana babcia) pod Czokiem, ale wtedy, jak w sam raz, ani Stachowi ani mnie nie udało się oderwać od ziemi. Cienka glazurka, pięknie błyszcząca w świetle latarek, pokrywała całą ścianę i zwyczajnie wysłała nas do domu. Więc nie wiem, jakby to było z tym startem wieczorem, teoria pozostaje niesprawdzona. Dajcie znać jak wypróbujecie.

No więc jeśli partia maksymalistów jednak zostanie przegłosowana, pozostaje kwestia negocjacji godziny. Tu pojawiają się zasadnicze rozbieżności pomiędzy zwolennikami wchodzenia w ścianę o brzasku albo, co gorsza, po nocy – czyli panikarzami, a zwolennikami niezbywalnej ludzkiej godności, którzy uważają, że lepiej się wyspać i widzieć, gdzie się idzie, a po nocy to ewentualnie wracać. Są tacy, co uważają, że wspinaczka zakończona „po jasności" jest do niczego. Coś w tym jest, bo nocny powrót kryje w sobie jakąś magię, a nawet, można by górnolotnie stwierdzić, spełnienie. Panikarze wszelako zazwyczaj łatwo nie odpuszczają, nie przekonuje ich nawet całkowicie naukowa Metoda Odliczania Wstecznego (w skrócie MeWO), zapewniająca odpowiedni margines bezpieczeństwa poprzez odpowiednie wyliczenie matematyczne. No i trzeba zawierać zgniłe kompromisy. Zazwyczaj negocjacje dotyczą godzin od drugiej do szóstej i w zależności od funkcji niepewności rośnie wektor niewyspania, a wskazówki zegara przesuwają się niebezpiecznie blisko północy. Tak czy inaczej decyzja w końcu zapada i pozostaje udać się do łóżka. Nie na spoczynek – celowo tak się wyrażam – tylko do łóżka. Zaczynają się zapasy snu ze strachem, nocy z porankiem, zmagania psychy ze zmęczeniem. W ruch idzie komórka i nieodzowny budzik. Wreszcie wpisana zostaje godzina „0", a na ekranie telefonu wyświetla się posępny komunikat:

„Budzik zadzwoni za 4 godziny 55 minut".

„Mało casu, kruca bomba" – myślisz sobie, ale cóż, przykładasz głowę do poduszki i postanawiasz zasnąć. Bo przecież trzeba się wyspać. No, wydaje się, że będzie dobrze, powieki opadają, oddech się wyrównuje, tętno maleje. „Ależ pan ma wspaniałe tętno" – zachwycała się zawsze pani doktor, co to mnie badała zanim jeszcze przejąłem sprawy w swoje ręce i – jak to ujął pewien mój niezawodny przyjaciel – samodzielnie pokierowałem swoim leczeniem. Kiedyś opowiadał Krosiek, że jak mu pewna Tybetanka badała puls, to zastygła w bezruchu, a potem wyszeptała: „Ci ti zijeś?". Tak, z naszych pulsów możemy być dumni, a w celu umocnienia tej dumy kupujemy sobie, nieraz bardzo drogie, elektroniczne pulsometry. Siwy dajmy na to, odkąd kupił sobie taki pulsometr, potrafi na przykład zadzwonić z informacją:

– Wiesz jakie miałem tętno, jak mi się chwyt urwał na *Kozaku-Badziewskim*?

– 200! – strzelam.

– Ha – triumfuje Siwy. – 220!

Albo idziemy sobie, Siwy, Tadzio i ja, doliną Białej Wody. Łydkę przyginamy jak się patrzy.

– Ile macie, bo ja 132 – rzucam kontrolnie.

– Ja 135 – odpowiada Siwy.

Tadziu na to wpada w stres:

– Chyba mam popsuty pulsometr – skarży się.

– 154 mi pokazuje! No niemożliwe to jest!

I tak oto jeszcze nie zaczął się wspinać, a już został pogrążony. My z Siwym wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia, a Tadziu rozpoczyna długotrwałe ćwiczenia oddechowe. Wreszcie po pół godzinie oznajmia:

– Noo, mam 130!

I gdy tak sobie pomyśliwasz, człowieku, czas nieubłaganie płynie, jak wszystko na tym bożym świecie, co zresztą zauważył pewien filozof, który też widocznie musiał wcześnie wstawać. I jak już wydaje się, że osuniesz się słodko w objęcia Morfeusza, nagle do pokoju wchodzi jakiś typ i zaczyna szeleścić torebkami. Albo wyciąga coś i zaczyna glamać. Albo ciumkać. Albo pije. Albo szuka szczoteczki i na przykład zapala światło. A jak zapali światło, to musicie wiedzieć – macie pozamiatane. Czytałem u mojego guru zdrowotnościowego doktora Mercoli, że jak się położycie i zgasicie światło, to zaczyna się wydzielać melatonina. Wydziela się, wydziela, i zaraz śpicie. Ale jak jakiś matoł, co nie ma o tym pojęcia, wejdzie i światło zapali, to „good bye Charlie", wydzielanie się kończy i już potem nieprędko zacznie. Czyli krótko mówiąc – dupa ze spania! Nie pomoże wściekłość i obsobaczenie cholernego egoisty, a humoru na pewno nie poprawi rzut oka na telefon:

„Budzik zadzwoni za 3 godziny 40 minut".

O żesz jasny gwint! Już ponad godzina minęła, a ty człowieku nie śpisz. Co za cholerny świat! Wzrasta desperacja, no teraz to już trzeba koniecznie zasnąć. Ledwo parę godzin zostało! No i wtedy, jak to często bywa, zaczynają na korytarzu gadać. I to akurat pod twoimi drzwiami. Że też w całym schronie akurat tu musieli cielska posadzić. Cholerna schroniskowa banda zwąca się twoimi kolegami. I weź tu ucisz takich, biedny człowieku! Możesz gadać *ad mortam fecalis*, bo koledzy zdążyli już opróżnić kilka butelek demianowki, a to, jak powszechnie wiadomo, skutkuje przytępieniem słuchu. Bywa jednak gorzej, na przykład kiedy grają na gitarze. Raz, pamiętam, jakaś bardzo pobożna grupa młodzieży wznosiła takie rzewne pieśni przy ognisku na taborze. Ale wtedy Młody, znaczy kolega Andrzej Machnik, wychylił się z Relaksu i ryknął:

– Ej, wy tam, a jakichś pogańskich kawałków nie znacie?!

Albo jeszcze lepiej – na przykład ostatnio zaczęli grać w ping-ponga. Leżysz sobie, próbujesz zasnąć, a tu „ping-ping, ping-ping", a co chwila „a, żesz ku...!". Masz teraz dwa wyjścia – korki do uszu (jak masz) albo wstać i obsobaczyć. Normalnie to by cię pewnie zignorowali, więc żeby odnieść efekt trzeba od razu zaznaczyć, że idziesz na „północną Rumoszowego" i chcesz się do cholery wyspać!

– O szajs! – widać jak Rumoszowy wywołał wrażenie.

– Jasne, jasne, przepraszamy!

I zaraz grzecznie się zwijają, choć jeszcze dopytują o której wstajesz, z kim idziesz – no więc odpowiadasz grzecznie, a tu oczywiście światło się świeci i melatoninę właśnie diabli biorą.

Z ulgą rzucasz się na wyro. Komórka, niestety, nie podnosi cię na duchu:

„Budzik zadzwoni za 3 godziny 15 minut".

Trzy godziny – myślisz fatalistycznie, no teraz to już na pewno się nie wyśpię! Ale, jak mawiają Rosjanie, próbować trzeba. No i jak już wydaje się, że zaśniesz, twój sąsiad z łóżka obok zaczyna pochrapywać. Z początku cicho, niegroźnie. „Usnę, zanim się rozkręci" – pocieszasz się. Ale nic z tego, przyjacielu. Oni, ci chrapacze, już tak mają, że zaczynają cicho, niepozornie, tonem wysokim i świszczącym, w którym co pewien tylko czas pojawia się basowa nuta. Ale złowróżbna ta nuta wplata się coraz częściej, aż w końcu, ku twojej rozpaczy, zaczyna się regularny koncert. A jak ich zaczynasz uciszać to się jeszcze oburzają, że przecież nie chrapią! Taki Duduś na przykład, jak się go pacyfikuje, to zachowuje się bardzo grzecznie, przeprasza i w ogóle, ale już na przykład Siekiera idzie totalnie w zaparte - nie tylko twierdzi, że nie chrapie, ale nawet że w ogóle nie śpi!

Pamiętam, jak kiedyś przyszliśmy do Moka ze Stachem i Siwym. Zapakowaliśmy się do miłego czteroosobowego pokoiku i hyc – do łóżek. I jak już wykładaliśmy rączki na kołderki, nagle rozległo się pukanie i zajrzała żona Stacha z obwieszczeniem:

– Chłopcy, ale Jurek to będzie z wami spał, dobra?

– i ulotniła się jak kamfora, śląc nam na pożegnanie uśmiech Mony Lizy.

Spojrzeliśmy na Jurka, i zaraz ja i Siwy wymieniliśmy porozumiewawcze spojrzenia: grubas! A grubas, wiadomo, będzie chrapał. Wszystkie grubasy chrapią, to jedno można uznać za pewnik (oprócz śmierci i podatków, jak wiemy). Wziąłem głęboki oddech:

– Jurek, słuchaj – zagaiłem. – A nie chrapiesz ty przypadkiem?

– Eee – machnął ręką Jurek. – Gdzie by tam!

– Na pewno?

– No, może troszkę…

Znowu wymiana spojrzeń z Siwym.

– To połóż się może na boku, co? Bo wiesz, my jutro na Kocioł idziemy.

Ale dla Jurka Kocioł jak w sam raz nic nie znaczył, więc efektu nie odniosłem żadnego. I oczywiście, nie minęło pół godziny (czy zaobserwowaliście jak chrapacze szybko usypiają? Oni zawsze usypiają przed nami żeby nas potem bezkarnie dręczyć!), a Jurek jechał już w najlepsze. Na basowo i altowo, jak nie przymierzając sekcja dęta orkiestry kameralnej Filharmonii Warszawskiej. Po jakichś dwóch godzinach męki, licznych pochrumkiwaniach i okrzykach „cicho!!!", zdjęty desperacją zwróciłem się do Siwego:

– Śpisz?

– Nie śpię – padła odpowiedź. – Jak tu spać? Muzy słucham.

Po kolejnej pół godzinie zaproponowałem:

– Ty, wstawajmy, i tak oka nie zmrużymy.

I tak wstaliśmy wtedy naprawdę wcześnie, jak prawdziwi hardmeni. Głowa mnie co prawda cały dzień bolała, ale koniec końców nawet dobrze wyszło, bo nas droga troszkę przytrzymała, a dzięki temu Siwy ostatni wyciąg trudności mógł jeszcze bez świeczki choć po części zrobić.

„Budzik zadzwoni za 2 godziny 10 minut".

Jak już wreszcie uda się zapanować nad tymi wszystkimi chrapaniami, szelestami, gadkami i zabawami (w Popradskim doszedł do tego szczekający pies – brakowało tylko niedźwiedzia grającego na trąbce), kiedy powieki już ciążą niemal ołowiane, pojawiają się, rzecz jasna, wizje górskich niebezpieczeństw. Jak one się pojawią – to już lepiej od razu wstawać, bo spania jak amen w pacierzu nie będzie. Żeby tego uniknąć, trzeba zastosować strategię izolacji. Bo oczywiście koledzy, słysząc, że idziesz na północną Rumoszowego, zaraz usłużnie podsuną:

– O kurde, to tam zginął Patysiak z Mocarnym!

– Jak to? – niepokoisz się, co chyba oczywiste, biorąc pod uwagę, że tam się właśnie wybierasz.

– Stary – zniżają głos koledzy. – Lot zespołu, dwójka bez sternika. Mokra plama...

– Taak, tam lekko nie jest – dodaje inny, bardzo doświadczony, i z poważną miną oddala się, cmokając i kręcąc głową.

Więc jak wysłuchasz takiej pogadanki, to jesteś ugotowany. Oczywiście oczy zamykasz i – co widzisz? – już nawet nie Patysiaka i Mocarnego, tylko siebie jak stoisz na sztancie, a tu partner leci, i brzdęk! – wypada wątłe stanowisko i ziuuuuu! – szybujesz do gleby. Zimny pot występuje na czoło, tętno oczywiście wzrasta, a dłonie robią się mokre. I stopy też – i jeszcze zimne do tego. Jak już masz te objawy – to pożegnaj nadzieję na spanie. Wstawaj od razu i natychmiast napieraj, żeby cię te zmory nie rozebrały do rosołu. Przypominam sobie, jak kiedyś wspólnie z jednym kolegą Wiesiem udaliśmy się pod Żorasy. Cholernie słabo się czułem, wlokłem się z tyłu, niedobrze mi było, zupełnie nie miałem aklimatyzacji. Za to Wiesio, nie wiadomo skąd, w podskokach i radośnie zaiwaniał jakby mu ktoś motorek przyprawił. Rozłożyliśmy się z biwaczkiem pod ścianą, no i ja zaczynam, że coś nie teges, brzuch mnie boli i głowa jakby, i że nie wiem, czy jestem w formie w sensie wspinania. Ale Wiesio obdarzony nagle jakimś nieziemskim przypływem psychy zbył moje wszystkie wątpliwości i zarządził powstanie o drugiej. Matko rodzona! – co ja przeżywałem na tym biwaku. Zmory i strachy szarpały moją wyobraźnię na strzępy (a wyobraźnię, dodam, mam bogatą), oka oczywiście nie zmrużyłem, aż w końcu wszcząłem modły (choć było to w czasach, gdy deklarowałem się jako agnostyk) o załamanie pogody. I nagle, o godzinie – jak dziś pamiętam – za piętnaście druga, o tropik namiotu zabębniły pierwsze krople. Zrazu delikatnie i niepewnie, ale po chwili już regularnym *staccato*, rzec by można z *adagio* do *allegro*. Ze ściśniętym niepewnością sercem wyjrzałem na zewnątrz – naprawdę padało! Padało na całego! Byłem uratowany. Z trudem maskując ulgę zwróciłem się do Wiesia:

– No, żesz w mordę, leje słuchaj! Szlag – by – to – trafił!

Poczym wspólnie oddaliśmy się kilkuminutowemu koncertowi narzekań na cholerną alpejską pogodę, która uniemożliwia nam śmiałe uderzenie i rozprawę z Żorasami. Szczęśliwy jak nigdy dotąd i bez żadnych wyrzutów, choć może nieco wewnętrznie upokorzony, wróciłem następnego dnia do Szamoniewa. Ale i ja już wkrótce wywarłem swą zemstę. Jak już poczułem się lepiej, zaproponowałem Wiesiowi Narożny. Ten sam Narożny, na który w sumie napierałem pięć razy, ale to miał być akurat dopiero trzeci. Ten pierwszy raz dobrze pamiętam, jak żeśmy z Żurkiem, zupełnie nieświadomi w co się pakujemy, ogłosili na kempie Pierre d'Orthaz, że tam idziemy. Siedział przy nas

pewien Angol, gość sympatyczny, który natychmiast się ożywił:

– Chyba nie na *Bonatti-Gobbi*? – wykrzyknął.

A my na to, że jak w sam raz na to. Angol wybełkotał coś na kształt „ożesztyranyboskie" i galopem udał się do swoich. Za parę minut przyszli całą grupą z siatką piwa. Zupełnie jak nie Angole zaczęli nas tym piwem częstować i dalejże opowiadać, jak to ich dwaj kumple w roku ubiegłym poszli na najstraszniejszą drogę jaką sobie można wyobrazić, dodam dla ułatwienia że chodziło o *Bonatti-Gobbi*, i że walczyli tam o życie, aż wreszcie w rozpaczy chyba rzucili się w dół razem ze sztantem i tylko cudem się zatrzymali, bo lina zawadziła o skalny cypel. No i że jak my tam idziemy to jesteśmy goście, co się zowie!

Jak możecie się zacząć domyślać, motywacja nieco nam osłabła, a noc obfitowała w pewne przeżycia duchowe. A poranek w przeżycia, powiedzmy sobie, somatyczne, to znaczy takie, które spychają alpinizm ekstremalny w alpinizm ekstrementalny, o czym nawet mój przyjaciel Piotr Narwaniec popełnił był literackie dzieło. Ale to jeszcze było nic, najlepsze przyszło, gdy wygramoliliśmy się na przełęcz Trident (wtedy stał tam schron Ghiglione, wygodniejszy od Furche'a). Akurat chmury spowijały całą ścianę Brenvy, więc stałem i patrzyłem czekając na Żurka i Alicję, aż tu nagle chmury się rozstąpiły i ukazał się on – Narożny. I reszta tej dość słabo, przyznajmy, wyglądającej okolicy, tj. Peuterejka i Brenva. Całość sprawiała wrażenie, że tylko kompletny kretyn albo samobójca mógłby chcieć tam pójść. Szczęka opadła mi do moich fioletowych scarp. Żurka też z lekka przytkało i pamiętam, że cały wieczór skrzętnie omijaliśmy temat drogi *Bonatti-Gobbi*. Przyszła noc, podczas której nie zmrużyliśmy oka. Nie będę opisywał, przez wzgląd na mój górski wizerunek, tego co działo się dalej. W każdym razie wróciłem cały i zdrowy (choć sporo wcześniej niż planowałem) w czułe objęcia ukochanej, a piętno kotła Brenvy odcisnęło się trwale w mojej psychice. No i właśnie owego dnia z Wiesiem, panowałem nad swoją psychą jak nigdy przedtem ani potem. Stanąłem ponownie na przełęczy i jakiś głos (a nie był to Wiesio) powiedział mi: „Paszczu – jutro będziesz nieśmiertelny. Nie pękaj tylko napieraj". I naprawdę tak się poczułem, szczególnie, że było to już drugie doświadczenie transcendencji na tym wyjeździe. A Wiesio wiercił się nerwowo, najwyraźniej jego transcendencja nie dotknęła, i to jego tym razem brzuch pobolewał i głowa też. Obserwowałem to z małostkową satysfakcją. Ach, jakże podły jest człowiek, jakie pokłady nikczemności zalegają ciemne zakamarki jego duszy! Mam nadzieję, że Wiesio wybaczy mi te wstrętne uczucia, ale wówczas – co tu kryć – miałem z tego zabawę. Na pryczy Wiesio rzucał się strasznie i ciężko wzdychał. Wiecie jak – jak człowiek który nie chce iść, ale nie ma się jak wykręcić. Krótko mówiąc – jak człowiek kładący głowę pod topór.

Tamtej nocy zasnąłem snem sprawiedliwego, ale niestety już o 12 obudzili mnie Franole wychodzący na Brenvę. Kiedy o drugiej wyszliśmy na lodowiec, oni już wracali, krzycząc przeraźliwie „zawracajcie, urwał się serak" czy coś tam i że nie ma przejścia. Wiesio nagle poweselał, zupełnie jak ja pod Żorasem, ale nie wiedział biedak, że ja na ten dzień otrzymałem przecież immunitet!

– Nie martw się Wiesiu – poklepałem go. – Dziś jesteśmy nieśmiertelni!

I udałem się w kierunku tej potwornej czarnej dziury ziejącej w ziemi, którą nazywają Kotłem Brenvy. Biorąc pod uwagę dalszy przebieg wydarzeń moje oświadczenie nie okazało się być bez pokrycia, ale to już opowieść na inną okazję.

Zdarzyło mi się raz przynajmniej, że to ja zadałem bobu innym. Było to w tym samym schronie Ghiglione, a chodziło akurat o dwóch Teutonów. Mieli pewne siebie miny, kolorowe ubranka i tym swoim tonem lekkiej wyższości poinformowali nas, że idą na *Divine*.

– Ho, ho! – pokręciłem głową – Nie przelewki, widzę. Poważna rzecz, wiem coś o tym... – i zająłem się garami.

Zarzucony haczyk nie kazał długo czekać. Krzyżacy powiercili się trochę, ale w końcu nie wytrzymali:

– A co, byłeś?

Śmieszna historia, ale akurat naprawdę myślałem wtedy, że te kilka wyciągów, które zrobiłem kiedyś zapchawszy się po nocy to było *Divine*. Dopiero po latach Wiesio Madejczyk oświecił mnie, że to co brałem, na podstawie swego przewodnika, za dół *Divine*, to był idący płytami *Lafaille*, a dół *Divine* jest zupełnie łatwy. Ale wtedy tego nie wiedziałem i zapodałem Krzyżakom mrożącą krew w żyłach historię o trudnych płytach w stopniu co najmniej 6b, zupełnie pozbawionych asekuracji, o słabych stanowiskach i spadających na łeb kamiennych lawinach.

– No, ale tacy goście jak wy na pewno przebiegną to „in no time" – zakończyłem, poklepując ich kordialnie po plecach.

Teutoni długo siedzieli w milczeniu, spoglądając tępo przed siebie. Wreszcie jeden z nich wstał, westchnął ciężko i powiedział:

– *Fuck*, chciałbym być już w domu i oglądać swoje slajdy...

Następnego dnia, a właściwie nocy, natknęliśmy się na nich (my to znaczy Alicja, Kolumb i ja), mantykujących na Col Moore. Siedzieli i wpatrywali się w tę przerażającą otchłań piekieł, do której należy wejść, aby udać się na Narożny. My też usiedliśmy, niepewni, czy aby nie jest za ciepło na naszą Ostrogę. I nagle, w ciszy przerywanej tylko hurgotem kamiennych lawin, padły pamiętne słowa:

– Brenva *oder zurick!*

Kolumb natychmiast zaczął pękać ze śmiechu, bo człowiek był z niego wesoły:

– Jaka Brenva – krztusił się. – Grand Pillier d'Angle! Divine Providence! *Go! Go!*

Szydził bezlitośnie, aż mi się biednych Krzyżaków żal zrobiło, no ale taki już los mołojecki. Zawinęli się wściekli, i wbili biegiem niemal w Brenvę. Myśmy też się wbili, pół godziny później, Kuluarem Güssfeldt'a, od prawej i naturalnie ich wyprzedziliśmy. Trzeba by wam było zobaczyć ich miny, gdy wyłonili się ze skalnego uskoku i zastali nas siedzących radośnie na śnieżnej grani. Jeden to się mało ze złości nie udławił, oczywiście na widok Kolumba, który wesoło się do nich uśmiechał i jakby mimochodem, niechcący, wskazywał czekanem Wielki Filar Narożny.

I wszyscy dobrze wiedzieli, o co mu chodziło!

„Budzik zadzwoni za 55 minut".

Jeśli masz odrobinę rozsądku, to po tym komunikacie powinieneś wstać. I położyć kres tej nierównej walce. Jak powiedział pewien uczeń mamy Huga: „W końcu Balladyna zakończyła dzieło Słowackiego swoim zabiciem przez piorun". Więc jeśli masz krztynę szczęścia, a niebiosa nieco choć litości, wyjrzysz na dwór i zobaczysz dupówę. Wtedy zalegniesz z powrotem w ciepłym łóżku i – gwarantuję – uśniesz jak dziecko. Rano będziesz, rzecz jasna, narzekał i wściekał się na szajsowatą pogodę, ale to już należy do tradycją uświęconego taternickiego repertuaru . Twój pech, jeśli na dworze (albo na polu, jak mówią w Małopolsce) wesoło migotać będą gwiazdy. Lepiej sprawdź to zawczasu, bo raz zdarzyło mi się, że wstałem, napchałem się z kolegą kleikiem mleczno-ryżowym (a jadalnia zapełniła się w tym czasie co najmniej pięcioma jeszcze zespołami) po czym otwarłszy drzwi stwierdziłem że… pada! Z głupimi minami wpatrywaliśmy się w siebie, pytając: to nie sprawdziłeś? Jakoś każdy myślał, że to ten drugi… Jednak tę przykrość z nawiązką wynagrodził nam wyraz twarzy naszych kolegów z jadalni, gdy im oznajmiłem:

– No jak, koledzy, śniadanko smakowało? To możecie wracać do łóżek. Leje!

A jeśli jednak pomimo wszystko nie wstaniesz, to masz jeszcze szansę zasnąć na te parę ostatnich minut, po to tylko, żeby cię twój budzik mógł brutalnie zbudzić. Bywało, że to właśnie mi się przytrafiało na sam koniec. I zawsze przed tą chwilą, kiedy udręczona głowa spada wreszcie na poduszkę, pojawiają się myśli – po jaką cholerę mi to wszystko? Po co tak się męczyć? Nie lepiej wstać później, zjeść godnie śniadanko, pójść gdzieś blisko, nie wystawiać cennego organizmu na szwank i ryzyko? Co jest w tych górach, że warte są takich cierpień? Ale tego odwiecznego dylematu alpinisty nie da się rozwiązać na moment przed zaśnięciem. Lepiej już pozwolić nieść się fali zdarzeń, albo zwyczajnie posłuchać mądrzejszych od siebie.

Raz zabrałem córę w skałki, w Sperlondze. Podeszliśmy stromym piarżyskiem pod ścianę, a tu nagle, bez ostrzeżenia, rozpętała się burza. Nie było się gdzie schować, więc okryłem nas płachtą od liny i skuliliśmy się pod jakimś występem. Lało zdrowo, wiatr szarpał tkaniną, trzęśliśmy się oboje z zimna. I wtedy, szczękając zębami, Anielka spojrzała na mnie przeciągle i głosem pełnym wyrzutu powiedziała:

– No i masz, tato, te swoje ukochane góry!

Tak więc słodkich snów, przyjaciele!

Słodkich snów, nim znów przyjdzie wam wstać w te wasze tak hołubione pagóry! ■

Kilka niewzruszonych przekonań

Że jak nie lało przedwczoraj, wczoraj i dziś, to nie przyleje jutro.
Że kierowca busa na Palenicę wyda resztę z dwudziestu złotych.
Że ten „niezbity ślad ludzkiej obecności" to złudzenie optyczne.
Że blondynkom wciąż zimno, brunetkom ciepło, a rude grzeją.
Że jak lało przedwczoraj, wczoraj i dziś, to nie przyleje jutro.
Że raki zostawione wieczorem przed jamą będą tam rano.
Że o dziewiątej pod Staszlem jeszcze nie będzie nikogo.
Że natura wyklucza przewieszony piarg, trawki i błoto.
Że na schemacie „VI+ krucho!" dotyczy drogi obok.
Że ten „telewizorek" ma więcej niż jeden program.
Że ktoś już przecież, kurnia, wyciął to przed nami.
Że da się objechać ten kamol z obu stron naraz.
Że pod drzwiami klozetu będą wolne miejsca.
Że niebieskie śpiwory nie rzucają się w oczy.
Że te kapustové halušky to nie mrożonka.
Że się z tej dziurki wytargam na szpona.
Że Tuzemsky Um leczy ukąszenie żmii.
Że znajdziemy pod ścianą wracając.
Że ten mechanik zapracuje w bok.
Że platfus pomaga na rajbungach.
Że dziewczyna zabrała czołówkę.
Że goreteks jest nieprzemakalny.
Że liny starczy akurat do półki.
Że skrajny jednak najlepszy.
Że już tylko jeden wyciąg.
Że już wszystko zleciało.
Że zjazdy rozgrzewają.
Że to ty chrapiesz.
Że zdążymy.
Że to wszystko do dupy.

Jan Gondowicz

Zaczynamy atak, strasznie wieje i zimno, ale jeszcze coś widać.
Potem widoczność była zerowa.
Fot.: Tomasz Kowalski.

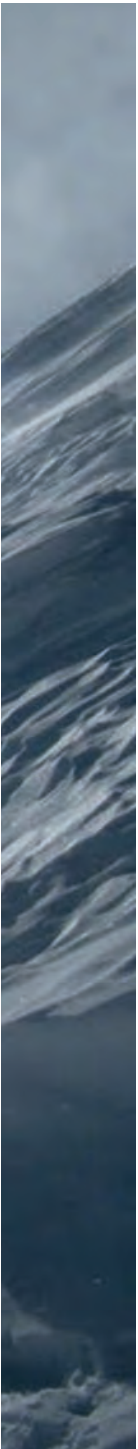

Tomasz Kowalski

O JEDEN SZCZYT DO ZWYCIĘSTWA

Śnieżna pantera przeciętnemu turyście kojarzy się jedynie z drapieżnikiem z rodziny kotowatych, żyjącym gdzieś wysoko w górach. Dla alpinisty Śnieżna Pantera to trofeum przyznawane za zdobycie pięciu siedmiotysięczników byłego ZSRR. Bardzo prestiżowa nagroda, którą pochwalić się mogą jedynie doświadczeni wspinacze. Skolekcjonowanie tych pięciu szczytów zajmuje z reguły kilka sezonów, lat. W zdobywaniu Śnieżnej Pantery ustanawiane są jednak co raz to nowe rekordy. Kto wejdzie więcej razy na wszystkie pięć szczytów (rekordzista zrobił to osiem razy!)? Kto jest najstarszym kolekcjonerem, kto najmłodszym? Kto zdobył je w zimie, kto wszedł na nie nową drogą? Czy wreszcie kto zdobył je wszystkie najszybciej? W 1999 roku wybitny kazachski alpinista Denis Urubko wraz z Siergiejem Molotovem zdobył Śnieżną Panterę w ciągu 42 dni.

Od góry:

Tam bedziemy wchodzić!
Fot.: Tomasz Kowalski.

Pełni energii na atak!
Fot.: Tomasz Kowalski.

Szczyt Piku Lenina.
Fot.: Tomasz Kowalski.

Postanowiłem zmierzyć się z tym rekordem. Projekt mojej wyprawy otrzymał Nagrodę im. Andrzeja Zawady na Festiwalu Kolosy w marcu 2011 roku przyznawaną młodym alpinistom na przyszłe przedsięwzięcia. Dzięki takiemu wsparciu finansowemu mogłem zrealizować moje dosyć ambitne marzenie. Nie byłem wówczas przekonany, czy moje, mimo wszystko, niemałe górskie doświadczenie jest wystarczające do realizacji tak trudnego przedsięwzięcia. Do tego czasu na organizację całej wyprawy miałem naprawdę mało.

W trakcie trzech miesięcy musiałem pogodzić pracę, treningi, szkolenia z dotacji unijnych (w tym samym czasie planowałem otworzyć własną działalność gospodarczą), szukanie sponsorów, organizację całej logistyki, skompletowanie zespołu i sprzętu. Drugiego lipca wyjechałem z Polski w atmosferze totalnego chaosu, stresu i dezorganizacji. Nie udało mi się znaleźć nikogo do wzięcia udziału w całej wyprawie. Na pierwszy jej etap, Pik Lenina, towarzyszyć mi miała jedynie moja partnerka Agnieszka Korpal. Cała reszta wyprawy stała pod wielkim znakiem zapytania. Przyjąłem taktykę „co będzie, to będzie".

Pik Lenina mylnie jest uważany za jeden z najłatwiejszych szczytów siedmiotysięcznych. To sprawia, atakują go rzesze, często niedoświadczonych alpinistów. Z tego powodu wypadki nie są tu rzadkością, a procent wejść szczytowych w stosunku do atakujących górę alpinistów wynosi jedynie 10%! Szczyt nie jest trudny technicznie, ale narażony na lawiny, a drogę normalną w jej dolej części przecinają liczne szczeliny.

Sam atak szczytowy wiedzie długą na kilka kilometrów i wyczerpującą granią. Akcja górska na Piku Lenina zajęła nam 19 dni. Dzięki tak długiemu okresowi przebywania na wysokości mój organizm mógł dostatecznie się zaaklimatyzować. To pozwoliło mi potem na szybsze wejścia w stylu alpejskim na kolejne szczyty.

W każdym z obozów spędziliśmy przynajmniej trzy noce, łącznie z najwyższym – trzecim na 6100 m. Pierwszy atak szczytowy podjęliśmy 20 lipca. Z powodu niskiej temperatury i bardzo silnego wiatru dosyć szybko zapadła decyzja o odwrocie. Agnieszka zrezygnowała z kolejnej próby ataku. Ja podejmuję kolejną następnego dnia, mimo nadal silnego wiatru. Po pięciu i pół godzinie melduję się pierwszy tego dnia na szczycie. W zejściu spotykam polski zespół z grupy komercyjnej, który również osiąga szczyt, ale cały atak zajmuje im ciężkie 21 godzin! Następnego dnia schodzimy już do obozu I, a następnie do basecampu i opuszczamy Pamir Kirgiski.

Z powodu sytuacji politycznej nie mogłem przekroczyć granicy z Tadżykistanem, aby dotrzeć do oddalonej o zaledwie 80 km bazy pod Pikiem Korżeniewskiej i Pikiem Komunizma. Musiałem wrócić samochodem do Osh, następnie lecieć do Biszkeku, skąd lotem międzynarodowym dostać się do Duszanbe i stamtąd samochodem do bazy helikopterowej w Jirigital. Ponad 2,5 tysiąca kilometrów naokoło! Agnieszka wróciła do Polski, a ja samotnie ruszyłem w Pamir Tadżycki.

Już następnego dnia po wylądowaniu śmigłowcem w bazie głównej ruszyłem w stronę Piku Korżeniewskiej. Ponieważ był to początek sezonu, w wielu miejscach nie zostały jeszcze założone poręczówki i nadal leżało sporo śniegu. Dodatkowo codzienne opady zasypywały nieliczne jeszcze ślady. Na atak szczytowy ruszyłem samotnie z obozu III, który osiągnąłem drugiego dnia wspinaczki po kilkugodzinnym torowaniu szlaku. Udało mi się dogonić zespół rosyjski, by po 6 godzinach i 27 minutach zameldować się na szczycie Piku Korżeniewskiej jako czwarta osoba w tym sezonie. Z trzema osobami, które weszły przede mną, będę potem zdobywał Pik Komunizma.

W zejściu natrafiłem na rozmoknięty śnieg i wielokrotnie obsuwałem się z małymi lawinkami awaryjnie hamując czekanem. Cała akcja na Piku Korżeniwskiej zajęła mi 3,5 dnia.

Na Pik Komunizma wybrałem się, tak jak wspomniałem z tegorocznymi zdobywcami Piku Korżeniwskiej, Denisem z Kazachstanu (z którym stworzyliśmy dwójkę) oraz Serge'em z Francji i Siergiejem z Kirgistanu (druga dwójka). Poszliśmy drogą normalną przez Żebro Borodkina oraz Pik Duszanbe. Wyszliśmy z bazy z zamiarem sześciodniowego ataku. Całą trasę byliśmy zmuszeni torować, a wynajdywanie drogi pomiędzy serakami nie zawsze jest ewidentne. Drugi dzień to dojście do Wielkiego Pamirskiego Plato, przejście szczeliny brzeżnej i założenie obozu przed wejściem na grań Piku Duszanbe. Trzeciego dnia doszliśmy dosyć szybko mimo torowania w głębokim śniegu do wysokości ok. 6800 m i wykopaliśmy platformę na dwa namioty. Następnego dnia (8 sierpnia) atakujemy szczyt.

Warunki znacznie się pogorszyły. Bardzo silny wiatr, słaba widoczność, która w dalszej części dnia spadła do kilku metrów i niska temperatura. Dodatkowo duża pokrywa

Od góry:

Śmigłowiec ląduje w bazie pod pikami Korżeniewskiej i Komunizma.
Fot.: Tomasz Kowalski.

Odpoczynek z Denisem i Serge'em w czasie ataku na Pik Komunizma.
Fot.: Tomasz Kowalski.

Ten sam atak, tylko temperatura nieco spadła.
Fot.: Tomasz Kowalski.

śnieżna zmusiła nas do trzymania się granicy skał w kopule szczytowej, co znacznie przedłużyło i utrudniło wspinaczkę. Szliśmy niezwiązani liną. Szczyt osiągnąłem po 6 godzinach i 54 minutach jako drugi po Denisie, który przez większość czasu torował. Zejście sprawiło nam wiele trudności. Ciągły opad śniegu, wiatr i mgła bardzo spowalniały tempo. Przez małą widoczność na przełęczy straciliśmy orientację. Serge wpadł do małej szczeliny, ale szczęśliwie nic się nie stało. Przy zachodzącym słońcu dotarliśmy do namiotów. Następnego dnia długa droga na sam dół do basecampu. Na stromym zejściu Serge wyjechał ze śniegiem i po kilkudziesięciometrowym, niekontrolowanym zjeździe zatrzymał się cudem na granicy seraka. Do basecampu doszliśmy już bez kłopotów popołudniu 9 lipca. Akcja od bazy do bazy trwała pięć dni.

Po kilku lotach samolotowych i helikopterowych dotarłem wreszcie w Tien-szan, jako ostatni alpinista w sezonie. Od razu po wylądowaniu przepakowałem się i ruszyłem na Chan Tengri celem szybkiego jedno-, dwudniowego wejścia. Okazało się, że nikt już w tym czasie nie zdobywa szczytu i na całej górze jestem praktycznie sam, spotykam tylko kilka osób atakujących górę od strony kazaskiej. Pierwszego dnia w nocy przechodzę niebezpieczny kuluar, którym prowadzi droga normalna, i po niecałych pięciu godzinach docieram do jamy śnieżnej w obozie III. Nie wziąłem namiotu, a sprzęt ograniczyłem do niezbędnego minimum. Dzięki temu mogłem poruszać się szybciej. Drugiego dnia zdobywam szczyt w całkiem dobrej pogodzie. Niestety przy zejściu zaczyna padać śnieg, nadciągnęła mgła. W bardzo trudnych warunkach docieram do pozostawionego przez przewodników namiotu w obozie drugim. Kolejnego dnia wieczorem przechodzę niebezpieczny kuluar i już mocno roztopiony lodowiec, docierając do basecampu. Wejście na Chan Tegnri było wyjątkowo wyczerpujące psychicznie. Byłem prawie zupełnie sam na całej górze, poręczówki wiszące w trudniejszych technicznie miejscach w rzeczywistości stanowiły kawałki postrzępionych lin, a mosty śnieżne na lodowcu trzymały się już na „słowo honoru". Zmęczenie całą wyprawą dawało mi się już mocno we znaki.

Mimo ogromnej motywacji i zapasu siły nie zdecydowałem się na samotny atak Piku Pobiedy. Lodowiec Zwiedoczka był w bardzo złym stanie z powodu wyjątkowo ciepłego sezonu i stosunkowo dobrej pogody. Do tego świeży opad śniegu

Piramida Chana o zachodzie słońca.
Fot.: Tomasz Kowalski.

Z małą Agnieszką na szczycie Piku Korżeniwskiej – przyniosła szczęście!
Fot.: Tomasz Kowalski.

powyżej 5000 m oraz brak innych ludzi na górze ani nikogo chętnego, żeby ze mną wyruszyć w stronę szczytu. Te czynniki wpłynęły na moją decyzję. Mimo tego, że w przeszłości atakowano Pobiedę samotnie (również robili to Polacy, M. Kaczkan i M. Hening) to wydaje mi się, że wyjście w takich warunkach byłoby po prostu misją samobójczą. Bazę opuszczam 22 sierpnia z zamiarem powrotu za rok i dokończenia projektu.

Cztery góry zdobyłem w ciągu 28 dni, licząc od szczytu do szczytu. Nie udało mi się pobić rekordu, ale wydaje mi się, że moja próba udowodniła, iż jest on do pobicia i każdy zmotywowany oraz doświadczony zespół może się z nim zmierzyć. ■

ONSIGHT
Centrum Wspinaczkowe

Hala Sportowa Koło
Warszawa, ul. Obozowa 60

zapraszamy codziennie od 10^{00} do 22^{00}

dojazd z Centrum tramwajami: 1, 12, 13, 20, 23, 24
przystanek: Magistracka

po prostu... wspinanie!

maciek oczko na drodze Pata Negra 8c RP, Rodellar, fot. xenia

brytan zone
wspinanie.pl
serwis wspinaczkowy

Grzesiek Skorek podczas biwaku na Metanoi, północna ściana Eigeru.
Fot.: arch. Grzegorz Skorek.

Grzegorz Skorek
Janusz Gołąb

EIGER MACHINE

Beznadzieja 13 sierpnia, gorąco, wszystkie parkingi są płatne, a na dodatek zdzierają dwa razy tyle, ile nasi kochani górale z Palenicy. Długo krążymy po Grindelwaldzie, aż w końcu zdesperowani porzucamy samochód pomiędzy samochodami należącymi do jakiegoś objazdowego cyrku. Cyrk do tego miejsca pasuje jak siodło do świni, zresztą tak jak my. Szybki klar – szpej, żarcie, namiot i w drogę na Alpiglen. Skwar z nieba wali w nasze umęczone podróżą czaszki, a do tego jeszcze te niemiłosiernie ciężkie wory. Większość turystów jedzie kolejką, z której wesoło do nas machają, niektórzy robią zdjęcia – cóż, takich świrów, co nie jadą kolejką za skromną kwotę 200 złotych, nie ma tu wielu. W pyskach suszy, a tu – jak to w Helwecji – wszystkie strumyki i łąki pogrodzone drutem kolczastym, który ciągnie się prawie pod samą ścianę Eigeru – co za kraj?

Na Alpiglen ukryci w małym lasku rozbijamy namiot – stąd w nocy wyjdziemy w ścianę. Jeszcze wycieczka, żeby wyczaić wejście w drogę. Pierwsze 300 metrów jest beznadziejne, za ciepło. Podejście pod drogę wygląda jak kamieniołom. Jasiu był tam już dwa razy, za każdym razem przechodził ten odcinek na żywca. Dzisiaj jednak zakrawałoby to na szaleństwo. Decydujemy się na wejście tunelem kolejki, którego jedno z okien znajduje się dokładnie w miejscu, gdzie startuje nasza 1300-metrowa droga *Direttissima Ghillini–Piola* ABO inf. (ED3/4), 6b, A4. Wracamy do namiotu, żeby położyć się spać i trochę odpocząć przed drogą. Jeszcze tylko ostatni klar szpeju. Jest wszystko? Kurwa, prawie – zapomnieliśmy młotka.

*Tego już za wiele jak na jeden dzień – idę spać, nie chce mi się już nic. Młody jest zdesperowany – to dobrze, to bardzo dobrze. Ubiera buty i zbiega na dół. Jakie jest moje zdziwienie, gdy po dwóch godzinach wraca z młotkiem. Jest około 22. Podejmujemy decyzję, że jeżeli Młody nie będzie w stanie się w nocy ruszyć, to napieramy dzisiaj – jeżeli nie, przełożymy wspin na dzień następny. Zasypiamy około 23. O drugiej w nocy budzi nas przeraźliwy dźwięk – budzik. Trzeba łoić. Młody oświadcza, że ma siłę i możemy ruszać.**

Szybkie śniadanie, kawa i ruszamy w kierunku przełęczy Kleine Scheidegg. Aby skrócić sobie drogę, trawersujemy trawiaste zbocza. Ta przyjemność kosztuje nas niestety przemoczenie butów – poranna rosa nie zna litości. Dochodzimy do wylotu tunelu. Coś jest nie tak. Panuje tam jakiś rozgardiasz, krzątą się spora grupa monterów. Okazuje się, że trwa jakaś naprawa. Do tego jeszcze ta cholerna tablica: „Absolutny zakaz wchodzenia do tunelu". Na szczęście procentuje doświadczenie nabyte dawno temu na podwórku podczas gry w pięć cegieł. Po cichu przemykamy się tuż za plecami pracujących robotników i wykorzystując chwilę ich nieuwagi wciskamy się do tunelu cienkim przejściem pomiędzy lokomotywą zastawiającą wejście, a ścianą tunelu.

Czujemy zadowolenie, to już chyba koniec niespodzianek. Jeszcze tylko trzeba dojść do okna, a czas nagli. Jasiu dobrze pamięta, że pierwszy techniczny pociąg jedzie o 5:45. Jeżeli nie zdążymy dojść do naszego okna, to prawdopodobnie dojedziemy na zderzaku lokomotywy na Jungfrau. Nerwy puszczają, przyspieszamy, chwilę później już prawie biegniemy, cały czas nasłuchując czy nie zbliża się Eiger Machine. Przygnębiająca wycieczka, wszędzie ciemno, śmierdzi smarem, a pot zalewa oczy. Nagle robi się jaśniej, nareszcie jest – Stollenloch. W chwilę później przejeżdża kolejka ze śpiącą w środku obsługą.

Jesteśmy wykończeni tym maratonem, a przecież najlepsze dopiero przed nami. Staramy się trochę zregenerować, odpocząć przed drogą. Łyk wody, której dla zmniejszenia wagi i tak już zajebiście ciężkiego wora wzięliśmy tylko 2,5 litra. Na kalorie nie ma co liczyć – mamy po cztery batony i dwie małe paczuszki suszonych owoców, przecież jeszcze kolacja i śniadanie i kolacja i śniadanie. No cóż, uczty nie będzie. Po półgodzinnym odpoczynku zaczynamy nierówną walkę z 1300-metrową pionową ścianą. A w niej wszystko to, co lubimy… zimno, krucho, ciepło, zimno, trudno, łatwiej, zimno, zadowolenie, zwątpienie, ruletka emocji.

Pierwsza część drogi to klasyczna wspinaczka po niezbyt litym terenie. Po 15 wyciągach podchodzimy pod przewieszony monolit Rotefluch. Jeszcze jeden klasyczny wyciąg, dalej już nie puści – trzeba haczyć. Zmiana prowadzenia, teraz kolej Jasia. Zgrabnie przechodzimy nawet przez najtrudniejsze na drodze wyciągi A4. Niestety zaczyna się ściemniać. Na schemacie jest zaznaczona półka. Trzeba jeszcze pokonać łatwy piątkowy wyciąg. Niestety tu czeka na nas kolejna zasadzka Eigeru. Już nie po raz pierwszy błąd w schemacie. Zamiast przemknąć po piątkowym wyciągu tracę czas, hacząc jakieś przewieszki. Ale udaje się przed zmrokiem.

Na szczęście półka jest w miarę wygodna. Ubieramy goreteksy, wskakujemy w płachty biwakowe i lulu. W nocy temperatura spada poniżej zera, co przy braku śpiworów nie daje komfortu cieplnego. Dlatego już bladym świtem postanawiamy rozpocząć wpinanie – to nas rozgrzeje. Górna część drogi to hakówka pomieszana z klasyką. Dość przyjemne wspinanie. Tak mija kolejny dzionek. Ostatnie dwa wyciągi łoimy po ciemku. I w końcu jest, po 41 godzinach przebywania w ścianie wychodzimy na grań. Jest pierwsza w nocy, a teren, przez który biegnie droga zejściowa, wydaje się być orientacyjnie trudny, dlatego decydujemy się na jeszcze jeden biwak.

Świt przychodzi wolno, jest błogo pomimo tego, że leżę na linie wciśnięty pomiędzy kamienie, nie chce mi się wstawać, jest super.

Młody jednak nie miał tak komfortowego miejsca, zmarzł i domaga się kategorycznie odwrotu. Chcąc nie chcąc muszę wstać, choć robię to bardzo niechętnie.

Chyba jesteśmy zmęczeni, gubimy drogę zejściową, pakując się jednocześnie w niezbyt przyjemny teren. Przebudzenie następuje, gdy trafiamy na rzęchowate stare stanowiska zjazdowe. Tradycyjnie w takich sytuacjach klinuje się lina. Po chwili udaje się ją odblokować. Schodzimy jeszcze kawałek i w końcu jest strumień, woda – tyle ile tylko chcemy, a nawet za dużo. Kolejne zjazdy prowadzą mokrymi skałami. Jesteśmy mokrzy, robi się zimno. Dochodzimy do stromego śnieżnego pola. Trzeba założyć raki i nim zejść. Nad nami groźnie skrzeczy wielki serak. Instynktownie przyśpieszamy, żeby wydostać się z potencjalnej linii spadku tego cholernego lodu. W końcu trafiamy na szlak, gdzie jesteśmy bezpieczni.

W chwilę później potworny huk i wrzawa rozentuzjazmowanych turystów. Urwał się serak, spod którego wyszliśmy, każdy chce sfotografować taką atrakcję, tylko my jakoś nie mamy na to ochoty. Znowu wygraliśmy los na loterii. Z każdą chwilą ogarnia nas coraz większe zmęczenie. Powoli docieramy do stacji kolejki przy wylocie z tunelu. Brudni, zmęczeni wzbudzamy zainteresowanie turystów. Ich zdziwienie jest jeszcze większe, gdy widzą, że mijamy stację i dalej kroczymy na piechotę. Tak nie postępuje żaden normalny człowiek. Cóż, nie ma się w portfelu, trzeba mieć w nogach. Ale jesteśmy bezpieczni. Jeszcze tylko jacyś Helweci coś szwargotają, wymachują rękoma. Poprzez przeraźliwy hałas do skołatanego umysłu docierają strzępy słów MACHINE!!! – powoli odwracam głowę i widzę tuż za sobą nadjeżdżający pociąg, a ja, kurwa, wciąż siedzę na torach. ■

*Autorem cytatów jest Janusz Gołąb.

EIGER MACHINE

Grzesiek Skorek w bazie pod ścianą Kunyang Chhish East.
Fot.: Janusz Gołąb.

Po drodze.
Fot.: arch. Adam Śmiałkowski.

Adam Śmiałkowski

WYŚCIG SZCZURÓW

Z *Dziennika Wypraw*, 13 VII 2011

Marzyłem o Jastrzębiej Turni… Nie miałem jej jeszcze w swoim wykazie. Szedłem ku Niej wolnymi krokami. Najpierw, rok wcześniej niż się na Nią poważyłem, zobaczyłem ludzi wspinających się na niej. Kolejnym razem doszedłem do Zielonego Stawu Kieżmarskiego z dwoma wypróbowanymi towarzyszami i tylko spojrzałem w Jej stronę. Choć miałem wszystko co potrzeba, by ją posiąść, deszcz rozmył jej kontur i nasz zapał.

Lipcowe dni kąpały się w ulewach, ich popołudniowe burze uderzały o strzeliste wierzchołki granitowych turni. Patrzyłem z nadzieją na prognozy pogody, codziennie węsząc dogodnego dnia, by się zapuścić w Dolinę Jastrzębią. Wreszcie przyszedł odpowiedni moment, wszystkie znaki na niebie zwiastowały pogodę. Zwerbowałem wiernego druha, miłośnika tatrzańskich eremów i ruszyliśmy ku tej wymarzonej, przez żadnego z nas niedotkniętej, dumnej, wysmukłej, połyskującej płytami, Jastrzębiej Turni.

Pierwsze przeszkody organizacyjne w postaci braku środka transportu pokonujemy dzięki życzliwości zaprzyjaźnionego kolegi. W pokonaniu następnych pomaga nam znajomość języków obcych i wytrenowanie. Kruszymy parkingowe bariery i wymijamy wolno zmierzających w tym samym co my kierunku piechurów. Po półtorej godziny jesteśmy nad Zielonym Stawem Kieżmarskim. Po raz nie wiadomo który sławię imię Wieśka Stanisławskiego, z lękiem i podziwem spoglądając na jego drogę na północnej ścianie Małego Kieżmarskiego. Oddycham z ulgą, iż to nie ją będziemy powtarzać i pcham swoje ciało w stronę Dzikich Spadów. Gna mnie niepokój o to, czy ludzka ciżba, gniotąca łańcuchy u wejścia na próg Doliny Dzikiej, nie zmierza tam gdzie i my. Doganiamy ostrożnie idących turystów i z wdzięcznością obserwujemy ich marsz ku Baraniej Przełęczy. Reszta górskiego peletonu kręci się gdzieś przy schronisku i wokół Magistrali, bez zainteresowania zyskaną przez nas przewagą.

Z większym spokojem kierujemy pierwsze zachłanne spojrzenia na naszą ścianę i widoczną już dobrze *Drogę Machnika–Preyznera*. Obok niej ktoś w jaskrawym ubraniu długo tkwi w jednym miejscu, jakieś 30 metrów nad ziemią. Stwierdzam, że to nie nasza liga, jeszcze nie robimy przewieszonych ścian i czerwonych okapów. Na prawo od jaskrawych ekstremalistów, w głębokim cieniu ściany, odnajduję innego wspinacza, który właśnie kończy pierwszy wyciąg *Starej cesty*, będącej początkiem naszej drogi. Przełykam gorzką pigułkę zazdrości o to, iż ktoś nas ubiegł, ale planów nie zmieniamy i spokojnie idziemy na spotkanie z jastrzębim pazurem.

Gdy już południowo-zachodnia ściana Jastrzębiej Turni dławi i przygniata nas swoim ogromem, stajemy u jej stóp, zgrzani i przestraszeni. Żeby nie myśleć o tym, co może ona z nami zrobić, oddajemy się czynnościom, mającym odwrócić Jej uwagę od nas (w tym także czynnościom fizjologicznym). Na pocieszenie (a może dla obudzenia w nas respektu przed ścianą) spostrzegamy, że ekstremaliści zjeżdżają, nie kończąc wyciągu. Drugi zespół, który teraz dobrze widzimy, jest trójkowy i powoli, z mozołem pokonuje mokre płyty drugiego wyciągu. Rozmawiamy z jaskrawo ubranymi Węgrami, którzy pytają nas o drogę *Smert wegetarianom*. Sama nazwa mnie napawa lękiem, więc mówię, że nie znam, ale że to pewnie zaczyna się gdzieś niżej, tam, gdzie połyskują najbardziej gładkie płyty. Starszy Węgier wyraża wątpliwość, szuka początku drogi w miejscu, z którego mamy zamiar wystartować. Coraz szybciej wpinam ekspresy do uprzęży, byle wyprzedzić węgierskie ruchy rozpoznawcze. Pcham się z liną pomiędzy dywagujących Węgrów i wstępuję na drogę do szczytu. Do moich uszu dochodzi niewyraźne pytanie Fenka o stanowisko, ale nie znajduję takowego, więc tylko pnę się wzwyż, żeby założyć pierwszy przelot na jakimś bloku. Nie oglądam się, idę szybko, droga jest ewidentna, skała pewna, jest jeszcze jakiś hak, do którego się wpinam, a za nim już stanowisko z dwóch ringów. Trzydzieści metrów za mną, ściągam partnera.

Fenek się nie ociąga, szybko podchodzi. Patrzę na Węgrów pod nami… Czuję rozczarowanie sobą i to jak z wolna wychodzi ze mnie szczur. Ucieszył mnie ich wycof i to, że udało się ich ubiec. A więc to wyścig, do tego w górskim przebraniu.

Dalej już nic nie idzie gładko i sprawnie. Bariery do szczytu zaczynają się wyłaniać jedna za drugą. Najpierw mokra ścianka, na którą uporczywie kapie woda z wielkiego okapu. Miotam się w poszukiwaniu suchej skały, ale muszę stawać na mokrej, ostatni przelot, jak zwykle zbyt daleko pode mną, żeby poczuć minimalny komfort psychiczny, a założenie jakiejkolwiek asekuracji nie jest możliwe. Do tego ten cień okapu – mroczy myśli i atmosferę ściany, a potem, gdy już nawet udaje mi się wydostać poza cieknące miejsce, wcale nie daje poczucia małej wygranej, lecz dalej tłamsi wiarę we własne siły. Zostawiam go w końcu pod sobą, zbliżam się do zespołu przed nami, prawie ich dogoniłem (znów spływa na mnie to szczurze uniesienie). Chcę sięgnąć stanowiska, ale opór liny jest zbyt duży. Fenkowi poplątały się zwoje, nie może wydać luzu. Dobrze, że nie nastąpiło to parę metrów wcześniej, niechybnie bym poleciał pod okap. Wreszcie czuję uwolnioną linę. Podwójna ulga, gdyż trójka przed nami kontynuuje wspinanie *Starą cestą*.

Szukam słońca. Powinno tu być, a są tylko bure chmury przewalające się nad Czarnym i Kołowym. Poza chmurami kłębi się też we mnie niepokój. Stoję przed płytową ścianą zamkniętą przewieszkami i nie potrafię znaleźć w niej żad-

Początek piątego wyciagu.
Fot.: arch. Adam Śmiałkowski.

nego słabego punktu. Czuję się raźniej, gdy zjawia się przy mnie mój kompan. Wspólnie porównujemy schemat drogi i zdjęcia ściany, żeby znaleźć właściwą linię wspinaczki. Przez chwilę kusi mnie trójkowy teren *Starej cesty*, a może bardziej od niego natychmiastowy koniec wewnętrznego ucisku, jakim obejmują mnie niezliczone ilości przewieszek nad naszymi głowami. I Fenek wpada na ten pomysł, ale tylko się uśmiecham z politowaniem – przecież to nie nasza liga, jesteśmy tu dla większych wyzwań, to nie ten wyścig… Nie mówię tego, nawet sobie tego nie uświadamiam, idę do przewieszek.

Z daleka widoczne stanowisko zjazdowe omijam z lewej. Stwierdzam, że to jakiś wycof. Nic nie jest oczywiste. Miotam się w wyszukiwaniu drogi. Coś kapie na moją głowę. Myślę, że to z przewieszek, ale jeszcze niezbyt odległy głos Fenka (bardziej mówiącego do siebie niż do mnie):

– No kurwa, do tego leje – przekonuje mnie, że deszcz może być zupełnie realny.

To przyspiesza moje ruchy, choć jeszcze nie biorę pod uwagę zjazdów na dno doliny. Błądzę za czwórkowymi trudnościami, a wszędzie gładko, co najmniej piątkowo. Do tego wyciągam marnie założoną kość i stoję w otchłani nad Jastrzębią Doliną z 10 metrami wybranej liny. Dzielnie mnie asekurujący towarzysz, choć „przyspitowany", wyraża niepokój:

– Mam pomysł. Jak dasz radę dojść do tego stanowiska obok, to podejdź i zjedziesz do mnie.

Siąpienie z nieba zamiera. Kilka kropel spoconej chmury schnie na moim rozgrzanym czole szybciej od decyzji o powrocie. Może gdyby nie to jedno zdanie wiernego druha, byłbym bliski rezygnacji z kolejnych szczebli do szczytu, ale ten jego ton niewiary w pokonanie ściany rozbudza we mnie jakąś niezdrową ambicję, i mówię sobie w myślach, że przecież nie jestem gorszy od Machnika, od rzeszy ludzi, którzy tędy szli. Przewijam się za kant filarka, zakładam dobrą pętlę zadzieram głowę do góry, a wszędzie – gładko… i pięknie. Znowu spostrzegam jakieś stanowisko z haków, z pętlą, co tylko podsyca niepewność, czy dobrze idę. Kalkuluję na chłodno wszystkie za i przeciw. Wyboru wielkiego nie mam, mogę się jeszcze wycofać albo kontynuować wspinanie wybraną linią. Wszystkie drogi z lewej i z prawej są o stopień lub dwa trudniejsze. Jeśli idziemy na wierzchołek Jastrzębiej, to muszę być konsekwentny. Pytam o długość liny, jeszcze zostało 10 metrów. Ważę kroki i siły, brnę w płytach do wysokości pasa przewieszek. Mam już w zasięgu wzroku płytką depresję nad tym ohydnym okapem, który staram się obejść z lewej, ale miejsce, gdzie stoję, wybiera mi siły. Przekładam ciężar ciała z nogi na nogę, szukając możliwości założenia przelotu. Trwa to dość długo, w końcu udaje mi się wpasować dobrą kość. Nie jest łatwo, ale już bezpieczniej. Oglądam stopnie, obliczam ruchy, jakie mam wykonać, aż wreszcie wypuszczam swoje ciało do przodu i pokonuję gładki granitowy uskok, sięgając stanowiska. Dwa spity upewniają mnie, że poszedłem właściwie.

Mój partner idzie szybko, nie ma wahań, jest sprawny. Nie żal nawet zostawionej kości, której nie zdołał wyciągnąć, jakieś straty trzeba ponieść. Fenek ocenia wyciąg na co najmniej piątkowy. Dalsza droga jest teraz znacznie bardziej ewidentna. Pogoda wciąż niepewna, chmurna, ale nie pada. Spieszę się, ruszam ukośnym trawersem po płycie, pod pionowy kominek. Znowu jest trudno, z pewnością trudniej niż cztery, ale nie tracę przynajmniej czasu na wynajdywanie drogi. W kominku jest bong, tak jak był zaznaczony w schemacie, cóż jednak z tego, skoro nie mogę się do niego wpiąć, bo jest zaklepany młotkiem. Zakładam heksa, spokojnie wychodzę w łatwiejszy teren. Przez urwiste trawy, dochodzę pod kolejny cieknący okap. Miejsce jest wredne. Woda kapie na mój prawy but, a ja wiszę w wilgotnej czeluści, wybierając linę. Fenek jest szybki, nie narzeka, nie rozsiewa obaw, nie dławi wątpliwościami mojej udręczonej okapami psychiki. Wiesza się w stanowisku na moim miejscu i dzielnie moknie, gdy ja zaczynam kolejny rozdział wyścigu na szczyt.

Wyjście ze stęchłej wilgoci okapu byłoby radosne, gdyby dalej rozsuwał się widok wierzchołka Jastrzębiej Turni, gdyby teren, jaki mi się ukazał, kładł się pod stopami jak róże dla zwycięzców… Tymczasem stosunkowo łatwy trawers w prawo wyprowadził mnie pod nową przewieszkę. Wiem dobrze, gdzie jestem, bałem się tego miejsca jeszcze na dole. Pode mną jakieś 200 metrów powietrza, ledwo widoczna struga Jastrzębiego Potoku, wpadająca do Zielonego Stawu. Nie patrzę pod siebie, czuję tylko wokół ciała przestrzeń i przepaść za swoimi plecami. Odbieram te wrażenia bardziej podświadomie niż z pełną premedytacją, gdy droga nie jest trudna i pragnie się głębszych doznań. Nie szukam większych emocji niż te, które szykuje mi gładki i przewieszony granit przed moim wzrokiem, nie pragnę niczego, poza uwolnieniem się z otchłani wokół mnie. Wiem i to, że nie ma z tego miejsca innej drogi, jak tylko do góry przez przewieszkę. A mimo to trawersuję jeszcze kilka

Dziewicze zacięcie z dołu.
Fot.: arch. Adam Śmiałkowski.

W dziewiczym zacięciu.
Fot.: arch. Adam Śmiałkowski.

metrów dalej, żeby się upewnić, czy może za załamaniem ściany nie chowa się jakiś łatwy teren. Nie, nic takiego nie istnieje. Medytuję dłuższą chwilę, opracowując stopnie i chwyty, jakimi się uwolnię z przewieszki. Biorę kilka głębszych oddechów i zabieram się w górę z resztkami odwagi, jakie się jeszcze we mnie tułają. Wychodzę, rozpiera mnie duma ze stylu, w którym pokonuję trudności. Tyle tylko, że właściwe trudności dopiero mi się objawiają, w pełnej krasie i obrzydliwości. Staję pod zupełnie gładkim zacięciem, zakładam friend, długo, pieczołowicie, dokładnie. Próbuję wyjść i szybko powtarzam te same ruchy w dół. Za trudno. Długo oglądam kartkę ze schematem. Wyjmuję przelot, moją jedyną łączność ze światem żywych, cofam się kilka kroków i próbuję delikatnego trawersu w prawo, pod kolejnymi (którymi to już?!) okapami. Balansuję na tarcie z ograniczoną możliwością chwytów do krawędzi okapu. Delikatnie się wychylam i oglądam teren za załomem. Powinienem tam przejść, tamtędy idzie droga. Niestety nie jestem w stanie założyć żadnej asekuracji. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa, z trudem, szorując okap kaskiem, błyskawicznie wracam do zacięcia. Mierzę się wzrokiem z jego dziewiczą siłą.

Jego środek tworzy wąska rysa, zbyt wąska, żebym mógł w nią coś włożyć, jest wypełniona ziemią, nie ma śladów haków. Szukam jej słabych punktów, miejsc na odpoczynek, miejsc na asekurację, wmawiam sobie, że kilka metrów wyżej powinno być łatwiej. Wypatruję końca zacięcia, zamyka je Oko Boga – patrzący na mnie z góry, piękny równoramienny trójkąt okapu… Ponownie obmyślam ruchy, którymi się wywinę z beznadziejnego położenia, którymi popłynę wzwyż, ucieknę przed pustką, ciągnącą mnie za plecak. Łapię się, już nie skały, a ochłapów odwagi krążących wokół mojej zmarniałej sylwetki. Ciskam się w rozwarcie zacięcia, już tylko w ucieczce, nie we wspinaczce. Rozpieram się w nim na tarcie i nie wiem, co mnie trzyma, bo czuję tylko płyty, gładkie jak lustro. Sięgam kantu z prawej strony w nadziei, że nim się przewinę w łatwiejszy teren, ale kant jest obły, zaokrąglony i oczywiście gładki. Udaje mi się zaklinować nogę, wkładam nędzny przelot i gnam do góry, bo sił coraz mniej, a trudności rosną, nie maleją. Sięgam po ostatniego friend, gdy go wypinam z uprzęży, mój umysł notuje długość lotu, który wykonam, jeśli nie zdołam go założyć. Proszę Boga, żeby pasował… Balansuję na ścianach zacięcia i wpycham przelot w szczelinę – pa-

suje! Łapię go ręką, żeby odetchnąć. Wpinam linę i patrzę do góry. Zacięcie staje dęba, nie jest łatwiejsze, wręcz przeciwnie, wypycha. Tylko świadomość braku sił popędza mnie wzwyż. Jak szczur z tonącego okrętu, tak ja uciekam przed katastrofą własnego organizmu, i tylko przypadkiem, przez dziwny splot zdarzeń i skały, jest to pęd wzwyż. Niemal na bezdechu osiągam półeczkę z odstrzelonym blokiem. Wisi na nim zetlała pętla ze starej liny. Z ulgą zakładam swoją pętlę i krzyczę w stronę Fenka, żeby szedł.

Wisząc nad zacięciem, oglądam przepaść i płynne ruchy towarzysza. Co prawda dyszy, ale nie wykazuje się tak panicznym wyścigiem o życie jak ja. Zacięcie teraz jest piękne, przecudne. Notuję w pamięci 20 metrów gładkich płyt i trzy przeloty. Fenek jest pod wrażeniem urody drogi… Ja też. Szczyt wydaje się w zasięgu naszych dłoni i stóp. Musimy się tylko przewinąć za to oko Boga nad nami. Nie okazuje się to łatwe, ale teraz już nic nie może nam zagrodzić drogi na szczyt. Małym zygzakiem podchodzę pod trójkątny okap, długo zakładam asekurację, chwytam się podchwytem dzioba przewieszki i przewijam do podszczytowego kominka, który jest już tylko formalnością, nie sprawia żadnych kłopotów. Czuję spełnienie, gdy staje przy mnie mój kompan, gdy z wolna odtwarzamy fragmenty drogi.

Patrzymy na szczyty przed nami. Są wyższe, potężniejsze od tej naszej jastrzębiej turniczki, ale w naszym odczuciu nie sięgają Jej do pasa. Na zegarku jest godzina piętnasta. Wspinaliśmy się aż pięć godzin (!). Trudno mi odnaleźć aż tyle minut w tym dniu, wśród tych skał pod nami, w tej szczurzej gonitwie, którą owładnięty zapomniałem czasu, a nawet i tego, za czym tu przyszedłem…

W schronisku nie możemy nigdzie wśród gości odszukać Węgrów. Spoglądamy znowu, już z dołu, na wielkie jasne płyty Jastrzębiej, zdaje się nam, że dostrzegamy na nich jakieś ludzkie postacie. Być może to oni, toczą swój wyścig z czasem, trudnościami… z nami (?) ■

Widok z Jastrzębiej na Kołowy.
Fot.: arch. Adam Śmiałkowski.

PO–SŁOWIE PO–PREZESA

Ostatnimi czasy literatura górska wzbogaciła się o bardzo ważną dla Polski i Polaków pozycję. Mam oczywiście na myśli „Ucieczkę na szczyt" autorstwa Bernadette McDonald. Autorka wykonała tytaniczną pracę, zbierając materiały i przeprowadzając wywiady, aby pokazać światu fenomen polskiego himalaizmu lat 70. i 80. Na pewno nie łatwo było jej dociec i zrozumieć, na czym fenomen ów polegał, jakie były jego źródła i uwarunkowania. Na szczęście trafiliśmy na profesjonalistkę.

Bernadette McDonald, z wykształcenia muzyk, uprawia wspinaczkę i ski-alpinizm. Pasjonatka gór i wszystkiego co z górami związane. Przez dwadzieścia lat pracowała w Banff Centre, współorganizując jako wolontariuszka słynny Festiwal Filmów Górskich. Prowadziła i prowadzi wykłady o tematyce związanej z górami dla uniwersytetów, na festiwalach i dla klubów wysokogórskich. Jest konsultantem w górskich kwestiach kulturowych, włączając w to organizowanie festiwali i instytutów górskich. Występuje jako kurator wystaw związanych z górami. W związku z tą działalnością otrzymała wiele odznaczeń i wyróżnień m.in. kanadyjski Alberta Order of Excellence oraz kilka górskich nagród literackich. Była przedstawicielem Kanady przy ONZ w organizacji Międzynarodowego Roku Gór. Z pracy w Banff Centre zrezygnowała w 2006 roku, aby poświęcić się całkowicie pisarstwu związanemu z górami.

Niewątpliwie postawione sobie zadanie opisania „złotej ery" polskiego himalaizmu wykonała wzorowo. Można mieć pewne zastrzeżenia do trochę naiwnego i uproszczonego przedstawienia różnych aspektów polskiego socrealizmu. Nic dziwnego, że pełnego zrozumienia tu nie uzyskała, gdyż komuny nie da się ot tak opowiedzieć. Trzeba było jej doświadczyć głęboko na własnej skórze, a to w przypadku autorki było dość trudne. Pomimo to McDonald udało się wychwycić najistotniejsze jej elementy i przedstawić w sposób, który zarówno zachodniemu czytelnikowi, jak i polskiemu młodemu pokoleniu klarownie istotę zniewolenia w komunie przybliża.

Książka napisana jest z pełnym profesjonalizmem i ze rzetelną znajomością górskiej profesji. Zadziwia wnikliwość psychologicznych obserwacji opisywanych w książce bohaterów. Czytelnik odnosi wrażenie, jakby autorka spędziła z nimi wiele czasu i przeżyła niejedną przygodę. Nic z tego. Zapytany o znajomość z Bernadette Wojtek Kurtyka odpowiada, że w zasadzie w okresie powstawania książki jej samej nie znał, a jedyna rozmowa, którą odbyli, trwała zaledwie kilka godzin. To pokazuje dużą zdolność empatii autorki oraz dobrego wyczucia materii górskiej. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że w książce właśnie ten bohater opisany jest w sposób najgłębszy i najbardziej pozytywny. Myślę, że miała na to wpływ fascynacja autorki nie tylko osiągnięciami sportowymi, lecz także całą filozofią górską Wojtka.

Książka ma jednak i słabe strony. Dość spektakularna jest wpadka z zacytowanym tekstem Ludwika Wilczyńskiego. W tekście do „Gór" Ludwik wyjaśnia: «W swoim opracowaniu „Polish Himalayan Boom 1971–1991" poświęciłem akapit naszym kochanym outsiderom, którzy ubarwiali wspinaczkowe życie w ponurym peerelu. Autorka po cytacie wymieniła zupełnie inne nazwiska niż ja: Chrobak, Czok, Wróż i Zyzak. Genek, Andrzej, Zyga, Wojtek i popularny Zyzol, wszyscy oni mają za sobą poważne kariery inżynierów i pracowników nauki». (Za ten „wypadek przy pracy" Bernadette osobiście go przeprosiła).

Ponadto poza mankamentami formalno-edytorskimi (słabe tłumaczenie, liczne błędy, kiepska oprawa graficzna) brakuje ewidentnie naświetlenia głębszego tła całego tego himalajskiego fenomenu. Mam tutaj na myśli kuźnię przyszłych himalajskich sukcesów, jaką były Tatry z Morskim Okiem na czele wraz z całym zapleczem środowiskowym. Ze zrozumiałych względów Bernadette McDonald musiała zawęzić obszar swoich zainteresowań do tylko kilku najbardziej znanych nazwisk i wypraw z nimi związanych.

Sukcesy himalajskie, tak jak wspomniałem, wyrosły przede wszystkim z Tatr, a w szczególności z poziomu trudności wspinaczki tatrzańskiej. W latach 70. i 80. wspinało się o wiele więcej osób niż dzisiaj i normą było, że Kazalnicę zimą codziennie atakowało kilka zespołów, nie mówiąc o innych celach, położonych nieco dalej niż ściany czołowe otaczających Moko szczytów.

Okres ten obfitował w świetne osiągnięcia sportowe, jak również w liczne, barwne postaci, z którymi wiąże się wiele przepysznych anegdot. Nie bardzo wiadomo dlaczego do tej pory nikt z naszego środowiska nie wpadł na pomysł opisania tych czasów w sposób kompleksowy, dowcipny i sprawny. Może na przeszkodzie stoją jakieś „demony przeszłości", a może to wizja nieuchronnego procesu, wytoczonego przez jakiegoś obrońcę swoich dóbr osobistych, powstrzymuje potencjalnego autora od działania?

Nie wiadomo…

W tej sytuacji może skorzystajmy z usług już wypróbowanej w tej materii autorki?

No to powodzenia…
Siekiera

Jak przystąpić do Klubu:

Nie stawiamy żadnych barier formalnych – każdy może wstąpić do naszego klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków – jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść wkład w nasz rozwój – serdecznie zapraszamy! Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty, zaświadczenie o ukończonym kursie) lub wykaz przejść (może być skałkowych lub bulderowych) – to otrzymujesz status członka zwyczajnego (nie musisz nam przysyłać kopii dokumentów czy wykazu, ale możesz zostać o to poproszony, jeżeli pojawią się wątpliwości). Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) – to możesz wstąpić do klubu otrzymując status członka uczestnika, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu.

Zapisać się do Klubu można:
Osobiście: We wtorki w godzinach ścianki klubowej (Nowowiejska 37B, w godz. 20.00–22.00) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/12) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl).

Korespondencyjnie przez Internet: opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto Klubu i przesyłając swoje dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu (www.kw.warszawa.pl). Gdy przystępujesz korespondencyjnie – legitymację wyślemy Ci pocztą do domu (zdjęcie wkleisz sam).

Składki:

1. uczący się do lat 26 – opłata roczna 50 PLN + 50 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 30 PLN + wpisowe 50 PLN,
2. osoby powyżej 26 lat - opłata roczna 70 PLN + 70 PLN wpisowe. Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 50 PLN + wpisowe 70 PLN,
3. instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym,
4. dzieci i młodzież do 26 roku życia, jeżeli oboje rodzice są członkami KW – 50% zniżki w składce i wpisowym,
5. dzieci i młodzież do 26 roku życia, posiadające jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym,
6. członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego (po okazaniu legitymacji z opłaconymi bieżącymi składkami),
7. Emeryci i renciści – 10 PLN.

Ścianki klubowe:

Klub wynajmuje obecnie jeden obiekt – ściankę wspinaczkową w Centrum Wspinania „W Pionie" na ul. Nowowiejskiej 37B. Godziny dla klubowiczów przewidziane są we wtorki od godz. 20 do 22 – opłata 10 zł. Członkowie Klubu mogą też nabywać w klubie tańsze karnety na ściankę w Centrum Wspinaczkowym „On Sight" na ul. Obozowej 60 – cena 150 zł.

Bulderownia:

Bulderownia znajduje się w lokalu klubowym ul. Noakowskiego 10/12. Bulderownia jest dostępna dla wszystkich członków KW Warszawa we środy i soboty w godz. 16.00–22.00 (opłata 5 PLN za wejście).
Dla osób należących do sekcji bulderowej – bulderownia jest dostępna codziennie w godz. 8–22, poza zajęciami treningowymi.

Obozy:

Co roku KW Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz wymianę doświadczeń między bardziej i mniej doświadczonymi kolegami oraz koleżankami. Są one bardzo popularne i bierze w nich udział nawet do 60 osób, które świetnie się na nich bawią, ale także – dzięki prowadzonym wykładom – dowiadują wielu ważnych rzeczy z dziedzin topografii, bezpieczeństwa i taktyki działania w górach.

W obozie może wziąć udział każdy członek klubu bez względu na doświadczenie. Jednak z powodu ograniczonej ilości miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem zobowiązana jest wypełnić formularz zapisu na obóz, który jest umieszczany na stronie klubowej z odpowiednim wyprzedzeniem.

Osoby nieposiadające doświadczenia (szczególnie dotyczy to obozów zimowych) powinny rozważyć opcję wspinania pod opieką instruktora, za symboliczną opłatą ok. 350 zł/tydzień. Wszyscy uczestnicy obozu muszą także mieć świadomość, że wyjeżdżają na własną odpowiedzialność i samodzielnie podejmują swoje wspinaczkowe decyzje – klub zapewnia jedynie rezerwację miejsc, pomoc w zakresie wyboru celów, literaturę, schematy i dobrą poradę starszych kolegów, na których zawsze można liczyć.

Warunkiem uczestnictwa w obozie jest także posiadanie aktualnego ubezpieczenia, obejmującego uprawianie alpinizmu i koszty akcji ratunkowej z użyciem helikoptera. Polecane przez nas jest ubezpieczenie związane z wykupieniem członkostwa w OeAV.

Lokal klubowy
ul. Noakowskiego 10/12
Warszawa

Korespondencja
ul. Jankowska 5/12
02-129 Warszawa

Sekretariat
Wtorki, godz. 20.00–21:30
ul. Nowowiejska 37B

Internet
http://kw.warszawa.pl

NIP
526 16 90 727

REGON
000987911

KRS
0000122453

Konto
Bank Zachodni WBK SA
48 1090 1694 0000 0001 1506 5257
ul. Jankowska 5/12
02-129 Warszawa

SALEWA
www.salewa.com
www.salewa.pl
www.salewa.de

Dla członków KWW z opłaconymi składkami zniżki na produkty firmy SALEWA.

Zamówienia i szczegółowe informacje należy składać na adres **salewa@kw.warszawa.pl** podając nazwę, numer katalogowy, ilość, rozmiar, kolorystykę.

Zamówienia koordynuje **Mikołaj Hotówko**

Minimalne zamówienie: 2100 PLN brutto (po zniżce)

Cenniki z cenami sugerowanymi przez producenta znajdują się na stronie KWW, w dziale „zasoby".

KANFOR do 30%
www.kanfor.pl

Osoba do kontaktu pani **Barbara Siudak**: **shop@kanfor.pl**

Producent rękawic oraz odzieży z Polartec, Windbloc, Windstopper, No-Wind, Softshell i in.

Własny sklep internetowy.

Zniżki:
10%: 1–999 PLN
20%: 1000–1999 PLN
25%: 2000–2999 PLN
30%: 3000 PLN

ul. Dąbrowskiego 113
93-208 Łódź
tel.: +48 42 642 71 28 (38)

MJSPORT do 30%
www.mjsport.pl
pawel.mielcarek@mjsport.pl

Dystrybutor **Arc`teryx** i **Bergans of Norway**.

Cennik dostępny na stronie KWW, w dziale „zasoby".

Zniżki:
10%: 0–1000 PLN
15%: 1000 pln – 20 000 PLN
20%: 20 000 pln – 40 000 PLN
25%: 40000 pln – 60 000 PLN
30%: 60 000+ PLN

Jedna osoba odpowiedzialna za zebranie całego zamówienia. Istnieje możliwość przesłania kilku wzorów do siedziby klubu celem ustalenia rozmiarów.

Procedura:
- zebranie zamówienia wstępnego
- sprawdzenie dostępności
- wystawienie faktury proforma i opłacenie jej przez KWW
- wysyłka do siedziby KWW na koszt dystrybutora (lub bezpośrednio do członka KWW pocztą za dopłatą)
- przy zamówieniu większej ilości tego samego modelu istnieje możliwość dodania logotypu KWW na produkcie

Maciej Czajkowski
Mielcar Paweł Mielcarek
ul. Katowicka 89C/19
61-131 Poznań
tel./fax.: +48 61 623 18 36
fax: +48 61 623 18 37
tel.: +48 666 359 9066

NAMASTE do 30%
www.namaste.pl
biuro@namaste.pl

Dystrybutor **Camp**, **Cassin**, **Rock Empire**, **Kask**, **Gregory**.

Cennik dostępny na stronie KWW, w dziale „zasoby".

Zniżki :
10%: 0–1999 PLN
15%: 2000–5999 PLN
20%: 6000–9999 PLN
25%: 10 000–14999 PLN
30%: 15 000+ PLN

Wymagana koordynacja całego zamówienia przez jednego członka klubu.

Kolejność działań: wysłanie zapytania ofertowego, Namaste sprawdza dostępność i wystawia fakturę pro-forma, po zapłaceniu faktury Namaste wysyła zamówienie pod wskazany adres na swój koszt.

Zamówienia indywidualne:

Koszt wysyłki 14,90 PLN przy zamówieniu do 500 PLN, powyżej gratis.

NAMASTE sc
Dąbrowskiego 291 B
60-406 Poznań
tel.: +48 61 841 15 33
tel.: +48 609 910 090
tel.: +48 600 213 611
czynne: 9:00–17:00

www.skialpinizm.eu do 30%
www.skialpinizm.eu
www.merino.com.pl
biuro@skialpinizm.eu
biuro@merino.com.pl

Zniżka na produkty firmy **Icebreaker 10%**.

Zniżka sumuje się z aktualną promocją co daje sumaryczną zniżkę 35%.

Przy zakupach powyżej **3000 PLN dodatkowa** zniżka 5%.

tel.: +48 881 707 188

YETI do 30%
www.yeti.com.pl
sales@yeti.com.pl

Producent kurtek i śpiworów puchowych.

Zakupy można realizować:

Yeti R. Krawczyk sp. j.
03-774 Warszawa
ul.Wojnicka 2
tel.: +48 22 670 12 53
fax.: +48 22 618 33 01

Godziny otwarcia sklepu:
pon., wt., czw.: 10:00–18:00,
śr., pt.: 9:00–17:00.

Osobą kontaktową jest Pani **Elżbieta Malicka** (tel:. +48 663 870 112).

Na produkty YETI są następujące zasady zniżek (produkty nieprzecenione, wartości brutto):
– **30%** upustu przy zakupach powyżej 6 tys. PLN
– **25%** upustu przy zakupach powyżej 4 tys. PLN
– **20%** upustu przy zakupach powyżej 2 tys. PLN
– **15%** upustu przy zakupach poniżej 2 tys. PLN

Istotna uwaga dotycząca zamówień grupowych. Warunkiem koniecznym w celu uzyskania powyższych widełek rabatowych jest zebranie minimum 5 produktów w każdej z 3 niniejszych kategorii produktowych producenta:
- śpiwory
- odzież
- akcesoria

Warunkiem standardowym jest również posiadanie ważnej legitymacji członkowskiej z opłaconymi składkami.

M-ARTE
Agent Sklepu Podróżnika do 25%
martastarosolska@gmail.com

Wysyłkowa sprzedaż publikacji **Sklepu Podróżnika** i innych książek, map.

Szczegółowe warunki sprzedaży i cennik dostępne są na stronie KWW, w dziale „zasoby".

Zamówienia:
M-ARTE Oficjalny Agent Sklepu Podróżnika
Marta Starosolska
tel.: +48 608 575 002

MONKEY'S GRIP do 25%
www.monkeysgrip.com
kontakt@monkeysgrip.com

Polski producent technicznej odzieży, w tym przypadku – rękawiczek. Forma upustu od indywidualnego zamówienia po model progresywny.

Poniższe widełki cenowe liczone są od cen brutto, nieprzecenionych produktów, obejmują cały asortyment producenta dostępny na stronie.

10%: 1–1499 PLN
15%: 1500–19 999 PLN
20%: 20 000–29 999 PLN
25%: 30 000+ PLN

Procedura zamówienia grupowego:
Jedna osoba odpowiedzialna za zebranie **całego zamówienia**.

- zebranie zamówienia wstępnego i wysłanie na mail kontakt@monkeysgrip.com
- sprawdzenie dostępności
- wystawienie faktury proforma i opłacenie jej przez KWW
- wysyłka do siedziby klubu na koszt dystrybutora (lub bezpośrednio do członka KWW pocztą za dopłatą).

Sklep internetowy:

- użytkownik rejestruje się w sklepie
- wysyła maila ze skanem legitymacji na adres kontakt@monkeysgrip.com
- osoba jest dodawana do grupy klientów KWW, po czym zniżka będzie automatycznie naliczana w koszyku podczas składania zamówienia.

Istnieje możliwość przesłania kilku wzorów do siedziby klubu w celu ustalenia rozmiarów etc.

upt design Wojciech Krzyżowski
Jędrzychów, ul. Wiejska 29
48-300 Nysa, Polska
tel.: +48 784 348 770

CUMULUS do 20%
www.cumulus.pl
info@cumulus.pl

Producent profesjonalnych śpiworów i akcesoriów rowerowych.

Ustalony poniższy pułap zniżek dotyczy jedynie śpiworów:

5%: 1–1999 **PLN**
10%: 2000–2999 **PLN**
15%: 3000–3999 **PLN**
20%: 4000+ **PLN**

Możliwe jest uzyskanie również upustu w wysokości 10% od cen brutto na pozostały asortyment, w tym maty **Therm-A-Rest'a**, jednak uzależnione jest to od wielkości zamówienia.

Wymagana koordynacja zamówienia grupowego przez klubowicza. Zamówienia indywidualne realizowane po przesłaniu skanu ważnej legitymacji.

Wysyłka 19 **PLN** (przelew), 25 **PLN** (pobranie).

Cumulus
ul. Szyprów 4
81-561 Gdynia
tel.: +48 58 620 94 12

MAŁACHOWSKI do 20%
www.malachowski.com.pl
info@malachowski.com.pl

Pracownia Sprzętu Alpinistycznego
43-426 Dębowiec
ul. Skoczowska 49
tel.: +48 33 856 22 61

Dla członków **KWW** 20% zniżki na wszystkie produkty (nie dotyczy szycia na miarę).

MARABUT do 20%
www.namioty.pl
biuro@marabut.pl

Namioty ekspedycyjne, wyprawowe, turystyczne.

32-070 Czernichów 451 k. Krakowa
tel.: +48 12 270 24 24

Dla członków klubu 15% zniżki przy zakupie do 5 szt i 20% przy zakupie powyżej 5 szt.

MONTANO do 20%
www.montano.pl
primo@montano.pl

Montano – ceniony, polski producent technicznej odzieży, śpiworów oraz akcesoriów outdoorowych.

Ustalona zniżka jest w wysokości 20% na zakup wszystkich produktów (odzież, śpiwory, akcesoria) z wyjątkiem worów transportowych.

Rabat ten liczony jest od nieprzecenionych kwot brutto, widniejących na stronie producenta.

Obowiązuje jednak tylko dla oferty stałej, tj. przedstawionej na stronie Montano, widniejącej na zdjęciach.

W przypadku zamówienia niestandardowego, tj. użycia innej kolorystyki (suwaki itp.) niż przedstawione jest to na stronie producenta czy też szycia na miarę – klient traci wspomnianą zniżkę 20% i do ceny detalicznej (sklepowej) doliczane jest wówczas 10% wartości.

W przypadku szycia na miarę klient jest zawsze proszony o stawiennictwo w Nowym Targu w celu zdjęcia miary przez krawcową. W przypadku ściągnięcia miary przez klienta we własnym zakresie – zakup jest na własną odpowiedzialność i, co istotne, nie podlega zwrotowi.

W celu uzyskania upustu należy skontaktować się z producentem za pośrednictwem powyższego maila, zakomunikować, iż jest się członkiem **KWW** oraz przesłać skan ważnej legitymacji klubowej. Od tej pory system e-sklepu będzie naliczał automatycznie wyżej wspomniany rabat. Produkty Montano dostępne są również z klubowym logo.

Montano
ul. Tetmajera 10
34-400 Nowy Targ
tel./fax.: +48 18 266 56 32
tel.: +48 604 167 293; +48 795 129 743

NEGRA Sport do 20%
www.sklep.negrasport.com

Dystrybutor następujących marek: **Marker**, **Ternua**, **Northland**, **Nordcap**, **Sunvaley**

W swojej ofercie sklep posiada oprócz powyższych sprzęt marek: **Asolo**, **Suunto**, **Keen**, **Asics**, **Mammut**, **Lowe Alpine**, **Lorpen**

10% zniżki przy zakupach do 2000 **PLN**
15% zniżki przy zakupach od 2000 do 4000 **PLN**
20% zniżki przy zakupach od 4000 pln

Przy zakupach powyżej 300 pln – transport gratis

Sklep stacjonarny i sklep internetowy:
NEGRA SPORT
Robert Jastrzębski
ul. Sobieskiego 44 a
32-400 Myślenice
pon. – pt.: 11.00–19.00
sob.: 9.00–15. 00

PeKa PAKA do 20%
allegro.pl/my_page.php?uid=23118315

Producent worków transportowych, toreb wyprawowych, pokrowców na koła rowerowe.

Przy zamówieniu:
do 2500 **PLN** – **12%** zniżki,
powyżej 4000 **PLN** – **20%** zniżki

PK GROUP Panfil Krzysztof
Szkoły Orląt 4/120
03-984 Warszawa

PLUS Mountain Bike Shop do 20%
www.rowery.com.pl
sklep@rowery.com.pl

Rowery górskie, części, akcesoria
10% zniżki na zakup rowerów i akcesoriów
20% zniżki na serwis
przy płatności gotówką
Warszawa Ursynów
ul. Zamiany 12
tel.: +48 22 644 29 02
Godziny otwarcia:
pon. – pt.: 11.00–19.00,
sob.: 10.00–14.00

Schronisko PIĘĆ STAWÓW do 20%
www.piecstawow.pl
schronisko@piecstawow.pl

Za okazaniem legitymacji klubowej **20%** zniżki na nocleg w schronisku.

34-500 Zakopane 1
Skr. poczt.196
tel.: +48 18 207 76 07
tel.: +48 781 055 555

SKALNIK do 20%
www.skalnik.pl
sklep@skalnik.pl

Wrocławski sklep Skalnik oferuje **15%** upustu na cały asortyment z wyjątkiem firmy Petzl, na który to obowiązuje **10%** rabat.

Powyższe upusty dotyczą cen brutto produktów – nieprzecenionych, nieobjętych innymi promocjami.

Przy zamówieniach internetowych – w komentarzu wpisujemy „KW Warszawa", równolegle załączając skan ważnej legitymacji klubowej na adres mailowy sklepu.

UWAGA: Do 15.06.2012 na cały nieprzeceniony asortyment dla klubowiczów 20% rabatu w sklepie internetowym.

Wrocław

- ul. Bogusławskiego 45: sprzęt wspinaczkowy, do prac na wysokościach, odzież buty, militaria, namioty i śpiwory
- ul. Ładna 1A: Buty, sprzęt wspinaczkowy i do prac na wysokościach, namioty i śpiwory
- ul. Ładna 4/6: odzież, drobne akcesoria turystyczne
- ul. Polaka 18: Odzież, buty , sprzęt wspinaczkowy i do prac na wysokościach, akcesoria turystyczne, namioty i śpiwory
- ul. Polaka 20: Sprzęt kempingowy, drobne akcesoria turystyczne, odzież i buty,namioty i śpiwory.

Sklepy czynne:
pon. – pt.: 10:00–19:00
sob: 10:00–17:00

suszarkidobutow.pl do 20%
www.suszarkidobutow.pl
info@suszarkidobutow.pl

Producent suszarek do butów. Szczególnie przydatne zimą do butów skiturowych czy też wspinaczkowych.

10% zniżki przy zamówieniach indywidualnych, **20%** przy zamówieniach powyżej 1000 **PLN** brutto (wg cen detalicznych).

F.H.P.U EPS Piotr Senkowski
ul. Bukietowa 14
43-302 Bielsko-Biała
tel./fax: +48 33 816 99 27
tel.: +48 605 601 120; +48 605 601 110

taniewspinanie.pl do 20%
www.taniewspinanie.pl
sklep@taniewspinanie.pl

Sklep internetowy i stacjonarny.

20% zniżki na liny marki **Gilmonte** – zniżka obowiązuje do końca 2012 r.

Na pozostały asortyment **10%** zniżki.

Górski Sklep Sportowy
ul.Kościuszki 15
34-500 Zakopane
tel.: +48 18 201 15 75

ALPAMAYO do 15%
www.alpamayo.eu
sklep@alpamayo.eu

Sklep stacjonarny w Krakowie i sklep internetowy ze sprzętem górskim

Zniżka **15%** dla członków **KWW**, na wszystkie zakupy z wyjątkiem promocji i rzeczy z przeceny.

Alpamajo s.c.
ul. Sławkowska 18
31-014 Kraków
Polska
tel: +48 12 422 11 62
fax: +48 12 422 11 62

e-BUSOLA do 15%
www.e-busola.pl
sklep@e-busola.pl

Szeroki wybór artykułów outdoor, sportowych i bagażników samochodowych

15% zniżki na marki turystyczne z wyjątkiem **Aku, Karrimor, Trej mates, Therm-a-rest, MSR, Packtowl, Platypus, Petzl, Beal** na które zniżka wynosi **12%**

10% zniżki na kartografię
7% zniżki na bagażniki samochodowe i pozostały asortyment

Sklep stacjonarny i internetowy
www.e-busola.pl
ul. Hiszpańska 13/3
54-409, Wrocław
tel.: +48 510 396 073; +48 504 101 764

EcoBe do 15%
www.ecobe.com.pl
biuro@ecobe.com.pl

Dystrybutor jednorazowych ogrzewaczy do ciała firmy **Heat Factory** i wszelkich akcesoriów tej firmy (czapki, maski narciarskie, rękawiczki, skarpety, wkładki do butów), ogrzewaczy wielorazowych firmy **ABC-N** System oraz krzesiw. Dla członków **KWW** z opłaconymi składkami **15%** zniżki na cały asortyment oferowany w sklepie internetowym.

Przy zamówieniu w rubryce dodatkowe informacje prosimy wpisać **KWW** celem identyfikacji. Istnieje możliwość osobistego odbioru zamówienia w Warszawie.

tel./fax: +48 22 635 25 30
tel. kom.: +48 601 29 46 37

HORSEWAY do 15%
www.horseway.pl
sklep@horseway.pl

10% na bieliznę termiczną Lurbel przy zamówieniu do 1000 **PLN**
15% na bieliznę termiczną Lurbel przy zamówieniu powyżej 1000 **PLN**
10% na środek do prania odzieży technicznej **Bense&Eicke Textile Wash**

MOUNTAINTOOLS do 15%
www.mountaintools.com
toolman@mountaintools.com

Zniżka w amerykańskim sklepie internetowym www.mountaintools.com
10% zniżki przy płatności kartą kredytową
15% zniżki przy płatności WTX (opłata 20 **USD**)

NATURAL BORN RUNNERS do 15%
www.natural-born-runners.pl
kontakt@natural-born-runners.pl

Sklep internetowy ze sprzętem do biegania.

5% zniżki przy zamówieniach indywidualnych
15% zniżki przy zamówieniach powyżej 2000 **PLN**
kod rabatowy: „KW Warszawa" + skan legitymacji

outdoorpro.pl do 15%
www.outdoorpro.pl
przeszowski@outdoorpro.pl

Sklep internetowy

Zniżka **15%** na asortyment firm **Black Diamond, Hanwag, Arc`teryx, Marmot, Salomon, Smartwool, Mactronic**

Zniżka **10%** na pozostały asortyment (nie dotyczy wyprzedaży)

Zniżki na podstawie skanu legitymacji **KWW**

POLAR SPORT do 15%
www.polarsport.pl
info@polarsport.pl

Sklep górski **POLAR SPORT** oferuje duży wybór odzieży i sprzętu do turystyki, wspinaczki, alpinizmu, skituringu.

Najlepsze marki, konkurencyjne ceny, częste promocje.

Zniżka obowiązuje na wszystkie produkty nieobjęte wyprzedażą lub promocją.

Procedura zakupu:

- założenie konta w sklepie internetowym,
- przesłanie mailem skanu legitymacji,
- na koncie zostanie aktywowany rabat **15%**.

Możliwa jest większa zniżka przy zamówieniach grupowych. Wysokość zniżki jest ustalana w drodze negocjacji.

ul. Siennej 15
31-041 Kraków
tel.: +48 12 422 42 49; +48 801 000 362

SKLEP PODRÓŻNIKA do 15%
www.sp.com.pl
sklep@traveler.com.pl
UWAGA: zniżka nie dotyczy zakupów w księgarni!
Zniżka **15%** sprzęt wspinaczkowy
Zniżka **10%** sprzęt turystyczny, narty.
Warszawa
ul. Grójecka 46/50
tel.: +48 22 668 66 08
K1
ul. Kaliska 8/10
tel.: +48 22 822 64 81
K2
ul. Kaliska 8/10
tel.: +48 22 822 54 87

STREFA GOR do 15%
www.strefagor.pl
strefa@strefagor.pl
Sklep internetowy.
15% zniżki dla klubowiczów na cały asortyment nieobjęty promocją lub wyprzedażą.
Warunkiem jest przesłanie skanu/zdjęcia ważnej legitymacji klubowej na adres: rejestracja@strefagor.pl
Katarzyna Wojtusik Strefa Gór
ul. Kapelanka 6a/167
30-347 Kraków
tel.: +48 783 968 368
Skype: strefa_gor
Gadu-Gadu: 344 111 77

trango.pl do 15%
www.trango.pl
sklep@trango.pl
Dystrybutor firmy **BCA**, sklep internetowy.
Sprzęt lawinowy **BCA**, skiturowy, wspinaczkowy m.in. liny Sterling, Linkcamy Omega Pacyfic, buty Madrock i szereg innych produktów uznanych producentów.
Przy okazji zimowych obozów klubowych, przy większym zapotrzebowaniu produktowym, istnieje możliwość uzyskania konkurencyjnych cen na wypożyczenie sprzętu lawinowego firmy **BCA**.
Kvapi Products Ltd
Bogusław Pęgiel
ul. Prądnicka 65
31-203 Kraków
tel./fax: +48 12 415 28 18
tel.: +48 609 533 95
Skype: altec3

WELD Sklep Górski do 15%
www.weld.pl
sklep@weld.pl
WELD Sklep Górski działający w formie stacjonarnej jak i internetowej.
Rabat dotyczy cen brutto, nieprzecenionych produktów, i ustalony został w wysokości **10%**.
Przy zamówieniach na kwoty powyżej 10 000 **PLN** brutto, pułap wspomnianego upustu zwiększony zostanie do **15%**.
Przy składaniu zamówienia w sklepie stacjonarnym należy okazać ważną legitymację klubową, w przypadku sklepu internetowego, należy na adres mailowy sklepu przesłać jej skan.
Weld Sklep Górski
ul. Jana III Sobieskiego 4A
41-300 Dąbrowa Górnicza
Sklep:
tel./fax: +48 32 260 11 88
tel.: +48 513 088 829 Bogdan i Marcin
Biuro:
tel.: +48 500 165 100 Arek

alpenski.pl do 10%
www.alpenski.pl
biuro@alpenski.pl
Sklep internetowy.
Oferta sklepu składa się z następujących marek: **Berghaus**, **Marmot**, **Salewa**, **Husky**, **Smartwool**, **Larrimor**, **Therm-a-rest**, **MSR**, **Eureka**, **Trek n Eat**, **Optimus**, **Rockland**, **Outwell**, **Robens**.
W formularzu zamówienia należy wpisać „członek **KWW**" i przesłać skan legitymacji
Romad Group
Al. Korfantego 9
40-951 Katowice
tel.: +48 667 980 813

ALPINSPORT & HIMOUNTAIN Zakopane do 10%
www.alpinsport.pl
ealp@ealp.pl
Outdoor, ski tour, alpinizm, wspinaczka.
Sklepy zlokalizowane w Zakopanem 34-500
ul. Krupówki 11 – alp1@ealp.pl
tel.: +48 18 20 170 95
ul. Krupówki 28 – alp16@ealp.pl
tel.: +48 18 20 144 41
ul. Krupówki 65 – alp2@ealp.pl
tel.: +48 18 20 172 84
ul.Krupówki 43 – alp5@ealp.pl
tel.: +48 18 20 142 18
ul.Krupówki 48 – alp4@ealp.pl
tel.: +48 18 20 130 08
Droga na Bystre 2A – alp3@ealp.pl
tel.: +48 18 20 127 36
Kasprowy Wierch – alp19@ealp.pl
tel.: +48 18 20 142 18
Sklepy czynne:
pon.–czw.: 11:00–18:00
pt. i sob.: 11:00–19:00
niedz.: 11:00–16:00

ALPINSKLEP do 10%
www.alpinsklep.pl
bomar@alpinsklep.pl
Turystyka, wspinaczka, trekking
Sklep firmowy **HiMountain**
02-591 Warszawa
ul. Batorego 39,
Metro Pole Mokotowskie
tel.: +48 22 825 81 61
Sklep otwarty:
pn.–pt. 11:00–19:00,
sob. 10:00–16:00,
od listopada do marca w niedz. 11:00–15:00

AZYMUT do 10%
www.sklepazymut.pl
biuro@sklepazymut.pl
Sprzęt wspinaczkowy, turystyczny, rowery, akcesoria rowerowe, narty, snowboardy.
Przemyśl
ul. 3-go Maja 12
tel.: +48 16 679 02 10
Godziny otwarcia:
pn.–pt. 10:00–18:00, sob. 10:00–14:00
Ustrzyki Dolne
ul. 29-go listopada 26
tel.: +48 13 461 34 74
Godziny otwarcia:
pn.–pt.: 9:00–17:00, sob.: 9:00–14:00
Jarosław
Pl. Mickiewicza 11
tel.: +48 16 621 67 68
Godziny otwarcia:
pn.–pt.: 9:00–17:00, sob.: 9:00–14:00

BERGSON do 10%
www.bergson.pl
www.rgsport.pl
biuro@rgsport.pl
Warszawa
Galeria Ursynów ul. **KEN** 36 lok. 33
tel.: +48 22 649 13 54

CHATA PRI ZELENOM PLESE do 10%
www.zelenepleso.sk
zelenepleso@zelenepleso.sk
Zniżka **10%** dla członków **KWW**
Rezerwacja mailem lub dzwoniąc na poniższy numer telefonu:
+42 19 034 674 20

e-biwak.pl do 10%
www.e-biwak.pl
sklep@e-biwak.pl

Internetowy sklep turystyczny.

Dla członków Klubu z opłaconymi składkami **10%** zniżki na produkty.

W rubryce uwagi wpisywać „KWW" celem identyfikacji

Maral Sport
ul. Zielna 8
82-103 Stegna
tel.: +48 606 707 102, +48 55 245 00 32
fax: +48 55 245 00 33

EKSPLO do 10%
www.eksplo.com.pl
eksplo@tlen.pl

Zniżka dotyczy wszystkich produktów w ofercie producenta, liczona jest od cen brutto, nieprzecenionych produktów.

Firma Eksplo z Krakowa została założona w roku 1985. Specjalizuje się w produkcji wyrobów puchowych stosowanych w turystyce wysokogórskiej i powszechnej, odzieży turystycznej oraz odzieży promocyjno-reklamowej.

Firma prowadzi również pełny serwis napraw i przeróbek wyrobów puchowych i odzieży turystycznej wszystkich znanych firm.

PHU EKSPLO s.c. Zakład Produkcyjny i sklep firmowy
ul. Zyblikiewicza 8/5
31-029 Kraków
Zakład czynny w godzinach:
pn.: 8:00–15:00, wt.–pt.: 9:00–18:00
sob.: 11:00–15:00
tel/fax: +48 12 421 89 32
tel.: **Jerzy Czoch** +48 600 27 66 82

Upust przysługuje po przedstawieniu skanu ważnej legitymacji klubowej.

HIMAL SPORT do 10%
www.himalsport.com.pl
himal@himalsport.com.pl

Dystrybutor sprzętu firm: **Grivel**, **Scarpa**, **Julbo**.

Zamówienia grupowe koordynuje jedna osoba. W przypadku większych zamówień klubowych - możliwa negocjacja pułapu zniżki.

Sprzedaż hurtowa:
- Himal Sport
  ul. Przemysłowa 60
  43-100 Tychy
  tel./fax: +48 32 227 83 42
- Sklep firmowy
  Himal Sport
  Al. Jana Pawła II nr 10
  43-100 Tychy
  tel./fax: +48 32 217 59 75

HIMOUNTAIN do 10%
www.himountain.pl

HiMountain to marka odzieży i sprzętu służącego do uprawiania sportów przestrzennych: turystyki górskiej, wspinaczki, narciarstwa, snowboardu, żeglarstwa, skitouringu.

Sklepy zlokalizowane w Warszawie:
- **C. H.** Reduta
  Al. Jerozolimskie 148
  tel.: +48 22 823 91 04, sfpl-nr10@sfpl.pl
- ul. Królewska 2 (wejście od Krakowskiego Przedmieścia),
  tel.: +48 22-827-17-11,
  mount30@himountain.pl
- **C. H.** Arkadia
  Al. Jana Pawła II 82
  Mount Sp. z o.o.
  ul. Ceramiczna 1
  41- 600 Świętochłowice

MAMMUT do 10%
www.climbrock.pl

Sklepy firmowe Mammut:
- **Ludzie Gór s.c.**
  ul. Nowotarska 23b
  34-500 Zakopane
  tel.: +48 18 541 61 00
  pn. – pt. 10.00–18.00, sob. 10.00–15.00
  biuro@ludziegor.pl
- **WEB WORKS s.c.**
  ul. Niepodległości 227/233
  02-087 Warszawa
  tel.: +48 22 382 17 26, +48 530 021 954
  pn. – pt. 11.00–19.00, sob. 11.00–15.00
  sklep@climbrock.pl

MULTAN EXTREME do 10%
www.multanex.pl
info@multanex.pl

Na cały nieprzeceniony asortyment sklepu, po okazaniu ważnej legitymacji klubowej, przysługuje **10%** rabat.

Warszawa
Al. Jana Pawła II 32
tel.: +48 22 620 36 76, +48 22 652 31 56
Godziny otwarcia:
pn.–pt.: 10.00–20.00, sob.: 10.00–16.00

QUICKSILVER-ROSSIGNOL do 10%
www.pmsport.pl
pmsport@pmsport.com.pl

Dla członków klubu za okazaniem legitymacji klubowej z opłaconymi składkami 10% zniżki na wszystkie produkty w sklepach:

Gdańsk
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet, ul. Przywidzka 8

Gdynia
QUICKSILVER-ROSSIGNOL C. H. Klif, Al. Zwycięstwa 256

Kraków
ROSSIGNOL PRO SHOP
Pasaż Handlowy **RYNEK** 13, ul. Rynek Główny 12
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Galeria Kazimierz ul. Podgórska 34
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Galeria Krakowska, ul. Pawia 5

Poznań
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Stary Browar, ul. Półwiejska 42

Sosnowiec
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet, ul. Orlat Lwowskich 138

Warszawa
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Galeria Mokotów, ul. Wołoska 12
QUICKSILVER-ROSSIGNOL C. H. Złote Tarasy, ul. Złota 59,
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Sadyba Best Mall, ul. Powsińska 31
ROXY-ROSSIGNOL C. H. Arkadia, Al. Jana Pawła II 82
QUICKSILVER-ROSSIGNOL Fashion House Outlet, ul. Puławska 42E

Wrocław
QUICKSILVER-ROSSIGNOL C. H. Arkady Wrocławskie, ul. Powstańców Śląskich 2–4

ROBERT'S OUTDOOR EQUIPMENT do 10%
www.roberts.pl
roberts@roberts.pl

Specjalizuje się w produkcji odzieży i śpiworów wypełnianych naturalnym puchem. Nasze produkty to m.in.: puchowe kurtki, kamizelki, spodnie, kombinezony, botki i rękawice puchowe oraz profesjonalne śpiwory puchowe – letnie i zimowe, jedno i wielosezonowe, turystyczne, outdoorowe i wspinaczkowe, trekkingowe i wyprawowe, himalajskie, polarne i ekspedycyjne, myśliwskie, survivalowe i wojskowe. Nasza odzież puchowa tworzona jest tak, aby sprostać najróżnorodniejszym warunkom klimatycznym.

Gdynia
ul. Nowodworcowa 15
tel.: +48 58 629 42 98; +48 58 352 08 97

SHERPA do 10%
www.sherpa.pl
sklep@sherpa.pl

Sklep górski
Warszawa
ul. Łucka 18/8

Sprzedaż internetowa:
pn. – pt.: 9.00–17.00
tel.: +48 22 245 08 05; +48 606 633 596
sklep@sherpa.pl
Sprzedaż stacjonarna:
pn. – pt.: 10.00–19.00, sob. 11.00–17.00
tel.: +48 22 251 20 03
info@sherpa.pl
Dla członków KWW z ważną legitymacją i opłaconą składką 10% zniżki na wszelki asortyment nieobjęty promocją.

SKI-TUR sprzęt turystyczny i ratowniczy do 10%
www.arva.pl
sklep@ski-tur.pl
Sprzęt lawinowy francuskiej firmy ARVA, sondy lawinowe, łopaty, detektory najnowszej generacji oraz specjalistyczne plecaki do uprawiania narciarstwa wysokogórskiego.
VacuMed Krzysztof Wasilewski
ul. Fertnera1/65
31-424 Kraków
tel. : +48 607 696 993

sportsklep.com do 10%
www.sportsklep.com
info@sportsklep.com
Sklep ze sprzętem wspinaczkowym, turystycznym, narciarskim jak również rowery i sprzęt pływacki
Warszawa
ul. Domaniecka 48
godz. otwarcia: 10.00–20.00
tel.: +48 606 444 507

Szkoła Języków Obcych SOKRATES do 10%
www.tesokrates.com.pl
kabaty@tesokrates.com.pl
Dla członków KWW 10% zniżki na popołudniowe kursy grupowe.
Szkoła Języków Obcych SOKRATES, (Towarzystwo Edukacyjne SOKRATES)
ul. Wąwozowa 20,
02-796 Warszawa,
kabaty@tesokrates.com.pl
tel.: +48 22 448 03 34
Szkoła Języków Obcych SOKRATES
ul. Belgradzka 44 lok. 5
02-793 Warszawa,
natolin@tesokrates.com.pl
tel.: +48 22 436 57 50

taternicki.pl do 10%
www.taternicki.pl
sklep@taternicki.pl
Sklep internetowy i sklep stacjonarny.
Zniżki negocjowane od 10% do 30%.
Specjalistyczny sklep górski
ul.Dekabrystów 80 (Marcpol)
42-200 Częstochowa
tel.: +48 603 623 824; +48 603 422 468

EXTREME SPORT
– Zakopane do 7%
www.bzyk-extreme.netidea.pl
extreme36@interia.pl
Zakopane
ul. Krupówki 36
pn. – sob.: 10.00-18.00
tel.: +48 18 206 29 99

Sklepy Turystyczne HORYZONT do 7%
www.e-horyzont.pl
Sklepy Turystyczne i sklep internetowy oferują członkom KWW zniżkę 7%.
- C. H. Targówek
  lokal nr 120
  ul. Głębocka 15
  03-287 Warszawa
  tel.: +48 22 674 15 77
  targowek@e-horyzont.pl
- ul. Mariensztat 8
  00-302 Warszawa
  tel.: +48 22 538 92 05
  mariensztat@e-horyzont.pl
- Plac Konstytucji 5
  00-657 WARSZAWA
  tel.: +48 22 628 36 73
  mdm@e-horyzont.pl

TUTTU do 7%
www.tuttu.pl
info@tuttu.pl
Sklepy stacjonarne i sklep internetowy ze sprzętem turystycznym, wspinaczkowym i skiturowym (dawniej Horyzont)
Gdańsk
ul. Grunwaldzka 45/47,
tel.: +48 58 341 42 05
pn. – pt.: 10:30–19:00, czw.: 10:30–19:30, sob.: 10:30–15:00
Katowice
ul. Kościuszki 8,
tel. +48 32 257 22 90
pn. – pt.: 10:00–18:30, czw.: 10:00–19:30, sob.: 10:00–14:30
Poznań
ul. Dąbrowskiego 54,
tel.: +48 61 847 54 57
pn. – pt.: 10:00–18:30, czw.: 10:00–19:30, sob.: 10:00–14:30

WORK SPORT do 5%
www.worksport.com.pl
worksport@go2.pl
Sklep internetowy.
Sprzęt wspinaczkowy, do prac na wysokości, fitness i cardio.
Zniżka dotyczy całego asortymentu również w promocji i przecenie.
Warszawa-Wesoła 05-075
Plac wojska Polskiego 152 lok. 39
fax.: +48 22 773 40 63
tel.: +48 603 960 090

KWARK
www.kwark.pl
kwark@kwark.pl
Producent odzieży termoaktywnej
– bazującej na wielu odmianach **Polartec'a Malden'a Mills'a.**
Wspiera klub w wybranych, ambitnych przedsięwzięciach/wyprawach.
KWARK S. C.
ul. Parkowa 12 Załom
70-896 Szczecin
tel.: +48 91 431 23 23
fax: +48 91 461 73 89

WSZYSTKIE ZNIŻKI ZA OKAZANIEM LEGITYMACJI Z OPŁACONYMI SKŁADKAMI ZA BIEŻĄCY ROK.

ZNIŻKI

Lodowe rożki od

ICE CREAM Nestlé

DoLODuj się

A ZERO
www.kw.warszawa.pl